



Howard E. Gibson

## To ciało Michaela Chandlera

*Przekład Tomasz Duszyński*

# CZEŚĆ 1

## ROZDZIAŁ 1

Videofon w pokoju mieszkalnym na 47 piętrze Brooklyn Flat włączył się bez najmniejszego ostrzeżenia. Wąska twarz starszego mężczyzny stopniowo wypełniła cały ekran. Intruz milczał. Jego głowa osadzona na stosunkowo grubej, acz wiotkiej szyi trzęsła się teatralnie. Na pierwszy rzut oka nie można było jednak ocenić, czy ze starości czy z podniecenia.

Oczy starca błędziły nerwowo po ekranie, jakby rozglądał się panicznie. Wydawało się, że wiele dałby za to, by móc wedrzeć się do pokoju. W końcu jego spojrzenie zatrzymało się na wymiętym posłaniu. Wybrzuszenie pod pierzyną było najwyraźniej znaleziskiem, jakiego oczekiwał, bo odchrząknął głośno i odezwał się.

– Panie Chandler!?! Halo? – Tu nastąpiła krótka przerwa, starzec założył na nos okropnie duże okulary i pochylił się, żeby lepiej widzieć. – Panie Chandler! Obudź się pan, na litość boską!

Pod pierzyną się zakotłowało. Można było nawet usłyszeć przenikliwy dźwięk wypuszczanego z płuc powietrza. Najprawdopodobniej osoba, znajdująca się do tej pory w ukryciu, została wytrącona z bardzo głębokiego snu. Ruch jednak ustał równie gwałtownie, jak się zaczął.

– Nie śpi już pan, panie Chandler? – mężczyzna z videofonu nie dawał za wygraną. Wyglądał na jeszcze bardziej zniecierpliwionego. – Musimy porozmawiać. Natychmiast!

Tym razem pierzyna poruszyła się tylko minimalnie. Wystarczająco jednak, by odsłonić długie rozczochrane włosy i wielkie jak spodki oczy Michaela Chandlera. Mężczyzna obudził się właśnie z bardzo głębokiego snu. Nie zdawał sobie w tej chwili sprawy z tego, gdzie jest, ani tym bardziej, co robi w jego pokoju gadająca głowa. W sumie ten blisko trzydziestoletni osobnik nie był w stu procentach przekonany, czy sen, który przed chwilą go męczył, właśnie się zakończył. Prawdę mówiąc, gdyby miał obstawiać...

– Niech pan się mnie nie boi i zachowuje jak prawdziwy mężczyzna! Przecież pana nie ugryzę!

Starzec próbował się uśmiechnąć. Widać, dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jego nagłe wtargnięcie mogło wytrącić gospodarza z równowagi. Skarcił się w myślach za swoją głupotę. Jego głównym zadaniem było zachowanie pełnej kontroli nad wydarzeniami tego poranka. Zwłaszcza nad reakcjami i zachowaniem samego Michaela. W końcu informacja, którą miał mu przekazać, nie należała do najprzyjemniejszych, nie wspominając nawet o zadaniu, jakie czekało tego nieświadomego niczego człowieka.

– Nazywam się Aleksander Pawłow. Jestem profesorem, głównym koordynatorem Ośrodka Badań Pozaziemskich – mówił starzec tonem bardzo spokojnym i rzeczowym. Zmiana strategii rozmowy była bardzo czytelna. Na szczęście w tej chwili nie mogło to budzić podejrzeń. – Czy pan rozumie, co do niego mówię?

Michael Chandler zdążył już usiąść na łóżku i opuścić stopy na podłogę. Przesuwał nimi nerwowo po dywanie, próbując po omacku odnaleźć kaptcie.

– My się nie znamy! – Odrzucił pierzynę, która krępowiała jego ruchy i przyjrzał się uważniej głowie z ekranu. Wytarł wierzchem dłoni strużkę śliny z policzka. – Pan się wyłączy, zanim

zadzwoń do Biura Skarg i Zażaleń. Odłączą panu numer za takie wtargnięcie. Łamane są tu podstawowe przepisy prawa. Zakaz nachalnej reklamy i działań videokraźców zostały wpisane do konstytucji!

– Proszę pana, nie jestem videokraźcą! – Profesor Pawłow z wrażenia aż zdjął okulary. – Kontaktuję się z panem w ważnej sprawie. Tu chodzi o pana życie, Chandler!

– No tak! – Michael wstał z łóżka i spojrział na zegarek. – Pewnie ma pan rację! Te reklamowe numery znam na pamięć. Już mama mówiła, że bez nowego odświeżacza do ust żyć się nie da! To właśnie chcecie mi sprzedać? A może nowy turboodkurzacz? Szybki, sprawny i jak ciągnie?

Chandler pamiętał doskonale najnowszy spot reklamowy kraźący w sieci. Nie zastanawiał się dłużej. Chwycił w dłoń pilota, małe, płaskie urządzenie kontroli videofonu, i z pełnym satysfakcji uśmiechem nacisnął czerwony guzik.

– I? – Profesor z zainteresowaniem obserwował jego wysiłki.

– I nic! – odpowiedział zgodnie z prawdą Michael. Pilot nie zadziałał. – Pewnie baterie?

– Obawiam się, że nie. – Pawłow pokręcił głową, marszcząc w zamyśleniu brwi. Wyglądał, jakby przejął się niepowodzeniem Michaela. Siwe kosmyki opadły mu na wysokie czoło. Odgarnął je nerwowym ruchem dłoni. – Moi technicy zadbali o stabilność przekazu.

– Taaak?! – zdziwił się głośno Chandler.

Uderzył dwukrotnie pilotem w udo. Jednak ten zabieg nie przyniósł pożądanego efektów. Spojrzał ponownie w ekran i z namysłem podrapał się w świeży zarost. W końcu uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony, że rozwiązanie wreszcie przyszło mu do głowy i podszedł do videofonu.

– Ale na to to chyba ci twoi technicy sposobu nie znaleźli! – powiedział. Wyszarpnął wtyczkę z centralnego gniazdka i unióś ją wysoko w radosnym geście triumfu.

– Znaleźli. – Profesor uśmiechnął się przepaszająco. Najwyraźniej nie miał najmniejszego zamiaru zniknąć z ekranu. – Przykro mi, Chandler. Musi pan wysłuchać tego, co mam do powiedzenia. Nie opierałbym się zresztą za bardzo. To dla pańskiego dobra.

Michael ponownie usiadł na łóżku. Odruchowo sprawdził, czy odłączył odpowiednią wtyczkę. Odłączył. Videofon działał nadal, bez wątpliwości. Teraz sposobem znanym już tylko sobie. Podobnie profesor Pawłow, patrzył z ekranu tym samym natrętym spojrzeniem. Można było podejrzewać, że przesywa cały pokój promieniami rentgena.

Krępującą ciszę przerwał dopiero dzwoniący budzik. Michael zareagował na ten dźwięk co najmniej nerwowo. Podskoczył ze strachu i z mocno bijącym sercem spojrział na cyferblat. Jedno musiał przyznać natrętowi. Miał niezłe wycucie, wtargnął tuż przed planowaną pobudką.

– Proszę opuścić mój pokój! – Chandler wreszcie zadziałał bardziej zdecydowanie. Zdobył się nawet na podniesienie głosu. Chciał dodać sobie animuszu wszelkimi sposobami, a ten wydawał się najlepszy. – Jeśli pan tego nie zrobi w ciągu najbliższej minuty, zadzwonię na policję!

Michael założył ręce na piersi. Przeszło mu przez myśl, że wygląda w tej chwili zupełnie tak, jak pradziadek z rodzinnej fotografii przechowywanej w kredensie przez babcię. Pradziadek był żołnierzem i w wojsku dosłużył się stopnia porucznika. Podobno był bardzo silnym i zdecydowanym mężczyzną. Niestety, Chandler nie zdążył go poznać. Zanim przyszedł na świat, pradziadek zginął podczas tłumienia rozruchów na jednym z księżyców Jowisza. A geny, tak cenione u przodka, dziwnym trafem musiały prawnuka ominąć.

– Obawiam się, że z tego videofonu nie będzie mógł pan skorzystać. – Profesor uśmiechnął się najspokojniej, jak potrafił. Za żadne skarby, nie chciał doprowadzać swojego rozmówcy do ostateczności. Trudno było przewidzieć, co przyjdzie obiektowi do głowy, ludzie w laboratorium

wciąż pracowali nad jego rysem psychologicznym. – Po pierwsze całkowicie zawładnąłem tym sprzętem, a po drugie... to już bardziej przyjemna sprawa, nie zapłacił pan rachunku za użytkowanie.

Chandler poczuł, jak uchodzi z niego powietrze, a wraz z nim znika wystudiowana, władcza poza. Rzeczywiście, ostatnimi czasy rachunki płacił nieregularnie. Pensja wystarczała mu zaledwie na przeżycie. W sumie niemal wszystko szło na opłacenie apartamentu z wyśnionym aneksem kuchennym.

Mimo to nie miał zamiaru dać za wygraną.

– Wyniesie się pan, do jasnej cholery? Czy nie?! – Zatrząśł się z nerwów. Chciał nawet wyładować swoją frustrację na videofonie. Oparł się jednak nagłej pokusie chwycenia wazonu i ciśnięcia nim w wielką twarz intruza. Sprzęt był zbyt drogi. Służył mu jako telewizor i kwadrofoniczny odtwarzacz kompaktowy. Do dzisiaj nad Michaeliem wisiły niespłacone raty.

– Może da mi pan wreszcie szansę? – Pawłow zupełnie nie rozumiał rozterki swojego rozmówcy. Był człowiekiem stworzonym do wyższych celów i przyjemne emocje, takie jak zaskoczenie czy frustracja, w jego profesorskim życiu nie grały najmniejszej roli. Swoje własne postrzeganie świata przekładał na innych ludzi i uważał je za jedyne dopuszczalne. – Otóż sprawa dotyczy pana, a właściwie, jakby to ująć... pańskiego ciała, panie Chandler.

Tu profesor zrobił pełną napięcia przerwę. Michael uniósł wysoko brwi. Nie poruszył się jeszcze przez dłuższą chwilę. Potem dał za wgraną. Postanowił zupełnie nie zwracać uwagi na natręta. Wstał z łóżka, zdjął pidżamę i ruszył w kierunku łazienki.

– Dobra decyzja, Chandler! Niech pan ochłonie pod prysznicem! Jak pan skończy, będziemy kontynuować naszą rozmowę! – krzyknął za nim profesor. Nie zależało mu na pośpiechu. Wręcz przeciwnie. Musiał przytrzymać Michaela jak najdłużej w domu, zanim dotrą do niego zaufani ludzie z Instytutu. – Pan się odświeży, uspokoi, a potem wszystko wyjaśnię i zaczniemy działać! Pan się nie martwi o swoje ciało! Wspólnymi siłami ze wszystkim sobie poradzimy!

Chandler przemierzył długim krokiem pokój, skręcił w wąski korytarz i wszedł do łazienki. Zasunął za sobą drzwi i dopiero wtedy odetchnął z ulgą. Najwyraźniej miał do czynienia z wariatem, w dodatku podającym się za profesora. Mania wielkości u świrów była dosyć powszechna. Jeśli ktoś mógł wierzyć święcie, że jest Napoleonem Bonaparte, Cezarem, Aleksandrem Wielkim, Andragorem z planety Epsilon VI, to czemu ten nie miałby uważać się za profesora? Tylko jakiego profesora? Mowa była o ciele – jego ciele! Michael potrząsnął głową z niedowierzaniem. Na myśl o tym, że rozebrał się przed videofonem do rosołu zrobiło mu się niedobrze. Musiał wziąć prysznic. Miał nadzieję, że mocny strumień ciepłej wody przywróci mu równowagę psychiczną.

Już pierwsze naciśnięcie kurka uświadomiło mu, że jego nadzieje okazały się złudne. Limitowany zapas wody zużył już w zeszłym tygodniu. Pozwolił sobie na kąpiel w piątek. Wydawało mu się, że świeży i pachnący będzie miał większe szanse na poderwanie jakiegoś kociaka w barze. Kociaka nie poderwał, a ze smutku tak się upodlił, że nad ranem obudził się na wycieraczce przed drzwiami. Przez to musiał powtórzyć kąpiel, a teraz, jak na złość, pozostał mu jedynie suchy prysznic. Substytut ożywczej kaskady.

Michael wygrzebał jedną z ostatnich żelowych kuleczek z przezroczystego kielicha. Miała czerwony kolor. Zgniótł ją w dłoni, a potem wrzucił do syfonu zamontowanego przy staromodnych kurkach z zimną i gorącą wodą. Oparł dłonie na kafelkach i przygotował się na uderzenie gorącego powietrza. Jako pierwszy do jego nozdrzy doszedł zapach ożywczego wiatru, niosący ze sobą z początku woń kwitnącej jabłoni, a potem dojrzałych owoców. Podmuchał włosy i dokładnie je oczyścił. Zupełnie tak, jak w reklamie, pomyślał, zdrowe, lśniące i puszyste. Jego skóra w pierwszej chwili zwilgotniała, by potem, w kolejnym powiewie

jabłkowego zefiru, raptownie wyschnąć. Był czysty. Pozwolił jeszcze ogolić się dokładnie maszyną Shave Jonesa i spojrzął w lustro. Michael Chandler uważany był za przystojniaka. Nieudacznika może, ale nieudacznika z nieodpartym urokiem osobistym. Jedyne, co burzyło jego pewność siebie, to ziemista cera, konsekwencja ciągłej pracy w podziemnej fabryce.

– No, to zupełnie co innego! – Pawłow odezwał się, gdy tylko Chandler wkroczył do kuchni.

Jakimś sobie tylko znanym sposobem zdążył przenieść się na ekran umieszczony w jednej z kuchennych szafek.

– Już najwyższy czas, żebym powiedział panu wszystko. – Profesor włożył ponownie okulary. – Przynajmniej zdradzę najważniejsze szczegóły. Te, z którymi musi się pan zapoznać przed naszym osobistym spotkaniem.

Osobistym spotkaniem? Michael czuł, że sytuacja powoli zaczyna go przerastać. Skrzywił się, ale tak, żeby Pawłow tego nie zobaczył. Schylił głowę i ruszył prosto w stronę lodówki. Burczenie w brzuchu stawało się nie do zniesienia. Prawdopodobnie stres, pomyślał.

– Musi mi pan wierzyć, że gdy zostałem wezwany dziś w nocy do laboratorium, sam nie mogłem tego wszystkiego pojąć! – ciągnął profesor. – Wiele w życiu widziałem, wiele obito mi się o uszy. Zdziwić mnie jest bardzo trudno, a jednak...

W tym momencie kuchnię przeszył ostry dźwięk alarmu. Chandler zamknął drzwiczki lodówki tak szybko, jak je otworzył. Dźwięk ustał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Jasny gwint! – zaklął cicho pod nosem.

Nie trzeba było geniusza, żeby zrozumieć, co się stało. Kolejne niezapłacone rachunki. Lodówka połączona była z centralnym składem spożywczym. Chandler brał u nich na kreskę już od miesiąca. Najwidoczniej cierpliwość właścicieli sieci się skończyła. Odcięli go za dotknięciem jednego klawisza. Został bez jedzenia.

– Jakiś problem? – Twarz na ekranie wykrzywił nieprzyjemny grymas. – Czyżby długi, panie Chandler?

Michael zignorował pytanie. Miał nieodparte wrażenie, że należało ono do tych retorycznych. Otworzył szafkę przy oknie i zaczął w niej szperać. Po chwili, wyraźnie uradowany, wyszarpnął z niej dwie kromki zleżalego chleba. Zeskrobał pleśń i wrzucił swoją zdobycz do toster. Podgrzał niedopitą wczorajszą kawę i usiadł przy stole. Był wdzięczny losowi, że przynajmniej udało mu się opłacić prąd.

– Panie Chandler, żarty się skończyły! – Pawłow rzeczywiście wyglądał teraz arcy poważnie. Ostre rysy twarzy i szpiczasty nos przypominały drapieżnego ptaka, gotowego w każdej chwili rzucić się na ofiarę. – Siedzi pan chwilę bez ruchu, więc dokończę to, czego niefortunnie nie mogę wciąż panu przekazać.

W powietrzu zabrzmiał dźwięczny sygnał toster. Chandler złapał w locie dwa tosty i zaczął je jeść. Udawał, że nie słucha.

– Gdy przybyłem przed kilkoma godzinami do laboratorium, asystent pokazał mi to ciało. – Pawłow uważnie obserwował reakcje Michaela, choć po prawdzie, w tej chwili z owych obserwacji nie można było zrobić zbyt wielu notatek. – Nie ma wątpliwości, Chandler. – ciągnął profesor. Trzeba przyznać mistrzowsko stopniował napięcie. – To jest pańskie ciało!

Chandler nie zadławił się tostem, choć można byłoby się tego spodziewać. Wręcz przeciwnie, spokojnie popił kęs spieczonego chleba kawą. Założył wszak, że ma do czynienia z wariatem, więc już wcześniej spodziewał się usłyszeć równie dziwną historię.

– Po analizie wyników ostatnich badań, nie mamy żadnych wątpliwości – kontynuował profesor, zupełnie niezrażony brakiem reakcji interlokutora. – Wszystkie dane zostały sprawdzone i dokładnie przeanalizowane. Nawet pana dentysta z rogu Main i Elbow potwierdził, że zgryz należy do pana.

– Zgryz. Tak... – powtórzył pod nosem Michael. Uśmiechnął się głupkowato do samego siebie.

Z niezwykłą starannością studiował fakturę kolejnego tosta. Zastanawiał się, dlaczego na trzydzieści pięć miliardów ludzi zamieszkujących tę planetę, wariaci zawsze trafiają na niego.

– Ciało pojawiło się u nas około czwartej nad ranem. – Oczy profesora zdradzały rosnące podniecenie. – Teraz doktor Dave Porter dokonuje ostatnich analiz. Zapewne po przybyciu do naszego Ośrodka, bezzwłocznie zostanie pan poinformowany o wszystkich spostrzeżeniach.

– Po moim przybyciu? – Taktyka bezwzględnego milczenia, jaką obrał Chandler, spaliła na panewce.

Cała ta historia zaczynała przybierać wymiar zupełnie surrealistyczny. Podający się za profesora osobnik najwyraźniej wierzył we wszystko, co mówił. Michael doszedł do wniosku, że przyszedł najwyższy czas, by przerwać tę obłądną sytuację.

– Nasi ludzie są już blisko pańskiego apartamentu. – Pawłow zniknął z ekranu na ułamek sekundy. Wydawało się, że z kimś rozmawia. Już po chwili ponownie wpatrywał się swoimi świdrującymi, małymi oczkami w rozmówcę. – Prozaiczna sprawa, panie Chandler. Korki. Utknęli kilka przecznic od pana. A powtarzałem im, żeby użyli śmigłowca!

– Pan wybaczy, że na nich nie zaczekam?

Chandler strzepnął okruszki z blatu i wstał od stołu. Szybkim krokiem skierował się do szafy. Chwycił pierwsze z brzegu ubranie. Nałożył spodnie i niebieską koszulę. Materiał był wygnieciony, ale Michael nie miał zamiaru go prasować, oznaczałoby to spędzenie kolejnych, długich minut w towarzystwie wariata. Postanowił, że nie omieszka nasłać na niego policję, gdy tylko znajdzie się w biurze.

– Pan żartuje? – zapytał niepewnie Pawłow. – Nie ma pan chyba zamiaru wyjść? Przecież to zupełnie jasne, że sprawę musimy wyjaśnić natychmiast. Pana wyjście opóźni naszą konfrontację. Będę zmuszony użyć sił policyjnych, które pod przymusem doprowadzą pana do Ośrodka. Naprawdę chciałem uniknąć tego typu sytuacji...

– Panie Pawłow! – Chandler postanowił zmienić taktykę.

– Wie pan co? Ma pan rację. Po prostu zaczekam na pana ludzi na klatce schodowej. – Michael sam zdziwił się, że kłamstwa przechodzą mu przez gardło tak łatwo. – Tutaj jest po prostu za duszno. Sam pan rozumie. Tyle informacji na raz. Moje ciało w laboratorium i w ogóle...

– Nie wierzę panu! – Pawłow skrzywił się w wiele znaczącym grymasie.

– A, to już pana problem – odpowiedział Michael i opuścił apartament.

Zadbał o to, by drzwi zatrzasnęły się za nim z ogromną siłą. Chciał pokazać w ten mały wyszukany sposób, że w całej tej sytuacji on jest górą. Miał to też być symbol pełnego odcięcia się od wydarzeń feralnego poranka. Poniedziałek powinien być się zacząć dla Chandlera, wzorowego pracownika Verticom Industries, zupełnie inaczej. Michael obiecał sobie, że ten i następne dni poświęci tylko sobie, swoim własnym przyjemnościom. Pójdzie do fryzjera, zje dobrą kolację, a może nawet wybierze się do kina? Doszedł do wniosku, że należy dbać o zdrowie psychiczne, jeśli nie chce się skończyć jak ten ponury wariat, „profesor” Pawłow.

Michael zjeżdżał windą z 47 piętra Brooklyn Flat, więc nie mógł usłyszeć głębokiego, pełnego współczucia westchnienia Pawłowa. Nie doszło też do jego uszu wypowiedziane przez profesora zdanie, które niechybnie miało zmienić plany Chandlera nie tylko na nadchodzące dni, ale i na całe życie.

– Sprawdźcie mi, gdzie pracuje... – Starzec ponownie zdjął okulary i rozmasował podrażniony przez oprawki nos. Na informację czekał ułamek sekundy. – Dobrze, a teraz połączcie mnie z jego szefem.

Ekran videofonu pociemniał. Profesor jeszcze raz obrzucił wzrokiem mieszkanie Chandlera, a potem w sposób zupełnie niewymuszony, acz ostentacyjnie, zniknął.

## ROZDZIAŁ 2

Pager wydał z siebie ledwie słyszalny dźwięk. To jednak wystarczyło, by Dave Porter otworzył oczy i błyskawicznie usiadł na łóżku. Nie chciał, żeby Joan obudziła się z głębokiego snu. Skończyłoby się to kolejną kłótnią, zaledwie po kilku godzinach przerwy. Na nocnym stoliku pulsowało czerwone, natarczywe światło. Dave wyciągnął rękę przed siebie i chwycił w dłoń urządzenie. Wyłączył czujnik alarmowy i spojrzał na wyświetlacz. Wzywali go do laboratorium. Kod o oznaczał nakaz bezzwłocznego przybycia. Nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Najwyższy stopień gotowości ogłaszano przynajmniej kilka razy w miesiącu. Między innymi o to były te wszystkie kłótnie z Joan. Nienawidziła jego pracy, choć musiał przyznać, że miała ku temu powody. Uzasadnione. Nigdy nie było go przy niej, kiedy tego najbardziej potrzebowała. Ciężko pracował, gdy przychodziła na świat ich córka, Andrea. Gdy umierała matka Joan, siedział na którejś z planet, której nazwy dzisiaj nawet nie był w stanie sobie przypomnieć, walcząc z kolejnym złośliwym wirusem. Tak było zawsze. Potrafił się do tego przyznać, ale nie robił nic, by sytuacja uległa zmianie. Chyba to było najgorsze i najbardziej cyniczne, przynajmniej w rozumieniu Joan.

Dave podniósł się z łóżka bardzo ostrożnie. Popatrzył na żonę zwiniętą pod kołdrą w kłębek jak kot. Oddychała teraz o wiele spokojniej. Niesforne kosmyki kasztanowych, długich włosów błędziły po jej policzkach. Uśmiechała się przez sen. Porter zdał sobie sprawę, że na jawie dawno nie widział tego uśmiechu. Nie potrafił go przywołać na twarz Joan, tak jak kiedyś. Kiedyś... Gdy poznali się na uczelni, on jedyny potrafił rozśmieszyć ją do łez. Spędzali długie godziny na rozmowach, poznawaniu siebie, dzieleniu się każdym, najbardziej nawet zwyczajnym dniem. Dawniej wszystko wyglądało inaczej. Teraz ranili się niemal każdym słowem.

Odwrócił się i wyszedł z sypialni. Światło zapalił dopiero w korytarzu. Nie chciał potknąć się o pudła stojące w nieładzie pod ścianami. Dzisiaj mają zacząć przeprowadzkę. Spakowali niezliczoną ilość książek Dave'a, porcelanę Joan zabezpieczyli dodatkowo gazetami i styropianem. Nauczeni doświadczeniem woleli sami zatroszczyć się o dorobek swojego życia. Te firmy przeprowadzkowe nigdy nie dbały o czyjaś własność. Nawet, jeśli pieczołowicie oznaczyło się kartony i podpisało: PRZENOSIĆ OSTROŻNIE – SZKŁO!, zawsze coś ładowało na podłodze lub chodniku. Chciałoby się powiedzieć, normalka.

Wczoraj z Joan wykonali kawał dobrej roboty. Nawet pięcioletnia Andrea spisała się nieźle, przenosząc pakunki i układając pieczołowicie pisma medyczne taty. Dave wiedział, skąd brał się jej zapal. Dziecku wydawało się, że wraz z przeprowadzką wszystko się zmieni. Że w starym domu zostawią znajome kłótnie i kłopoty, i zaczną zupełnie nowe życie. Dave miał taką samą nadzieję. Liczył na to. Nie był ślepcem, widział, że jego małżeństwo mogło w każdej chwili lec w gruzach. Tym razem, obiecał sobie, będzie tak jak trzeba. Nie spaprze tego. Bez względu na wszystko, stanie się na powrót częścią rodziny i wraz z bliskimi zajmie się przeprowadzką. Stworzą nowy dom, na trwalszych fundamentach. Dave kochał Joan i nie mógł jej stracić, choć niejasne przeczucie i ucisk w żołądku szeptał, że już za późno.

Wszedł do łazienki i kiedy brał prysznic, wszystko wydało mu się prostsze. W jednej chwili świat przestał składać się z niezliczonych, nieuchwytnych atomów, a życie z ciągu trudnych do przewidzenia zdarzeń. Dave przez tych kilka minut dojrzał do decyzji, z którą nosił się od wielu lat. Dotąd każdy dzień był dla niego taki sam. Zupełnie tak, jakby przez całe swoje życie nie mógł pozbyć się z płuc nagromadzonego tam powietrza. Było to dziwne uczucie. Nieodstępujące go na krok. Dusilo go, rozsadzało od wewnątrz. Choć doskonale wiedział, że wszystko siedzi w głowie, przynajmniej teraz poczuł, że jest w stanie to zmienić.



Przełom następuje w najmniej oczekiwanych momentach. Czasem podczas codziennych porządków, na spacerze lub tuż po przebudzeniu, albo jak w przypadku Dave'a pod gorącym strumieniem oczyszczającej wody. Chyba dopiero w tym momencie Porter uwierzył, że przemiany zachodzą, gdy osiąga się dno, dochodzi do kresu własnej wytrzymałości. Był już zmęczony życiem, baterie wyczerpały mu się ostatecznie. Zdał sobie sprawę, że nikt wcześniej nie dawał mu gwarancji na ich wieczyste użytkowanie. Co więcej, nie widział najmniejszych szans na ponowne naładowanie akumulatorów w tym samym środowisku i otoczeniu, w którym przebywał.

To praca wyciągała z niego całą energię. Wszystkie życiodajne płyny, które pozwalały pamiętać, co to jest radość i szczęście. Wcześniej przeklinał Joan za to, że chce zmusić go do odejścia z Ośrodka. Wydawało mu się, że jeśli się na to zgodzi, sprzeda samego siebie, swoją duszę. Mieli wystarczająco dużo pieniędzy, by mógł zrezygnować z pracy. Lecz nie chciał tego zrobić. Teraz uśmiechał się na wspomnienie tych problemów. Tak, jakby patrzył na nie z odległej perspektywy, jakby miały miejsce wiele lat temu, a nie kilka godzin wcześniej w sypialni tego domu.

Dave wytarł się ręcznikiem i założył nowe ubranie. Wiedział już, co zrobi. Dzisiaj złoży wymówienie. Zajmie się rodziną i zacznie pisać książki medyczne. Już kiedyś jego przyjaciel z wydawnictwa namawiał go do tego. Teraz nie wydawało mu się to głupim pomysłem. Zawsze będzie mógł realizować się zawodowo na jakiejś zaprzyjaźnionej uczelni, na pewno to też nie będzie stanowiło problemu.

Z łazienki wyszedł zupełnie odmieniony. To był co prawda ten sam trzydziestopięcioletni Dave Porter, jednak w jego wnętrzu nie było już konfliktu, który zżerał go od środka przez tak wiele lat. Dave Porter wreszcie odnalazł swoją drogę, ścieżkę życia, z której już nigdy nie zboczy.

Ostatni dzień w pracy. Uśmiechnął się do siebie na samą myśl o podjętej decyzji. Zajrzał jeszcze do pokoju córki. Spała przytulona do pluszowego potwora, bohatera jakiejś nowej, kosmicznej kreskówki. Uśmiechała się przez sen, zupełnie tak, jak jej matka. Dave delikatnie musnął ustami jej czoło, tak żeby nie przerwać snu. Wreszcie poczuł ulgę. Po raz pierwszy myślał zupełnie jasno, zupełnie jasno widział przyszłość swoją, Joan i Andrei.

W końcu wyszedł z domu, zamknął za sobą furtkę i wszedł do poduszkowca, który już na niego czekał.

### ROZDZIAŁ 3

Dobrze, że pan już przyjechał! – Tomas, asystent Dave'a, wysoki i przygarbiony blondyn czekał na lądowisku Ośrodka. Porter zauważył, że młodzieńcowi trzęsą się ręce, gdy podawał mu dłoń na przywitanie.

– Co się stało? – zapytał chłodno, starając się uspokoić wzrokiem blisko dwumetrowego dryblasza.

– Tego jeszcze nie mieliśmy, dyrektorze! Zawiadomiłem pana natychmiast, jak tylko to się wydarzyło!

Głos asystenta to wznosił się, to opadał, chłopak zupełnie stracił nad nim kontrolę. Dave nie mógł wyciągnąć zbyt wielu wniosków z jego pierwszych słów. Młodzieniec zawsze wydawał mu się klinicznym przykładem wielkiego chaosu osobowości. Jednak wzburzenie Tomasa i sam fakt, że czekał na Dave'a przed Ośrodkiem, wiele mówiły o randze sprawy.

– Czy profesor Pawłow został już powiadomiony? – zapytał. To pierwsze, co przyszło mu do głowy. Pawłow zawsze pilnował, żeby być informowanym na bieżąco. Musiał wiedzieć o tym, co działo się w Ośrodku, z pierwszej ręki. W końcu był tu najważniejszą osobą.

– Tak, powiadomiłem go od razu, panie Porter. Akurat byłem wtedy na dyżurze. To profesor kazał mi błyskawicznie sprowadzić pana do Ośrodka. Tak właśnie powiedział, błyskawicznie! – odpowiedział rzeczowo asystent.

Wreszcie znaleźli się na schodach prowadzących do budynku. Ośrodek Badań Pozaziemskich był potężnym gmachem ukrytym przed ludzkim wzrokiem w leśnym kompleksie na terenie jednostki wojskowej. Wyglądał jak wojskowy szpital i w sumie gdyby postronny obserwator tak zinterpretował jego funkcję, niewiele by się w swojej ocenie pomylił. Zewnętrzna elewacja i układ budynku nie różniły się od tych, które istniały tu jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Wtedy rzeczywiście miejsce to służyło jako lecznica dla armii. Teraz jednak wewnątrz gmachu uległo całkowitej przemianie. Było to jedno z najbardziej strzeżonych miejsc w kraju, z wieloma, podziemnymi kondygnacjami przemienionymi w głównej mierze na laboratoria i zespoły magazynowe. Właśnie tu Dave Porter spędzał większość swojego życia.

Drzwi rozsunęły się przed nimi zachęcająco. Znaleźli się w ciepłym, jasno oświetlonym pomieszczeniu. Dave ruszył za asystentem w stronę pierwszej śluzy. Najpierw musieli poddać się odpowiednim procedurom bezpieczeństwa. Uciążliwym, lecz niezbędnym. Wkroczenie do Ośrodka było równoznaczne z wejściem do zupełnie innego świata. Właściwie innych światów. Każde piętro, nawet poszczególny moduł magazynowy, przedzielone były komorami i śluzami, które pozwalały zachować odpowiedni mikroklimat dla zbiorów, skamielin i roślin prowadzanych z najodleglejszych układów planetarnych. Tu nieznanne zwykłemu człowiekowi rośliny, owoce i warzywa przechodziły najbardziej drobiazgowo badania. Niektóre dopuszczano na rynek po wydaniu odpowiednich certyfikatów, inne określano mianem niedozwolonych lub też przeznaczano do dalszych badań i zastosowań, choćby w farmacji i medycynie. Dziesiątki biologów, geologów, inżynierów i techników głowiło się w swoich zespołach, w jaki sposób zastosować zdobyte techniki innych ras, jakie korzyści wyciągnąć z eksportu produktów organicznych i nieorganicznych lub w którym kierunku rozszerzać ekspansję poznawczą nowych światów.

Ubrania ochronne były niewygodne, założyli je tuż przed wejściem do śluzy. Dave przyzwyczał się do nich wiele lat temu, tak jak do dwóch androidów czuwających nad bezpieczeństwem Ośrodka. Roboty przeprowadziły rutynową kontrolę tożsamości i dopiero po dopełnieniu tych formalności pozwolono im wejść do klatki odkażającej.

– Powiesz wreszcie, o co chodzi? – spytał, nie wytrzymując Dave, gdy zajęli miejsca na przezroczystych fotelach zainstalowanych w pomieszczeniu. Mieli teraz chwilę na spokojną rozmowę.

– Pamięta pan maszynę, którą przywieźli trzy miesiące temu? – Tomas wciąż nie panował nad swoim podnieceniem. Usiadł, zakładając nogę na nogę w sposób, w jaki zwykły to robić kobiety. Machał teraz niebezpiecznie stopą, jakby chciał nią wybić komuś zęby. Porter miał wrażenie, że kolano asystenta zrobione jest z gumy.

– Pamiętam – odpowiedział krótko, przywołując znajomy obraz w pamięci.

Był jednym z pierwszych, którzy zobaczyli to dziwne urządzenie na własne oczy. Nie potrafił wyrzucić z pamięci metalowego, budzącego w nim niezrozumiały lęk, korpusu. Teraz zdrzął na myśl o nim, jakby jakaś utajona, ukryta głęboko obawa wzięła górę. Jakby zdał sobie sprawę, że od początku, podświadomie wiedział, że ta maszyna znów pojawi się w jego życiu i nic nie będzie mógł na to poradzić. Dave rozumiał, że wtedy zlekceważył swoje przeczucia, stłamsił je, spychając na dno świadomości. Jak widać nie na długo.

Szybko przypomniał sobie wszystkie fakty. Ekipa eksploracyjna dostarczyła przesyłkę na Ziemię na polecenie Pawłowa. Samo urządzenie znaleziono na planecie, którą skolonizowano stosunkowo niedawno. Co najdziwniejsze, wcześniej, oprócz kilku najbardziej prymitywnych form życia, nie zarejestrowano tam obecności jakiegokolwiek cywilizacji, nie znaleziono nawet najmniejszego śladu pozostawionego przez inteligentną rasę.

Urządzenie to jednak niewątpliwie było tworem obcej, nieznanego nikomu cywilizacji. Dave czuł się tak, jakby odkryli zakopany w ziemi artefakt. Przesyłkę sprzed setek lat, która przypadkiem trafiła w niepowołane ręce. Z takimi stopem i technologią, jakie zostały użyte przy produkcji maszyny, nie spotkano się w żadnym znanym układzie planetarnym. Od początku sztab uczonych próbował odgadnąć, do czego służyło znalezisko. Bez sukcesu.

Pierwsze pytania, które musiały się pojawić, nie napawały Portera optymizmem. Nie potrafił się cieszyć jak inni z odkrycia. Sam nie wiedział, dlaczego. Może bał się odpowiedzi. To one napawały go tym niezrozumiałym lękiem. Podejrzał, że maszynę ktoś ukrył, w dodatku wybrał do tego odległą, zapomnianą przez Boga planetę. Dlaczego? Dlatego, że stanowiła zagrożenie? Czy dlatego, że była tak cenna? I jedna, i druga ewentualność nie wróżyły najlepiej. Ukryto ją po to, żeby nikt jej nie znalazł, czy wręcz przeciwnie, natrafić na nią miała rasa, która była wystarczająco rozwinięta, by podróżować w kosmosie i kolonizować odległe planety? Dave zawsze uważał, że są sprawy, których lepiej nie poznawać i pozostawić je samym sobie. Pracował jednak w miejscu, w którym takie pytania zadawano wręcz z uwielbieniem i co ważniejsze, oczekiwano na nie precyzyjnych odpowiedzi.

– Więc po co mnie wezwaliście? – zapytał ostrożnie. Wzruszył ramionami i założył ręce na piersi, jakby chciał się odciąć od wszystkiego, co zaraz będzie tu powiedziane. – Co ja mam z tym wspólnego? Przecież nie zajmuję się technologią, nie jestem inżynierem. Macie od tego Marka Sumiaka, został wybrany jako tymczasowy koordynator inżynierii. Zna się na tym najlepiej.

– Ale doktorze. – W kącikach ust Tomasa pojawiły się kropelki śliny. Nerwowo zaczął gestykulować dłońmi, jakby to on paradoksalnie próbował uspokoić Dave'a. – Urządzenie zadziałało! Samo z siebie. Kilka godzin temu zgasły u nas wszystkie światła. Profesor Pawłow powiedział, że to coś w jakiś sposób pobrało energię z naszej sieci. Na szczęście włączyło się zasilanie awaryjne i...

– No dobrze, ale dalej nie widzę związku! To nie moja działka! – krzyknął Porter.

Nie kontrolował swojego głosu. Czuł, że zaczyna drżeć, jakby był w ostatnim stadium delirium. Przymknął oczy i wziął głęboki oddech. Postanowił, że będzie trzymał się swojego

planu. Cały czas powtarzał go w duchu, krok po kroku. Złoży wymówienie, rzuci je na biurko Pawłowa i jak najszybciej stąd wybiegnie... a potem, potem wróci do domu. Nie chciał niczego innego.

– To chyba, teleporter... W maszynie pojawiło się ciało. Martwe ciało jakiegoś faceta! – Tomas wstał zbyt szybko, mało brakowało, a przewróciłby się, zahaczając pałkowatymi nogami o krzesło.

– Ktoś pewnie zrobił wam kawał! Podrzucili ciało z kostnicy. – Dave sam nie wiedział, czy stara się teraz myśleć trzeźwo, czy szuka rozpaczliwej wymówki. Także podniósł się z fotela. Bardzo chciał wierzyć w to, co przed chwilą powiedział.

– Nie, panie doktorze! – Asystent potrząsnął głową jak młody żrebak. Kropelki śliny opryskały mu podbródek. – Technicy sprawdzili wszystkie możliwości. To ciało przywędrowało z tamtej planety.

W tej chwili w pomieszczeniu zapaliło się zielone światło i drzwi służby zostały otwarte. Dave nie był w stanie zrobić kroku w stronę wyjścia, długo patrzył na asystenta. Wyglądał tak, jakby chciał wepchnąć mu z powrotem do gardła wszystkie słowa, które przed chwilą usłyszał. Przeczynał, że właśnie w tej chwili uruchomiony został łańcuszek zdarzeń, które prędzej czy później wymkną się spod kontroli.

Tomas zamilkł, jakby tknięty jakimś przecuciem, spuścił wzrok i wpatrzył się w swoje buty. W służbie zapanowała martwa cisza. Porter walczył ze sobą. Przez chwilę wyglądało na to, że podda się podszeptom w głowie, obróci na pięcie i czym prędzej wyjdzie z Ośrodka. Nie zrobił tego jednak. Po prostu nie był do tego zdolny. Wolnym krokiem opuścił pomieszczenie i ruszył długim korytarzem w stronę laboratorium. Uchylił się w ostatniej chwili; mało brakowało, a zderzyłby się z krystalicznym ekranem, sunącym z ogromną szybkością w stronę wchodzących. Wyświetlacz wyhamował zaledwie kilka cali od jego głowy.

– Witam na pokładzie, Dave! – Twarz profesora Pawłowa wykrzywiła się w elektronicznym grymasie mającym przypominać uśmiech.

– Witam – odpowiedział krótko Porter.

– Zaraz się przekonasz... zaraz wszystko zobaczysz! – Profesor wrzeszczał, chyba nie zdawał sobie sprawy z mocy głośników, jakimi dysponował przekaznik.

Dave spojrział na niego obojętnie i ruszył przed siebie. Monitor sunął na potężnym wysięgniku obok nich. Można było powiedzieć, że dotrzymywał im kroku. Profesor Pawłow uśmiechał się przez cały czas tajemniczo. Nie spuszczał Portera z oka nawet na moment.

– Wreszcie jesteś – odezwał się ponownie dopiero po chwili. Być może oceniał wcześniej, jak Dave reaguje na usłyszane rewelacje, albo po prostu dał mu chwilę wytchnienia. – Kazałem przenieść ciało do twojego laboratorium. Czeka tam na ciebie. Jedyne, co do tej pory stwierdziliśmy, to brak funkcji życiowych.

– Próbowaliście przywrócić akcję serca? – zapytał z wahaniem Dave.

– Nie było sensu. – Pawłow mówił wolno, zdawało się, że zbiera myśli. – Nie żył już przed teleportacją.

– Czy wyście zwariowali z tą teleportacją? – Porter się zaperzył. Wyraźnie tracił cierpliwość, wszystko i wszyscy działali mu na nerwy. Wciąż nie dawał wiary teorii, którą wysnuwali Pawłow i Tomas. Wiedział, że musi jak najszybciej znaleźć się w laboratorium, jeśli chce rozwiązać wszystkie wątpliwości. Teraz i jemu nie dawały spokoju. Jednak jak na złość korytarz, którym zmierzali, zdawał się nie mieć końca.

– Ale tego jesteśmy już pewni! Nie ma cienia wątpliwości. Obliczenia wszystko potwierdziły. – Twarz na monitorze wykrzywił cierpki uśmiech. – Jest nawet coś więcej, ale o tym później... – Pawłow dyskretnie spojrział na asystenta. Najwyraźniej nie chciał zdradzać przy nim wszystkich

szczegółów.

Dave zauważył, że obraz zatrzęsł się przez ułamek sekundy. W tym momencie zasięg stalowej szyny skończył się i profesor Pawłow został w tyle. Tomas pchnął ramieniem obrotowe drzwi i wkroczyli do obszernego laboratorium. Kolejny elektroniczny obraz profesora, czekał już na nich zawieszony nad stołem operacyjnym.

– Nie mamy żadnych wątpliwości – powtórzył Pawłow. – Ciało zostało przemieszczone za pomocą teleportu do naszego Ośrodka. Musimy dowiedzieć się, kim jest ten osobnik, co mu się stało i dlaczego tu trafił.

Jak zwykle profesor miał setki pytań, na które jedynie jasnowidz mógł znaleźć odpowiedź. Dave potrząsnął głową w zamyśleniu. Spojrzał na stół. Spod zielonego płótna operacyjnego wystawała dłoń denata. Porter ze zdziwieniem stwierdził, że jest ludzka. Uśmiechnął się w myślach do siebie. Dlaczego przez cały ten czas miał mylne przeczucie, że ciało należy do jakiejś obcej rasy?

– Mam zrobić sekcję? – Podszedł do stołu operacyjnego i odciągnął płótno z twarzy i ramion osobnika. Przyjrzał mu się uważnie. Młody mężczyzna około trzydziestki. Miał bardzo spokojną twarz, która w innych okolicznościach mogłaby nawet uchodzić za przystojną. – Dlaczego jeszcze nie został rozebrany?

– Profesor Pawłow nie pozwolił go ruszać – odpowiedział zmieszany Tomas. – Chciałem, ale...

– Musimy mieć pewność, że wszystko dokładnie zbadaliśmy. – Monitor podjechał jeszcze bliżej stołu. – Być może pozostawiono jakieś ślady na ubraniu. Nie wiem, odciski palców, materiał genetyczny... Może one mogą nam pomóc w wyjaśnieniu tej zagadki? Podpowiedzieć, co mu się stało?

Porter milczał. Nie lubił bawić się w Sherlocka Holmesa. Widać Pawłow przeceniał jego zdolności detektywistyczne. Nie wyobrażał sobie, żeby oględziny ubrania dały mu odpowiedź na pytanie, co stało się z tym biednym draniem leżącym na stole. W końcu nie był lekarzem sądowym. Przyszło mu jedynie do głowy, żeby przeszukać kieszenie denata.

– Tomas zdejmij z niego płótno i przygotuj sprzęt – powiedział. – A ty, zejdiesz do nas? Możesz okazać się potrzebny – zwrócił się do profesora.

Wiedział, jaka będzie odpowiedź. W końcu pytanie, jakie zadał, należało do tych retorycznych. Profesor nigdy do nich nie schodził. Co więcej, Dave tak naprawdę ani razu nie spotkał się z Pawłowem osobiście. Odkąd zaraz po studiach profesor ściągnął go do Ośrodka Badań Pozaziemskich, jedynym kontaktem, jaki między nimi istniał, był przekaz cyfrowy. Nawet, gdy uczynił go dyrektorem OBP-u, swoim nieformalnym zastępcą, nominacja została wręczona w pokoju przypominającym salę kinową. Porter pamiętał wrażenie, jakie wywarła na nim monstrualnie wielka głowa profesora gratulująca mu zasłużonego awansu.

Był pewny, że Pawłow zstąpi ze swojego centrum dowodzenia, gdy przydarzy im się coś naprawdę niespotykanego. Nie stało się tak, gdy przywieziona z odległej planety Herrakus, podobna do słonecznika roślina, okazała się przedstawicielem obcej cywilizacji. To Porter zażegnał wtedy konflikt dyplomatyczny. Zresztą trzeba przyznać, zupełnym przypadkiem. Mało brakowało, a mieszkaniec Herrakusa usechłby z pragnienia, bezskutecznie próbując dać do zrozumienia, że jest istotą rozumną. Pawłow wydawał się nie przejmować tego typu historiami. Pojawiał się na monitorze by wydać odpowiednie dyspozycje, a potem kontrolować ich wykonanie. Nic poza tym.

Wydawało się jednak, że teleportacja, o której mówiono tutaj bez przerwy, okaże się decydującym wydarzeniem, pretekstem, który zmusi Pawłowa do kontaktu osobistego ze swoimi pracownikami. Profesor był wyraźnie pobudzony, ewidentnie z trudem panował nad emocjami.

Obraz na ekranie wciąż trząsł się i poruszał, a to nie zdarzało się zbyt często. Po raz pierwszy Ośrodek Badań Pozaziemskich natrafił na tak przełomowe odkrycie. W końcu w ich świecie do dzisiaj problemu przenoszenia materii z jednego miejsca w drugie nie potrafiono rozwiązać. Bez wątplenia mieli do czynienia z artefaktem pozostawionym przez cywilizację bardziej zaawansowaną technologicznie. To otwierało szereg pytań, na które należało znaleźć odpowiedź, ale jednocześnie stwarzało zagrożenie. W końcu nie wiedzieli, z czym i z kim mają do czynienia.

– Co teraz zamierzasz zrobić? – Pawłow, tak jak można było się spodziewać, zignorował pytanie, wciąż nie miał najmniejszego zamiaru ruszyć się ze swojego gabinetu.

– Przeszukam kieszenie. – Dave zrozumiał, że jeśli w takich okolicznościach prowokacja się nie udała, to raczej nigdy nie będzie miał szansy porozmawiać ze swoim pracodawcą na żywo. – Być może znajdziemy coś, co pomoże nam wyjaśnić zagadkę.

– Dobrze! – Monitor ustawił się centralnie nad stołem operacyjnym, oko kamery skoncentrowało się na dłoniach Portera. – I masz coś?

Dave poczuł na karku nieprzyjemne ciepło. Pokręcił przecząco głową. Kieszenie były puste. Ktoś widać zadbał o to, by przy denacie nie znaleziono zbyt wielu informacji.

– Zdejmujemy ubranie...

Porter starał się wolno rozpinąć kombinezon mężczyzny. Często zdarzało się, że błyskawiczne zamki zacinęły się w najmniej odpowiednim momencie. Żeby wydobyć ciało, musiałby wtedy użyć nożyczek. To oznaczało stratę czasu, a wolał mieć to wszystko jak najszybciej za sobą. Przecież jeszcze dzisiaj chciał złożyć wymówienie.

– Tomas, pomóż przewrócić mi ciało na bok – powiedział niecierpliwie. – Będzie wygodniej!

Asystent podskoczył w stronę stołu jak oparzony. Zawsze rwał się do pracy. A teraz zapewne zdawał sobie sprawę, że bierze udział w czymś zupełnie wyjątkowym. Taka okazja nie mogła mu przejść koło nosa. Pewnie i tak cieszył się jak dziecko, że pozwolili mu zostać w laboratorium. Bez większego wysiłku wykonał polecenie Portera.

– Dyrektorze, musi pan to zobaczyć! – krzyknął. Jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki, aż zatrzęsł się z podniecenia. – Musi pan tu podejść!

Dave szybkim krokiem obszedł stół. Chciał lepiej przyjrzeć się temu, co zauważył Tomas. Monitor momentalnie poszedł w jego ślady, mało brakowało, a Porter zderzyłby się z ciekawskim obliczem Pawłowa.

– Ale dziura! – zapiszczał cienkim głosem profesor.

Rzeczywiście, teraz i Dave dostrzegł ślad na plecach denata, wypalony najpewniej promieniem lasera bojowego. Tego typu ranę potrafił rozpoznać bezbłędnie. Miał do czynienia z podobnymi przypadkami wiele lat temu, w czasie stażu wojskowego, podczas operacji „Planetarny Pokój”.

– Chyba znaleźliśmy przyczynę śmierci tego faceta? – odezwał się Tomas. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w poszarpane brzegi rany.

– Zaraz się przekonamy – odpowiedział spokojnie Porter. Wrócił na swoje miejsce starając się zachować spokój. – Nie przerywaj. Zdejmuj z niego ubranie, tak jak poleciłem.

Gdy kombinezon został zsunięty z ciała mężczyzny, tym razem Dave zamarł w niedowierzaniu. Z trudem oparł się odruchowi przetarcia oczu ze zdumienia. Dopiero po chwili zrozumiał, co tak naprawdę zobaczył. Ciemne znaczki na piersi denata wytatuowane były w pośpiechu, niestarannym charakterem pisma. Układały się w wyrazy i zdanie.

– To ciało Michaela Chandlera... – odczytał na głos Tomas. On także zdążył zauważyć tatuaż, a nieoczekiwanie zachował chyba największą przytomność umysłu.

Dave mimowolnie zacisnął szczęki. Coś się z nim działo. Nie potrafił tego zrozumieć, tracił kontrolę nad emocjami. Czuł, że dłonie nienaturalnie mu się pocą. Patrząc na napis, odczuwał

niepokój, irracjonalny niepokój. W pierwszej chwili nie potrafił określić jego źródła. Miał wrażenie, że miejsce, w którym się znajdował, zachowanie jego i towarzyszących mu osób są zupełnie nierzeczywiste. Z trudem przełknął ślinę. Miał nadzieję, że Pawłow nie widzi, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Kto by pomyślał? – Asystent cieszył się jak dziecko. Zachowywał się tak, jakby znalazł w piaskownicy zabawkę, na którą nigdy nie było stać jego rodziców. – Tego chyba jeszcze nie mieliśmy? Dziwne, doktorze, prawda?

Dave skinął głową. Nie był w stanie się odezwać. Bał się, że nie zapanuje nad drżeniem głosu.

– Michael Chandler? – Pawłow na szczęście nie zwrócił uwagi na reakcje Portera. Patrzył zafascynowany na ciało. – Ktoś nam ułatwił sprawę, nie? – Profesor zaśmiał się chrapliwie. – Każę go natychmiast sprawdzić. Musimy się dowiedzieć, kto to jest?! Kim jest Michael Chandler?

Z telewizyjnego przekazu znikła momentalnie fonia. Profesor kontaktował się teraz z centralnym systemem informacyjnym. Sprawdzał, czy istnieje w kartotekach człowiek o nazwisku Michael Chandler. W danych służb specjalnych, do których dostęp miał Ośrodek, znajdowały się wszystkie informacje o każdej istocie w tej galaktyce.

– Przewróć go na brzuch, Tomas. – Dave odzyskał panowanie nad głosem. – Muszę zbadać ranę. Od niej zaczniemy.

– Jasne, doktorze. – Asystentowi nie trzeba było powtarzać. Sprawnie wykonał polecenie.

Porter założył gumowe rękawiczki i dotknął delikatnie brzegów rany. Nie miał wątpliwości. Spustoszenia dokonała broń będąca na wyposażeniu androidów bojowych. Zbyt często miał do czynienia z tego typu obrażeniami. Ostrożnie włożył palce w długi otwór. Zdziwił się, rana nie była głęboka, w sumie dałby głowę, że uszkodzone są jedynie wierzchnie warstwy mięśni i tkanka łączna. Ta sprawa była coraz dziwniejsza.

Przyjrzał się uważniej rozcięciu. Na pierwszy rzut oka wyglądało paskudnie, ale teraz utwierdził się w przekonaniu, że Chandler nie mógł zginąć z powodu postrzału czy nawet gwałtownego upływu krwi. Żaden z ważnych organów nie został uszkodzony, fizycznie denatowi zbyt wiele nie dolegało. Powinien być zdrow jak ryba, choć bezsprzecznie leżał na tym stole martwy.

Wszystkie te myśli przysły do głowy Dave'a w jednej chwili. Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym bardziej czuł ogarniającą go słabość. Podświadomie wiedział, że z nikim nie może podzielić się swoją obserwacją. Przynajmniej nie w tej chwili.

– Mamy go! – Pawłow znowu poruszył się na ekranie. – Niejaki Michael Chandler, odpowiadający rysopisowi, mieszka w Nowym Yorku. Drań śpi teraz pewnie w swoim łóżku i nie wie, co go czeka! Musimy się tylko upewnić, że to na pewno on.

– W porządku, zróbcie to – zdecydował Dave. I tak zamierzał przerwać badanie, za bardzo trzęsły mu się dłonie. Poza tym musiał sprawdzić kilka rzeczy, które niepokoiły go od dłuższego czasu, a chciał to zrobić sam. Teraz miał pretekst, by pozbyć się z sali operacyjnej Tomasa. – Sprawdzimy jego DNA i prześwietlimy szczękę. Tomas, pobierz też odciski palców i zeskanuj siatkówkę. Wszystkie dane porównasz z tymi z kartoteki.

Asystent niechętnie skinął głową, ale nie miał odwagi zaprotestować. Chciał zostać przy dalszej obdukcji, a nie zasuwać do pokoju analiz i zajmować się papierkami. Nie wyobrażał sobie, żeby ktokolwiek mógł lubić taką robotę.

Dave jednak nie miał litości. Pomógł asystentowi pobrać próbki i uruchomić skaner. Dane skwapliwie zapisał i przesłał siecią do komputera w pokoju analiz. To pozwoliło mu pozbyć się Tomasa z pomieszczenia. Pozostał jeszcze jeden problem, Pawłow.

– Gdy tylko potwierdzimy, że to ten sam Chandler, skontaktujemy się z nim jak najszybciej.  
– Profesor nie przeczuwał, że w jednej chwili stał się intruzem we własnym Ośrodku. Jak zwykle rozmyślał nad sprawną organizacją dalszej pracy.

– Nie rozumiem, jak chcesz skontaktować się z kimś, kto leży martwy na stole w naszym laboratorium? – Dave postanowił wykorzystać sytuację i wyciągnąć z szefa kilka dodatkowych informacji. Miał nadzieję, że choć trochę rozjaśni to wątpliwości i podejrzenia kłębiące się w głowie.

– Jeszcze ci tego nie powiedziałem?! – Pawłow ostentacyjnie uderzył się otwartą dłonią w czoło. – Choć w sumie powinieneś być się już domyślić! Przecież obecność Michaela Chandlera na naszym stole operacyjnym i jego jednoczesne przebywanie w innym miejscu, na tej planecie, zupełnie się nie wykluczają!

– Jak to? – Porter zaczął słuchać z większym zainteresowaniem.

– Nie chciałem tego mówić przy Tomasie, Dave. Ale ten teleport nie służy jedynie do przenoszenia materii w przestrzeni. On przenosi także w czasie! To jest maszyna czasu!

– Żartujesz sobie? – Porter wpatrywał się w monitor. Miał nadzieję, że profesor uzna jego nagłą bladość za efekt świetlny emitowany przez ekran.

– Nie, nie mam takiego zamiaru. Ciało Michaela Chandlera zostało przesłane do nas z przyszłości. Odstęp czasowy można określić na maksimum kilkanaście dni – głos Pawłowa wzbił się donośnym echem pod sufit. Narzędzia chirurgiczne zadrżały złowieszczo na operacyjnym stole. – W tej chwili Michael Chandler przebywa najpewniej w swoim apartamencie w Nowym Yorku i nawet nie wie, że za kilka lub kilkanaście dni pojawi się na innej planecie. Biedak w najgorszych snach nie mógłby przypuszczać, że to będzie dopiero początek jego problemów. Przecież ktoś go tam zabije i potem prześle jego zwłoki do naszego laboratorium!

Porter przez chwilę ważył znaczenie słów wypowiedzianych przez profesora. Nie mógł zebrać myśli. Odczuwał nieprzyjemne klucie pod żebrami.

– To znaczy, że przesłali go z przyszłości? Ale kto? – zapytał ostrożnie.

– To właśnie będziemy musieli ustalić, Dave. Musimy wiedzieć, kto dysponuje tak zaawansowaną technologią. Przypadkowo trafiła ona w nasze ręce. Boję się, że ten ktoś będzie chciał ją odzyskać.

– Bardzo wiele znaków zapytania, profesorze – zauważył Porter. Starał się, żeby jego głos zabrzmiał swobodnie, w rzeczywistości wszystko się w nim gotowało. – Same zagadki.

– Masz rację, Dave. – Pawłow uśmiechnął się szczerze. – A ich rozwiązaniem może okazać się Michael Chandler. Dlatego musimy jak najszybciej ustalić, gdzie ten facet się znajduje...

Dave podjął decyzję. Wystarczyło mu to, co usłyszał. Wiedział, że w tej chwili nie wyciągnie od profesora więcej informacji. Teraz musiał działać sam. Powinien jak najszybciej przeprowadzić kolejne badania. To oznaczało, że trzeba jakoś pozbyć się profesora z laboratorium.

– Nie obawiasz się, że Tomas może sobie z tym wszystkim nie poradzić? Może okazać się, że to za dużo informacji na raz, jak na jego możliwości. Jeszcze popełni jakiś błąd. Lepiej go przypilnować – powiedział niby od niechcienia. Specjalnie zawiesił głos, zasiewając w duszy profesora ziarno niepewności.

– Racja! – Profesor jakby nagle z czegoś zdał sobie sprawę. Zawsze kręcił nosem na nieporadność i roztrzępanie Tomasa. Obawy najwyraźniej wróciły w odpowiedniej chwili. – Poradzisz tu sobie beze mnie? Ja go przypilnuję!

– Jasne – odpowiedział Dave z wymuszonym uśmiechem.

Począł, aż twarz Pawłowa zniknie z ekranu. Odetchnął z ulgą i obrócił monitor w stronę ściany. Musiał się pośpieszyć. Pawłow mógł przecież w każdej chwili wrócić na salę operacyjną.



Porterowi nie było to na rękę. Musiał coś sprawdzić, a pojawienie się profesora mogło poważnie skomplikować sytuację.

Zbliżył się do stołu i wsunął ręce pod pachy denata. Ponownie spróbował unieść mężczyznę, tym razem sam. Jego podejrzenia potwierdzały się. Tak jak wcześniej zauważył, ciało nie zdradzało typowych objawów stężenia pośmiertnego, poza tym miało mniejszą wagę, niż powinno.

Dave przywołał robota specjalistę od badań ogólnych i nowoczesny tomograf. Analiza dodatkowych danych trwała zaledwie kilkadziesiąt sekund. Maszyna błyskawicznie wypłukała wyniki, o które prosił.

Wiek biologiczny denata został określony na dwadzieścia osiem lat. Stan zdrowia jako nienaganny. Oprócz szramy na plecach, mężczyźni nigdy nic nie dolegało. Przyczyna śmierci Chandlera, czego Porter się spodziewał, nie tkwiła w postrzale. Ciało, które leżało przed nim na stole operacyjnym, tak naprawdę nigdy nie żyło, nigdy nie funkcjonowało. To nie był Michael Chandler, tylko jego wierna replika. Klon, manekin, który nigdy nie miał duszy.

Dave otarł chusteczką pot z czoła. Pozostała jeszcze ostatnia rzecz, którą musiał sprawdzić. Najważniejsza. Ta, która przez cały ten czas nie dawała mu spokoju. Podeszedł do biurka po papier i ołówek. Zawahał się przez moment, a później swoim zamaszystym charakterem napisał – „To ciało Michaela Chandlera”. Wrócił do stołu operacyjnego i przyłożył kartkę do piersi denata. Nie mogło być wątpliwości. Ten charakter pisma znał bardzo dobrze. Zbyt dobrze.

## ROZDZIAŁ 4

Sanders Macloud czekał na moment, w którym negocjatorzy zaczną wychodzić z budynku. Doświadczenie podpowiadało mu, że w tej chwili wśród terrorystów zapanuje mimowolne rozluźnienie. W tym upatrywał szansy, którą bezwzględnie należało wykorzystać.

Sprawdził broń. Blaster był gotowy do użycia. Przełączył go kciukiem prawej dłoni na bliski zasięg. Czekala go konfrontacja w małych pomieszczeniach, nie mógł dopuścić, by doszło do przypadkowych ofiar wśród zakładników.

Pokonał kilka kolejnych metrów szybu wentylacyjnego. Czołgał się ostrożnie. Nie chciał wywołać najmniejszego szmeru. Musiał dotrzeć niezauważony do pomieszczenia na zapleczu Ambasady. Przytłumione światło kontrolne naprowadziło go na kratę zabezpieczającą. Spojrzał w dół, ocenił sytuację. Nie wyczuwał zagrożenia. Wyglądało na to, że teren jest czysty. Podważył aluminiową ramę i odsłonił wejście. Odczekał kilka sekund, a potem opuścił się na podłogę.

Pudła z aktami były porozrzucane po pomieszczeniu. Dębowe regały opierały się o ściany pod nienaturalnym kątem. Przypominały poprzewracane kostki domina. W każdej chwili mogły runąć na ziemię. Na szczęście żaden z nich nie zatarasował drzwi prowadzących do największego pomieszczenia Ambasady. Trzech terrorystów przetrzymywało tam blisko dwudziestu zakładników.

Sanders spojrział na zegarek. Właśnie w tej chwili Artur Vinci, policyjny negocjator, wycofywał się z budynku. Zgodnie z ustaleniami, chwilę wcześniej miał zablokować. Terrorysty powinni uwierzyć, że większość ich żądań zostanie spełniona. Macloud był pewien, że wszystko odbywa się według ustaleń. W kłamstwie Vinci nie miał sobie równych.

Teraz przysłała kolej na jego ruch. Jeśli nie zdecyduje się na interwencję, szanse radykalnie stopnieją. Z kieszeni skórzanej kurtki wyjął urządzenie, w które zaopatrzone go dziś rano. Ciekłokrystaliczny ekran z cienkim jak nitka światłowodem. Sanders zbliżył się do drzwi po czym przepchnął kabelek przez dziurkę od klucza. Aktywował urządzenie i spojrział na obraz przekazany przez szerokokątny obiektyw.

Macloud, przed samym wejściem do Ambasady, przestudiował plan obiektu i uznał rozplanowanie pomieszczeń za szczęśliwe dla siebie. Jego uwadze nie uszedł fakt, że drzwi zaplecza, w którym teraz się znalazł, nie były widoczne od strony sali, gdzie przetrzymywano zakładników. Policyjne maszyny kontrolne we wstępnych analizach oceniły szanse powodzenie interwencji jako wysokie. Dlatego został wysłany. Macloud jednak nigdy nie polegał na tego typu analizach. Poznał życie wystarczająco dobrze, żeby widzieć, że istnieje coś takiego jak czynnik niepoddający się żadnym liczbom i statystykom.

Przez ułamek sekundy na ekranie mignęła postać jednego z terrorystów. Był odwrócony tyłem do zaplecza. Całą uwagę poświęcał temu, co działo się w głównym holu i szybko znikł z zasięgu kamery. Palce Sandersa wprawnie przesunęły się po plastikowych guziczkach. Powiększył kilka sektorów, przyglądając się uważniej miejscu, w którym za chwilę miał się znaleźć. Musiał się upewnić, że otwarcie drzwi nie zostanie zauważone, a on sam będzie miał wystarczająco dużo miejsca, by się swobodnie przemieścić.

Po chwili potwierdził swoje obliczenia i odłożył urządzenie. Nadszedł czas na przekazanie umówionego sygnału do centrali. Podciągnął lewy rękaw i wcisnął umieszczony w zegarku nadajnik, przekazując pojedynczy sygnał. Reakcja była natychmiastowa. Powietrze przeszył ostry dźwięk megafonu, dobiegający z ulicy nawet do uszu Maclouda. Kapitan Gunters przekazywał terrorystom kolejne informacje. Był to znak dla Sandersa, by przystąpił do działania.

Przysunął się do ściany przy drzwiach i wyciągnął z kieszeni elektroniczny wytrych. Przyłożył go do zamka i odczekał, aż urządzenie dopasuje do niego swój kształt. Już po chwili nacisnął klamkę i uchylił minimalnie drzwi. W dłoni znów znalazł się blaster. Sanders błyskawicznie ocenił sytuację i wśliznął się do pomieszczenia, zamykając za sobą przejście na zaplecze.

Przesunął się wzdłuż ściany i zatrzymał dopiero przy jej końcu. Tu przykucnął i na ułamek sekundy wychylił zza węgła. Zobaczył wnętrze holu. Dostrzegł większość zakładników, leżeli na podłodze, twarzą do ziemi. Dłonie mieli założone na głowę. Trzech masywnych Cyntaksów nerwowo poruszało się po pomieszczeniu. Przypominali lwy zamknięte w klatce. Byli uzbrojeni po zęby. Tak jak można było się spodziewać, całą uwagę poświęcali zrozumieniu słów Guntersa.

Sanders wychylił się ponownie. Upewnił się, że jeden z terrorystów ma przypięty do klatki piersiowej ładunek wybuchowy. Tego musiał zdjąć w pierwszej kolejności. Wyprostował się. Uniósł broń, ściskając kolbę w obu dłoniach i wkroczył do holu. Nikt go nie zauważył. Wymierzył dokładnie, w głowę obwieszoną plastikiem Cyntaksa. Nacisnął delikatnie spust. Głowa terrorysty odskoczyła i rozerwała się w fontannie krwi. Sześć par gumiaстых odnóży przeszły śmiertelny dreszcz. Zaskoczenie było totalne. Dwaj pozostali przy życiu obcy nie zdążyli odpowiedzieć ogniem. Sanders zlikwidował ich w ułamku sekundy. Nie mieli żadnych szans, tak jak wielu ich poprzedników.

Wyszedł z budynku Ambasady na ulicę. Kilkanaście policyjnych samochodów otaczało gmach półkołem. Błękitnokrwiste pulsujące światła odbijały się od szyb okolicznych budynków. Policjanci nerwowo biegali z miejsca na miejsce. Jak zwykle zupełnie bez celu. Sanders nie zwracał na nich uwagi. Spojrzał w niebo. Właśnie zaczął siąpić drobny, kłujący policzki deszcz. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio nad miastem zebrały się burzowe chmury. Wiedział, że mżawka zaraz minie, równie szybko jak się pojawiła. A szkoda. Równie dobrze mogłoby padać do końca świata, do chwili aż woda zmyje cały ten bród i zatopi to cholerne miasto, i planetę. Macloud przekroczył parującą ciepłem ulicę, minął kilku gapiów i skierował się w stronę najbliższego pubu.

O tej porze nie było tu wielu klientów. Mimo to mężczyzna za barem zmierzył go nieprzychylnym wzrokiem. Być może nie lubił, gdy ktoś zakłócał mu spokój. Macloud podszedł do lady i rzucił na blat banknot o wysokim nominale. Wskazał palcem trunek, na który miał ochotę. Kiedy go dostał, ruszył w głąb pomieszczenia.

Usiadł za przepierzeniem, tak by poczuć, że jest w stanie odciąć się od świata. Odsunął stojący na stoliku wazon ze sztucznym kwiatkiem, a na jego miejscu postawił szklankę z podwójną whisky. Dłonie oparł na brudnym obrusie.

Zamyślił się. Odczuwał zmęczenie, którego nie powinien czuć. Targały nim uczucia, których nie powinien mieć. Gdzieś w środku załagał mu się robak, trawiący wszystko, co napotkał na swej drodze. Sanders wiedział, że jedna whisky go nie zabije.

Czyżby skrupuły? Pytanie wracało po raz kolejny. Przecież to było niemożliwe! Zabijał w imię ludzkości. W obronie życia każdego pojedynczego człowieka. To było jego zadanie. Do tego był stworzony. Więc dlaczego czuł się bliższy tym, których prześladował? Może dlatego, że także czuł się „inny”?

Tak, zawsze był inny. Takim go stworzyli. Macloud odnalazł w sobie myśli, których zawsze się bał. Odpychał je daleko od siebie, odrzucał jak niepotrzebne dane, zaśmiecające prosty i czytelny przekaz, którym winien się kierować. Teraz zdał sobie sprawę, że robił to bezskutecznie. Przyniosło to efekt zupełnie inny od oczekiwanego. Zmienił się, nie był tym, kim miał być. Zaśmiał się głośno do samego siebie i do pełnej, stojącej przed nim szklanki. Czym stawała się dla niego ludzkość? Kolejnym słowem opisującym pöldiotów? Ludzkość? Znał to słowo?

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że tak naprawdę brzydził się strachem tamtych zakładników, nie terrorystów. Zakładników! To ich miał ochotę rozwalić, jednego po drugim.

Macloud po raz pierwszy dostrzegł rzeczy takimi, jakimi były. Wcześniej działał jak automat, nie myśląc o konsekwencjach. Wykonywał po prostu polecenia. Jednak teraz zaczynał rozumieć. Guntersowi za bardzo zależało na jego przybyciu do Ambasady, choć mógł załatwić sprawę innymi środkami. Wezwanie Sandersa zawsze oznaczało wyrok śmierci. Od początku było jasne, że nie zamierzali spełnić żądań Cyntaksów. Nie mieli nawet zamiaru z nimi rozmawiać. Dokładnie zaplanowali eksterminację. Posłużyli się nim jak narzędziem i to tak, by zgniół obcych niczym dokuczliwe robactwo.

– Tu jesteś? – Kapitan Gunters przerwał potok myśli rozsadzających czaszkę Sandersa. Zatrzymał się przy stoliku, uważnie przypatrywał się podwładnemu.

– Czego pan chce? – zapytał szorstko Macloud. Sam zdziwił się tonem swojego głosu.

– Przysiąść się. Mogę? – Gunters uniósł pytająco brwi. Nie zwrócił uwagi na oschłą intonację.

– Proszę – odpowiedział podwładny. Przez cały ten czas nie poruszył się nawet o milimetr.

Kapitan zdjął czapkę i wcisnął się na siedzenie naprzeciw. Poprawił płaszcz i zapatrzył się w jego whisky.

– Mam dla ciebie zlecenie – odezwał się po chwili.

Nie widząc reakcji, mówił dalej:

– Zgłosił się do nas OBP z prośbą o pomoc. Powiedzieli, że chcą ciebie. Uznali, że najlepiej nadajesz się do tej misji.

– Dlaczego ja? – zapytał Macloud.

– Wiedzą, że znasz obcych najlepiej. Nikt tak sobie z nimi nie radzi. Ja też tak uważam.

Sanders zacisnął szczękę. Cóż za komplement. Wiedział, o jakim radzeniu sobie mówi kapitan. Chciał mu powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić swoje uznanie, ale się powstrzymał.

– Musisz stawić się u nich za godzinę. Zdasz się przygotować...? – Gunters zawiesił głos i strzepnął okruszki z obrusu na ziemię.

– Tak! – odpowiedział Macloud po chwili, metalicznie, oschle.

– No! – Kapitan uśmiechnął się i wstał od stolika. Odchrząknął, jakby mu ulżyło. – Odetchnij teraz chłopie... zasłużyłeś...

– Androidy nie oddychają, panie Gunters – zauważył Sanders.

Wylał zawartość szklanki do wazonu ze sztucznym kwiatkiem. Nie było to marnotrawstwo, przecież androidy także nie piły alkoholu. Nie działał tak, jak na ludzi. A szkoda.

## ROZDZIAŁ 5

Wreszcie winda zatrzymała się na 47 piętrze. Michael Chandler czekał, aż drzwi się rozsuną i wpuszczą go do środka. Potem wybrał przycisk oznaczony cyfrą zero i z ulgą poczuł, jak wyciągarka opuszcza go w dół.

Trzy piętra niżej winda zatrzymała się ponownie. W drzwiach stanęła ogromna kobieta z turbanem na głowie i papugą na ramieniu. Weszła, ukloniła się dostojnie Michaelowi, a potem zupełnie straciła nim zainteresowanie, na rzecz ogromnego lustra, w którym mogła podziwiać swoje odbicie.

– Gorąco dzisiaj, Tuptusiu? – odezwała się po chwili, najwyraźniej mówiąc do zwierzęcia kurczowo uczeplonego jej ramienia.

Tuptuś nie odpowiedział. Bez ostrzeżenia zmienił kolor upierzenia z zielononiebieskiego na szary. Chandler obserwował to wszystko z rosnącym zaciekawieniem. Papuga wpatrywała się w niego także. Nagle otworzyła szeroko dziób, jakby chciała wydać z siebie jakiś dźwięk i zmieniła kształt, przybierając formę miniaturowego pterodaktyla. Michael odskoczył od kobiety jak oparzony. Oparł się plecami o ścianę windy. To jedyne, co mógł zrobić, nie miał możliwości ucieczki.

– Pan się nie boi. – Kobieta zarechotała jak ropucha. – Tuptuś nic panu nie zrobi. Plawda Tuptusiu? Nic panu nie zlobisz?

Michael słyszał o polimorfach, zwierzątkach domowych zmieniających kształty wedle upodobań ich właścicieli, jednak żadnego do tej pory nie widział na własne oczy. Nie wiedział więc, czy może w pełni zaufać zapewnieniom właścicielki.

– Tuptuś naoglądał się filmów przyrodniczych. – Kobieta była najwyraźniej zażenowana brakiem obycia Chandlera. Wciąż trzęsła się ze śmiechu jak galaretowata meduza. – Ostatnio puszczali coś o tych wymarłych stworzeniach... jak im tam, dinomaurach? Tuptuś tak się nimi przejął, że co chwila się w któregoś przemienia.

– Mądre zwierzę. – Michael czuł, że słowa z trudem przechodzą mu przez zaciśnięte gardło.

– Chce pan pogłaskać? – Kobieta przysunęła ramię w stronę Chandlera. Widząc jego reakcję zacharczała tak głośno, że turban zsunął się jej na oczy.

Michael nie odezwał się. Oczami wyobraźni widział właśnie, jak Tuptuś pożera jednym kłapnięciem paszczy wielką głowę swojej pańcusi. Pterodaktyl wydał z siebie przeciągły, zwierzęcy ryk, zupełnie jakby usłyszał jego myśli. Na szczęście winda zatrzymała się na parterze i Chandler, nie czekając, aż drzwi całkowicie się otworzą, wyskoczył z niej jak oparzony.

– Jaki niewychowany pan, widzisz, Tuptusiu?

To było na szczęście ostatnie zdanie wypowiedziane przez kobietę, jakie doszło do uszu Michaela. Na pewno w tej chwili nie miał zamiaru przejmować się swoim wychowaniem. Błyskawicznie minął obrotowe drzwi i wypadł na ulicę, dołączając do tysięcy osób przesuających się elektrycznymi chodnikami w stronę centrum.

Chandler obserwował mijanych ludzi. W mieście od rana panował ruch jak w ulu. Każdy gdzieś się spieszył, gonił za kolejnymi kredytami pozwalającymi przeżyć z dnia na dzień. On sam nie różnił się wiele od nich, miejskich, biurowych szczurów. Miał podobne problemy, z którymi musiał się od dawna borykać. Jakos jednak sobie radził. Odruchowo skręcił w prawo, zmieniając pas ruchu i przeskoczył na właściwy ruchomy chodnik prowadzący do stacji metra. W ciągu zaledwie kilkunastu minut, pomyślał, przeżył więcej przygód niż w czasie ostatnich kilku monotonnych lat. Był tym wstrząśnięty. Przywykł do spokojnego trybu życia, jaki

prowadził. Wszystko miało jakiś sens, każdego dnia wiedział, czego się spodziewać. Wstawał do pracy zawsze o tej samej porze. W Verticom Industries przyciskał od lat te same guziki, czerwony i niebieski. Czerwony służył do zatrzymania i uruchamiania taśmy, niebieski do wypuszczenia kolejnego materiału na podnośniki. Naciskał je automatycznie, czerwony, niebieski, niebieski i znowu czerwony. W odstępie tych samych kilkunastu sekund. Nie skarżył się, wręcz przeciwnie, był wdzięczny, że ma wciąż pracę. Przecież równie dobrze jego zadania mógł wykonywać nawet nie w pełni sprawny umysłowo robot. W przerwie jadł lunch, po pracy wracał do domu i oglądał seriale w pantelwizji. Potem jadł kolację i szedł spać. Wszystko było poukładane. No, prawie wszystko. Jedynym problemem były rachunki, ale jak dotąd zawsze znajdował jakieś wyjście nawet z najtrudniejszej sytuacji. W końcu nie był jedynym, który miał problemy z utrzymaniem się. A przecież, do cholery, jakoś do tej pory udawało mu się wiązać koniec z końcem. Teraz jednak, od samego rana, kolejne wydarzenia burzyły jego wewnętrzny spokój. Nie to było najgorsze. Nie wiedział dlaczego, ale wciąż nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to jeszcze nie koniec jego problemów.

– Najświeższe wydanie „The Space”! Nowy numer online!

– Piskliwy głos gazeciarza wyrwał go z zamyślenia. – Kupi pan?!

Chandler odruchowo sięgnął do kieszeni, ale uświadomił sobie, że nie znajdzie w niej karty transferowej.

– Oglądałem już Galactic News, w telewizji – skłamał na usprawiedliwienie. – Znam wszystkie informacje.

– Ale o Minerze II nic tam nie mówili! – Nie dawał za wygraną gazeciarz. Wszedł na ten sam pas ruchu, co Chandler. – Kolejne statki opuszczają Minera II! – krzyczał ni to do Michaela, ni to do innych przechodniów. – Musi pan kupić!

Chandler słyszał już kiedyś o Minerze. Obiło mu się o uszy, że ta niegościnna planeta była nadzieją ludzkości. Ale dlaczego? Szybko zmienił pas ruchu, odbijając w stronę wejścia do podziemi metra. Gazeciarz nie przewidział jego manewru i przesunął się dalej wzdłuż budynków. Chłopak zaklął cicho pod nosem, stracił tylko czas na gościa, który pewnie nie miał nawet jednego kredytu na koncie.

Michael zanurzył się w duszny korytarz prowadzący do podziemnej stacji. I nagle przypomniał sobie informacje, które słyszał kilka miesięcy temu w wiadomościach. Miner II? No tak! Przecież surowce pochodzące z tej planety miały rozwiązać problemy energetyczne Ziemi! Pamiętał, że ta informacja wtedy go ucieszyła. Coś jednak musiało się wydarzyć, skoro górnicy opuszczali tamtą planetę. Chandler poczuł smutek, że przedsięwzięcie się nie udało. To dotknie i jego. Przecież gdyby wszystko poszło dobrze, rachunki za prąd mogły być o niebo niższe.

W końcu zajął swoje miejsce w kolejce, przed niezliczonymi bramkami prowadzącymi na peron. Tłum przesunął się dosyć sprawnie. Podróżujący kolejno wpatrywali się w czytniki skanujące siatkówkę oka. Wszyscy bez problemów przechodzili test i wlewali się szarą falą na perony. Po kilku minutach przyszła także kolej na Chandlera. Stał przed bramką na baczność. Podniósł głowę i spojrzał w soczewkę skanera. Światłowód, niemal niezauważalnie, rozbłysnął niebieskim światłem, przesuwając się po tęczę oka. Maszyna jakby przez chwilę się zawahała. To wystarczyło, by zimny pot wystąpił na czoło Michaela. Miał wrażenie, że setki oczu wpatrują się teraz w niego, czekając na wściekłe wycie syreny alarmowej. Szybko przeanalizował w myślach sytuację. Comiesięczny państwowy haracz płacił w pierwszej kolejności. Ten podatek pozwalał na „darmowe” korzystanie z komunikacji miejskiej, oznaczał przydział odpowiednich racji alkoholu, papierosów i wody. Który dzisiaj był? Chandler czuł jak wzbiera w nim paniczna chęć ucieczki. Czyżby jedenasty? Jeśli tak, wczoraj upłynął obowiązek ustawowej wpłaty. Zaraz aresztują go i w trybie natychmiastowym posadzą w areszcie. W

najlepszym wypadku wyjdzie z pudła za dwa lata!

Na czytniku rozbłysło pomarańczowe światło. Bramka otworzyła się przed Chandlerem, wpuszczając go na peron. Pomarańczowe światło – nie zielone. Więc dzisiaj dziesiąty! Ostatni dzień na zapłacenie podatku osobistego! Miał czas do południa na uregulowanie należności. Czuł, że uginają się pod nim kolana. Mało brakowało, a z wdzięczności uściskałby metalową maszynę. Z trudem ruszył przed siebie, w dół platformy. Będzie musiał dzisiaj dokonać wpłaty, tak na pewno to zrobi. Tylko skąd wytrzasnąć pieniądze? Może poprosi o zaliczkę w pracy, na poczet przyszłej wypłaty? Był dobrej myśli. Już kiedyś tak robił. Powinno się udać.

Wcisnął się do wagonika. Dzień dopiero się zaczynał, a on oddałby wszystko, żeby już się skończył. Pojazd gwałtownie ruszył. Teraz Michael musiał skoncentrować się na utrzymaniu równowagi w spoconej cizbie, co przynajmniej pozwoliło mu odgonić od siebie niewesołe myśli.

Wysiadł na Planet Square Avenue. Falujący tłum wypchnął go ze stacji metra w nagrzone słońcem centrum miasta. Zaczął przedzierać się w kierunku wieżowca Industries. Przejornie omijał kolejnych gazeciarzy. Zdażył zorientować się, że temat Minera II był głównym wydarzeniem dnia. Chandlera nie za bardzo to jednak interesowało, miał dosyć własnych problemów.

W końcu znalazł się na swojej przecznicy. Minął wolniutko skwer, który kusił go cieniem i chłodem, odkąd pamiętał. Drapacze chmur przez większą część dnia nie dopuszczały tu ostrych promieni palącego słońca. Być może dlatego to miejsce wydawało się tajemnicze i niedostępne. Nie pasowało do reszty zmurszałego, przeludnionego miasta. Dotąd jednak Michael nie odważył się opuścić budynku, by zjeść lunch w cieniu buków i wiązów. Dzisiaj postanowił zebrać się na odwagę. Nie tylko przyniesie posiłek ze stołówki i zje go na trawie, ale w dodatku robi to w towarzystwie Meryl, asystentki prezesa. Marzył o tym codziennie, idąc do pracy, ale dotąd nie odważył się na tak straceńczy krok. Ostatnio odebrał pewne sygnały, które mogły świadczyć o tym, że ta brunetka o boskim ciele także coś do niego czuje. Nabrał pewności, że dzisiaj jest właśnie ten dzień. Zbierze się na odwagę. Jeśli wszystko postawi na jedną kartę, na pewno mu się powiedzie. Przecież już gorzej być nie mogło.

Wkroczył do biurowca. Popchnął zdecydowanie obrotowe drzwi. We wcześniej zdarzyło się kilka razy, że się zacięły. Takie rzeczy potrafiły przydarzać się tylko jemu. Tym razem miał więcej szczęścia. Odebrał to jako dobry omen. Przeszedł przez wykrywacz metalu, a skaner zidentyfikował jego tożsamość. Tę rutynową kontrolę przechodził każdego dnia. Przestał na nią zwracać uwagę. Czynności wykonywał mechanicznie, bez pośpiechu. W końcu ruszył w stronę windy, ale w tym momencie drogę zagroziło mu dwóch ochroniarzy.

– Pan Michael Chandler? – zapytał gwoli formalności niższy, owłosiony jak orangutan. Musieli wiedzieć, kim jest, dopiero co kontrolowali monitory z danymi wchodzących.

– Tak? – odpowiedział Chandler, zatrzymując się gwałtownie.

– Pójdzie pan z nami – powiedział piskliwym głosem drugi ochroniarz. Michael z trudem go zrozumiał.

– Czy coś się stało? – zapytał, czując, jak zimne stróżki potu spływają mu po plecach.

– Mamy rozkaz doprowadzić pana do gabinetu prezesa natychmiast, jak się pan pojawi – odezwał się ponownie niski.

– Ale co się stało? – powtórzył pytanie Michael. Jego głos drżał już w najlepsze.

– Tego nie wiemy – rzekł piskliwy. – Pewnie coś poważnego.

Nie takiego pocieszenia oczekiwał Chandler. Ochroniarz musiał mieć jednak rację. Nie pamiętał, żeby którykolwiek z jego bliskich kolegów został wezwany do prezesa. Samuela Loebninitza widziano z bliska jedynie na corocznych urodzinach firmy. Miał osobne wejście do budynku, a jego biuro mieściło się na samym szczycie wieżowca. Piętro było niemal całkowicie

odizolowane od reszty budynku. Można było tam się dostać jedną z wind, do której teraz prowadzono Chandlera. Winda, o której samo wspomnienie w biurowych plotkach i rozmowach urastało do rangi fetyszu. Mało kto ją widział, mało kto wiedział, gdzie się znajduje. A już na pewno na palcach jednej ręki można było wymienić osoby, które nią jechały.

Michael szedł z ciężkim sercem pomiędzy dwoma strażnikami. Teraz wiedział, jak czuje się skazaniec prowadzony do celi śmierci. Serce niemal przestało mu bić. Skóra na ramionach, plecach i dłoniach ścierpła tak, że miał wrażenie, iż w każdej chwili zacznie odchodzić płatami, odsłaniając połacie żywego mięsa. Skurczył się w sobie. Wysechł. W gardle coś potwornie zaczęło go drapać. Oddałby wszystko za szklankę zimnej wody.

Strażnicy okazali się nieczuli na jego cierpienia. Przeprowadzili go przez główny hol i wepchnęli w boczny korytarz. Chandler znalazł się w nim po raz pierwszy. Z przerażeniem obserwował rzędy przeszkłonych, obcych drzwi. Pojawiające się za nimi niewyraźne cienie potęgowały niepokój. Korytarz na szczęście szybko się skończył i Michael niespodziewanie znalazł się na klatce schodowej.

Wyższy z ochroniarzy poprowadził ich w dół. Dwa piętra, żółta klatka schodowa i rażące oczy świetlówek. Znowu znaleźli się w wąskim korytarzu. Michael nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ochroniarze kluczą tylko po to, żeby nie zapamiętał drogi. Gdy miał już o to zapytać, zatrzymali się przed wielkimi, dębowymi drzwiami.

Bez wątpienia byli u celu wędrówki. Michael przekonał się o tym, gdy drzwi rozchyliły się na powitanie. Winda wyglądała dostojnie. Urządzona w starodawnym stylu, dałby głowę, że z początku dwudziestego wieku. Nawet zapach, jaki uderzył w jego nozdrza, wydawał się stary. Ktoś się sporo natrudził, żeby zadbać o najdrobniejsze detale.

Sędziwy wiekiem mężczyzna, w uniformie ze złotymi guzikami, niechętnym gestem dłoni zaprosił Chandlera do środka. Podobnym ruchem wstrzymał ochroniarzy. Michael odetchnął z ulgą. Skoro eskorta miała go odprowadzić tylko do windy, sprawa nie musiała wyglądać tak źle, jak się z początku wydawało. Niepewnie zrobił kilka kroków, chłonąc z zainteresowaniem każdy szczegół wnętrza.

Ściany obite były czerwonym zamszem, komponującym się wyśmienicie z mahoniowymi ramami ogromnych luster. Buty Michaela zapadły się w miękkim, futrzanym dywanie. Już wiedział, skąd wzięła się niechęć windziarza do jego osoby. Kurz, który zdążył osiąść mu na butach, zapewne nie służył luksusowym materiałom składającym się na wystrój windy. Chandler poczuł wyrzuty sumienia. Wzmógł je w nim staruszek, który wpatrywał się w czubki jego obuwia i z dezaprobatą kręcił głową.

Windziarz w końcu usiadł na swoim ozdobnym krzeselku i wcisnął jeden z nielicznych przycisków znajdujących się na panelu sterowania. Wybrał ten położony najwyżej. Wielki i zielony. Przypominający kolorem i fakturą szmaragd.

Piękna winda – odważył się odezwać Chandler, gdy ruszyli.

Staruszek nie odpowiedział. Obrócił się w stronę pasażera, próbując osądzić, czy ten aby sobie z niego nie kpi. Wnioski musiały być pozytywne, bo windziarz przychylniej spojrział na Michaela.

Chandler zamyślił się. Zmierzał na 120 piętro wieżowca Industries. Pierwszy raz miał spotkać osobiście prezesa. Sama podróż windą wiele mówiła o randze spotkania. Nieczęsto przemieszczały się nią inne osoby niż sam Samuel Loebnitz i jego asystentka. Dlaczego jednak został wezwany? Czyżby po tylu latach ktoś go docenił i pomyślał o zasłużonym awansie? Nie, analizował sytuację, Loebnitz nie fatygowałaby się z wezwaniem go do siebie, nawet dla takiej sprawy. Musiało wydarzyć się coś zupełnie innego. Ale co? Poczł ukłucie w żołądku. Nic nie przychodziło mu do głowy. W całej tej sytuacji chyba właśnie to było najbardziej stresujące.



– Jesteśmy na miejscu – oznajmił drżącym głosem windziarz. Wstał z krzesła i przyciągnął do siebie drewnianą wajchę. – Życzę panu miłego dnia.

Michael mógłby przysiąc, że staruszek uśmiechnął się do niego. Nie mógł być jednak tego pewny. Gdzieś czytał, że wśród prymitywnych plemion takie skrzywienie ust mogło równie dobrze oznaczać wypowiedzenie wojny.

– Dziękuję – odpowiedział niepewnie.

Jeszcze raz spojrzął na panel windy i z ociąganiem opuścił pomieszczenie. Teraz był pewny, że przycisk, którym wcześniej posłużył się windziarz, wykonany był z prawdziwego szmaragdu. Gdyby tak przypadkiem zielony guziczek zmienił właściciela. Michael westchnął ciężko. Niewątpliwie rozwiązałyby to wiele jego problemów.

Rozejrzał się. Nie wiedział, co go czeka. Gdy drzwi zatrzasnęły się za nim, uświadomił sobie, że nie ma już odwrotu. Michael stał przez chwilę w zupełnych ciemnościach. Miał wrażenie, że wszyscy o nim zapomnieli. Nie trwało to długo. Z sufitu spłynęło na niego wąskie, niebieskie światło, przesuwając się stopniowo od butów w stronę głowy. Chandler znał tę procedurę. System bezpieczeństwa pobierał wszystkie potrzebne dane. Sprawdzał, czy jest tym, za kogo się podaje.

– Proszę o próbkę głosu – rozległ się miły, kobiecy alt.

– Eee – Michael zawahał się. Nic nie przychodziło mu do głowy. Wreszcie wydusił z siebie:

– Dzień dobry?

Najchętniej zapadłby się pod ziemię. Na szczęście w korytarzu było ciemno i nikt nie mógł dostrzec rumieńców, jakie wyszły mu na policzki. Miał przeczucie, że test nie wyszedł przekonująco. Suchość w gardle mogła sfałszować wynik.

– Proszę przesunąć się wzdłuż zielonej linii, panie Chandler – wydała kolejne instrukcje kobieta.

Michael ponownie rozejrzał się wokół siebie. Odruchowo nawet wzruszył ramionami. Pod jego stopami rozbłysła cienka zielona linia. Bez ociągania ruszył jej tropem. Kluczył chwilę w ciemnościach, aż ślad zupełnie się urwał. Dalszą drogę zagroziła mu ściana. Dotknął jej ostrożnie, a wtedy przeszkoda, jakby czekając na ten gest, rozsunęła się bezszelestnie. Michael musiał podnieść dłoń do czoła, by osłonić się przed oślepiającym światłem.

– Proszę wejść, panie Chandler.

Michael rozpoznał ten głos. Zawsze wydawało mu się, że tak słodko brzmieć musiały syreny wabiące na brzeg żeglarzy. Meryl, asystentka prezesa, w ocenie Michaela nie tylko głos miała syreni. Na szczęście jej ciało od ciała panny wodnej trochę się różniło, zwłaszcza od pasa w dół.

Nieśmiało przyjął zaproszenie. Ostrożnie postawił kilka kroków, wkraczając do pokoju. Wolno pokonywał kolejne metry dzielące go od biurka asystentki. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Kobieta odgarnęła za ucho długie, równo ułożone włosy. Chandler mógłby przysiąc, że poczuł ich słodki, lawendowy zapach.

– Dobrze, że już pan jest. – Meryl uśmiechnęła się. Odłoniła małe, białe ząbki. Michael wpatrywał się w brązowe oczy, czując, jak uginają się pod nim kolana. Nie mógł wydusić z siebie ani jednego słowa. Tak naprawdę zupełnie zapomniał, kto wezwał go na 120 piętro wieżowca Verticom Industries.

Meryl była tym typem kobiety, który zawsze zapada w pamięć. Samo przebywanie w jej pobliżu wzbudzało emocje, z którymi nawet najbardziej opanowany mężczyzna nie potrafił sobie poradzić. Chandler nigdy nie zapomnił dnia, w którym ujrzał ją po raz pierwszy. Zakładowa stołówka, gorący letni dzień. Przezroczysta bluzeczka opinająca zgrabne ciało. Usiadła wtedy koło niego. Pamiętał, że spośród kilku dań wybrała to samo co on: pierś z kurczaka, pieczone ziemniaczki i groszek. Już wtedy Michael był pewien, że to uczucie, które na niego spłynęło, jest

tym, na co z utęsknieniem czekał podczas długich samotnych nocy. Co prawda nie był w stanie przełknąć swojego posiłku. Krtań zacisnęła mu się z siłą uniemożliwiającą spożycie czegokolwiek, ale sama możliwość podania jej soli wystarczyła, by uznał ten dzień za najwspanialszy w swoim życiu.

– Czy dobrze się pan czuje?

Chandler zdał sobie dopiero teraz sprawę, że od dłuższego czasu milczy, wpatrując się z głupkowatym uśmiechem w anielską twarz asystentki.

– Wszystko w porządku – odpowiedział szybko, starając się ukryć zmieszanie. – Mogę już wejść?

– Chwileczkę. – Meryl nachyliła się nad interkomem. Jej piersi niebezpiecznie przesunęły się ku brzegowi dekoltu. – Samuele. Pan Chandler właśnie przybył, czy prosić go do gabinetu?

– Tak, niech wejdzie! – wydobył się z głośników chrapliwy, nieprzyjemny głos prezesa.

Meryl z uśmiechem poprowadziła Michaela do drzwi. Pokonała zaledwie kilka kroków, ale mimo to zauważył, jak kusząco poruszała biodrami. Zastanowiło go jedno. Takie mówienie swojemu szefowi po imieniu oznaczało zazwyczaj bardzo bliską zażyłość. Prezes i asystentka. Tego typu historie były przecież na porządku dziennym. Ukłucie zazdrości przeszło jego serce. Z wejścia nabrał do Samuela Loebninitza antypatii. Miał nadzieję, że nie będzie jej można wyczuć w bezpośrednim kontakcie.

Asystentka rozsunała przed nim drzwi. Skinęła dłonią, zachęcając go do przekroczenia progu gabinetu. Wydawało mu się, że jej uśmiech był smutny. Mówiły to też jej oczy. Mogło to być jednak mylne wrażenie.

Chandler wyprostował się. Pamiętał, że zawsze ważne jest pierwsze wrażenie. Z trudem oderwał wzrok od Meryl i zdecydowanie wkroczył do pomieszczenia. Jednak, gdy usłyszał za sobą skrzyknięcie zasuwanych drzwi, cała pewność uleciała z niego w ułamku sekundy.

– Śmiało!

Głos dobiegał z daleka, od strony biurka ustawionego przy ogromnej, przeszklonej ścianie. Padały przez nią promienie słońca, więc Michael nie widział dobrze postaci siedzącej w fotelu. Zmrużył oczy przed ostrym światłem i ruszył po czerwonym dywanie w stronę Loebninitza.

– Dzień dobry – powiedział, gdy znalazł się tuż przed masywnym biurkiem prezesa. Ukłonił się z szacunkiem.

Dopiero teraz mógł przyjrzeć się zatopionemu w obszernym fotelu Loebninitzowi. Małe oczka osadzone w szerokiej, nalanej twarzy obserwowały go z napięciem. Michaelowi wydawało się, że prezes zastygł w pozie przypominającej odlany z mosiądzu posąg. Łokcie wsparł na podłokietnikach, a na złączonych dłoniach oparł podbródek. Jedynie wielki brzuch, unoszący się pod wpływem oddechu, świadczył o tym, że Chandler ma do czynienia z żywym osobnikiem.

– Niech pan usiądzie – odezwał się prezes tak niespodziewanie, że Michael niemal podskoczył.

Z podłogi wysunął się przezroczysty balon. Szybko zmienił kształt, by już po chwili stać się wygodnym fotelem. Chandler bez ociągania się na nim usadowił.

– Jak długo pan u nas pracuje? – Loebnitz zaczął bez zbędnych wstępów.

Michael zastanawiał się. Zaczął liczyć w pamięci, ale rachunek za każdym razem wychodził inny. Uśmiechnął się zażenowany, starając się powstrzymać siłą woli nerwowy tik w oku. Wysilił pamięć ponownie i aż sam się zdziwił. Równo dziesięć lat. Dziesięć lat temu jako młody, osiemnastoletni chłopak przyszedł szukać tu pracy. Pamiętał, że dostał wtedy do ręki długopis i formularz. Starszy dyspozytor nawet nie spojrzał na jego wypociny. Dał mu kartę pracy i kazał zjechać windą pięć pięter pod ziemię. Tam przekazali mu fartuch i krótką instrukcję obsługi. Brzmiała mniej więcej tak: „najpierw czerwony, potem niebieski, znowu niebieski i czerwony”.

– Dziesięć lat, panie Chandler. – Tłuszcioch podniósł cygaro, które wcześniej leżało oparte o popielniczkę. – Sprawdzili mi to dzisiaj w dziale kadr. Nie myśli pan, że to wystarczająco długo?

– Nie rozumiem? – Michael poczuł ucisk w klatce piersiowej. – Chcecie mnie zwolnić?

– Nie tam, od razu zwolnić. – Prezes zgasił cygaro i poruszył się w fotelu. Oparcie niebezpiecznie przechyliło się do tyłu. – Może przyda się panu odmiana?

– Chcecie mnie zwolnić? – powtórzył mechanicznie Chandler. Praca była jedyną rzeczą, która nadawała jego życiu jakiś sens. Zdał sobie z tego sprawę dopiero w tej chwili.

– Niech pan nie histeryzuje, Chamberlain!

– Chandler...

– Tak, Chandler. Sprawa wygląda inaczej, zrobi pan coś dla nas.

Michael milczał. Był teraz pewny, że pomyłono go z kimś innym. Najpewniej z tym biednym Chamberlainem. Bo co on mógł zrobić dla Loebninitza, prezesa jednego z największych holdingów na świecie? Producenta nowoczesnych technologii, wysyłanych gigantycznymi statkami do najdalszych układów planetarnych?

– Musi być pan dla nich bardzo ważny. – Prezes wyciągnął następne cygaro z drewnianego pudełka i obciął końcówkę złotymi nożycami. – Niestety, nie wiem dlaczego. Kazałem sprawdzić wszystkie kartoteki. Nie ma pan żadnych zdolności i specjalnych umiejętności. Zupełnie nic! Być może właśnie dlatego jest to dla mnie tak intrygujące.

– Chyba zaszło nieporozumienie. Prawdopodobnie pan mnie z kimś myli? – Chandler nie był jednak teraz tego tak pewien. Opis, jaki przedstawił Loebninitz, jak ułał pasował do jego osoby.

– Nie, panie Chandler. Nie mylę się. Czy kontaktowano się dzisiaj z panem z Ośrodka Badań Pozaziemskich? – Prezes zaciągnął się dymem.

– Nie! To znaczy tak. Jakiś wariat...

– Wariat? – zarechotał Loebninitz. – Ma pan zupełną rację. Tam pracują sami wariaci. Znam ich bardzo dobrze!

– Ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego? – Michael poczuł, że jest mu słabo. Zapragnął znaleźć się na świeżym powietrzu.

– Gdybym to ja wiedział! – Prezes zmarszczył czoło. Było widać, że ta sprawa nie daje mu spokoju. – To wszystko jest zbyt tajemnicze. Mam strzępki wiadomości od moich informatorów. Niestety, są one sprzeczne. Już to wystarczy, żeby się zainteresować sprawą. Domyślam się, że chodzi o jakąś nową technologię. Jeśli tak, muszę być pierwszym, który będzie miał licencję na jej produkcję.

– Nowa technologia? To naprawdę musi być jakieś gigantyczne nieporozumienie!

– Mam także swoje własne interesy... – otyły mężczyzna, siedzący naprzeciwko Michaela, nie zwrócił nawet uwagi na jego słowa – lubię wiedzieć, co się dzieje wokół mnie. Współpracujemy z OBP od początku, wykupujemy od nich licencję na nową technologię, a potem sprzedajemy ją światu. Właśnie od nich dostałem polecenie, by zatrzymać Michaela Chandlera od razu, gdy tylko pojawi się w pracy. Mam pana oddać pod ich opiekę. Jest to agencja rządowa, której nie mogę odmówić. Zresztą, sam pan rozumie... nie mam takiego zamiaru – Loebninitz ponownie zatrząsał się ze śmiechu.

Chandler skurczył się w fotelu. Miał nadzieję, że za chwilę wyparuje z tej absurdalnej rzeczywistości.

– Zanim jednak pan wyjdzie i wezmą pana pod tę... opiekę – prezes wypuścił kłęby dymu w stronę sufitu – mam dla pana propozycję.

– Tak? – zapytał Michael automatycznie.

– Będzie pan moim informatorem. Chcę wiedzieć o wszystkim z pierwszej ręki! – Loebninitz nie ukrywał już podniecenia. Z trudem uniósł ciało z oparcia i pochylił się nad biurkiem. –

Będzie pan relacjonował mi każdą swoją obserwację. Nawet jeśli wyda się panu nieistotna. Muszę wiedzieć dokładnie co, kto, gdzie i kiedy!

– Ale czy ja nie złamię prawa? – Chandler nie do końca wiedział, dlaczego właśnie to przyszło mu do głowy.

– Prawa? W dzisiejszym świecie? Konkurencja nie śpi, panie Chandler. Jeśli nie będziemy pierwsi, inni nas wyprzedzą. Tu chodzi o grube tryliony! I nie ukrywam... – tu prezes zrobił efektowną przerwę – skapnie trochę i panu! Trzeba odmienić swoje życie!

– Mam tylko informować, nic więcej? – upewnił się Michael.

– Panie Chandler! – Loebnitz udał oburzenie. – Dwudziesty czwarty wiek jest wiekiem informacji! Chcę tylko tego!

Prezes otworzył szufladę znajdującą się poza zasięgiem wzroku Chandlera i wyjął z niej małe urządzenie wielkości pudełka zapalek.

– To zestaw nadawczo-odbiorczy – powiedział Loebnitz. – Wynaleźli go i skonstruowali inżynierzy z Aldebarana V. Wie pan, to te wielkogłowe pasikoniki. Zresztą, he he... tylko ja mam zgodę na produkcję tej zabaweczki. Może się pan ze mną przez to porozumieć, z każdego zakątka wszechświata. Wystarczy, że będzie pan mówił do tego sitka – prezes wskazał małe zagłębienie w urządzeniu. – Wszystkie informacje zostaną przekazane do naszego centrum informacyjnego. Będziemy je analizować na bieżąco.

Michael przyjął metalowe pudełeczko. Miał wrażenie, że parzy go w dłoń. Ostrożnie wsunął je do kieszeni spodni.

– Są już ci panowie – rozległ się w pomieszczeniu kobiecy głos zniekształcony przez małe głośniczki. Michael rozpoznał Meryl. – Spiesz się. Czy mam ich wpuścić?

– Liczę na pana, Chandler – powiedział Loebnitz, mrugając porozumiewawczo do Michaela. Potem nacisnął guziczek przy interkomie i zwrócił się do swojej asystentki. – Wpuść ich, Mel. Pan Chandler jest już gotowy do wyjścia.

Michael nie był gotowy do niczego. Miał mętlik w głowie, jakiego nie zaznał nigdy w życiu. Nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Nie wiedział nawet, czego dokładnie chciał od niego Loebnitz. Gdy drzwi za jego plecami rozsunęły się, poczuł przyływ paniki, który mógł skończyć się poważnym atakiem nerwowym. Kroki dwóch mężczyzn brzmiały głucho. Przytłumił je puchowy dywan. Zatrzymali się tuż za jego plecami – Pan Chandler? Zostaliśmy wysłani przez Ośrodek Badań Pozaziemskich. Mamy nakaz, który zgodnie z artykułem 45, paragraf 2, zobowiązuje nas do natychmiastowego odeskortowania pana do wymienionej Instytucji.

Michael obrócił się w fotelu. Dwóch zwalistych mężczyzn w nienagannie skrojonych garniturach wpatrywało się w niego, nie zdradzając specjalnych emocji. Jeden z nich trzymał złożony starannie papier. Chandler mógł się założyć, że jest to nakaz, o którym była mowa. Wstał ostrożnie, bojąc się, że straci równowagę. Poczuł jednak przyływ adrenaliny, który dodał pewności jego ruchom. Śmiało spojrzął na mężczyznę, który wręczył mu pismo. Nawet go nie przeczytał. Ukłonił się Loebnitzowi i pierwszy ruszył w stronę wyjścia. Eskorta bez słowa ruszyła za nim.

W drzwiach minął Meryl. Nie zwróciła nawet na niego uwagi. Chandler zdał sobie sprawę, że to, co wcześniej widział w jej oczach, nie było oznaką smutku. Był to raczej wyraz niechęci. Domyślił się, że wiedziała o wszystkim od początku. Znała każdy szczegół tej historii.

To było dla Michaela większym upokorzeniem niż wymówienie z pracy i misja, która nie miała od początku szans powodzenia. Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej urządzenie. Bez chwili wahania wrzucił je do kosza. Zdecydował, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Bez względu na wszystko, nie wróci tu już nigdy.

Gdy eskorta wprowadzała go do omnikoptera poczuł ulgę. Zostawiał wszystko za sobą. Nie odczuwał z tego powodu zmartwienia. Loebnitz miał rację. Należało coś w swoim życiu zmienić. Widocznie właśnie teraz przyszła na to pora. Stało się coś dziwnego. W Chandlerze odezwało się ukryte pragnienie przygody. Do dzisiejszego dnia przykryte było grubym kurzem monotonii. Jednak, jak widać, nawet grubą warstwę kurzu można było szybko i dokładnie zetrzeć.

## ROZDZIAŁ 6

– Obiekt rozpoznany – bezosobowy głos dochodził z niewidocznych głośników. – Michael Chandler, lat 28. Urodzony na planecie Ziemia, w Little Rock – Arkansas. Witamy pana. Proszę przesuwać się wzdłuż wyznaczonej Unii.

Michael ruszył przed siebie zgodnie z instrukcją. Poczł się pewniej, odkąd dwóch milczących typów zostawiło go samemu sobie. Wskazali mu budynek i kazali wejść do środka. Wiedział jedynie, że znajduje się w Ośrodku Badań Pozaziemskich. Metaliczny korytarz osaczał go ze wszystkich stron. Mimo to, zdecydowanie pokonywał kolejne metry dzielące go od widocznych w oddali drzwi. Zanim do nich dojrzał, wyrosła przed nim postać wysokiego mężczyzny.

– Witam pana. Nazywam się Dave Porter. – Nieznajomy osobnik wpatrywał się natarczywie w twarz Chandlera.

Michael przyjął jego wyciągniętą dłoń i uściśnął ją mocno. Po chwili obaj ruszyli kolejną odnogą korytarza.

– Jak podróż? – zapytał w końcu Porter.

Chandler wyczuł w jego tonie wymuszoną uprzejmość. Wydawało się, że jego towarzysz intensywnie nad czymś myśli. Był obecny ciałem, ale nie duchem.

– Brakowało darmowych drinków – odpowiedział.

Tak jak się spodziewał, idący obok niego mężczyzna nawet nie zarejestrował odpowiedzi.

– Czy wie pan, dlaczego zostałem wezwany? – Chandler mimo wszystko spróbował wydobyć z niego jakieś przydatne informacje.

– Tak. – Dave jakby obudził się z głębokiego snu. – Zaraz dowie się pan wszystkiego. Przejdziemy do części obiektu, która nie wymaga przechodzenia przez służę zabezpieczającą.

Przeszli przez kolejne drzwi. Znaleźli się w obszernym pomieszczeniu podświetlonym silnymi jarzeniówkami. Michael wyczuł w powietrzu woń środków odkażających. Mimowolnie zaczął oddychać ustami. Szedł krok w krok za Porterem, starając się nie zostawić śladów na nieskazitelnie czystej podłodze. Pokój wydawał się niemal całkowicie pozbawiony sprzętów. Uwagę przykuwała za to lśniąca metalicznym blaskiem ściana z mnóstwem identycznych szuflad. Właśnie w jej stronę zmiierzali.

– Witam, panie Chandler! – głos odbił się echem od pustych ścian. Michael rozejrzał się wokół siebie, ale nie mógł zlokalizować mówiącego. – Sprawił pan nam mnóstwo kłopotów!

Michael był zdezorientowany. Popatrzył na Dave'a, szukając u niego pomocy. Zauważył, że jego towarzysz uniósł głowę i utkwiał wzrok w suficie, poszedł więc w jego ślady.

– Mnóstwo wrażeń? – Ogromna twarz profesora Pawłowa wpatrywała się w nich z ekranu, zawieszono go wysoko u sklepienia.

Chandler poczuł się zupełnie mały. Jeśli Pawłow chciał zrobić na nim wrażenie, udało mu się to znakomicie.

– Mylicie mnie z kimś innym! – Michael postanowił uprzedzić wszystkie pytania i jak najszybciej wyjaśnić sprawę. – Na pewno zaszła tu gigantyczna pomyłka. – Zdał sobie sprawę, że była to zapewne jego sztandarowa wymówka tego dnia.

– Gigantyczna pomyłka? – Pawłow zaśmiał się potężnym, wzmocnionym przez głośniki basem. – Słyszałeś Dave? Pomyłka! Dobre sobie. Może damy panu Chandlerowi szansę ocenić fakty samemu?

– Dobrze. Jeśli uważasz to za konieczne – odpowiedział beznamiętnie Porter. Jednocześnie zwrócił się do Chandlera:

– Niech pan tu poczeka.

Michael poczuł, że strach znowu chwyta go za gardło. Patrzył, jak Porter oddala się od niego, zmierzając wprost w stronę lśniącej ściany. Mężczyzna zbliżył się do jednej z masywnych szuflad i dotknął panelu sterowania. Do uszu Chandlera doszło metaliczne szczęknięcie zamków, a po chwili szuflada zaczęła wysuwać się jednostajnym ruchem ze swojego miejsca. Proces ten wydawał się nie mieć końca. W końcu długi walec, niemal wbrew prawom fizyki, wysunął się ze ściany i unosząc nad podłogą przewędrował na środek pomieszczenia. Mężczyzna zatrzymał go tuż przy Chandlerze.

– Dam panu krzesło – powiedział Porter i, nie czekając na odpowiedź, klasnął w dłonie. – Krzesło – zawołał głośno Wygodne siedzenie wyrosło z podłogi, tuż przy Michaelu.

– To będzie dla pana wstrząs. Radzę usiąść.

Chandler nie posłuchał. Wyczuł w głosie Dave'a nutę współczucia. Miał nadzieję, że źle to ocenił. Przez cały ten czas obserwował wydarzenia w milczeniu. Teraz czuł, że jego nogi topnieją jak wosk. Miał nadzieję, że wszystko, co teraz przeżywał, było jedynie makabrycznym snem.

– Do dzieła! – Pawłow rzucił hasło, unosząc się majestatycznie pod sufitem.

Porter zbliżył się do lewitującego nad podłogą walca i przycisnął guzik zamontowany z boku. Pokrywa minimalnie drgnęła. Przez chwilę wydawało się, że mechanizm nie zadziałał, ale ułamek sekundy później stalowe wieko poruszyło się, odkrywając postać leżącego we wnętrzu mężczyzny.

Michael Chandler, jako że w tej chwili innego pomysłu na życie nie miał, zemdłał.

## ROZDZIAŁ 7

– Proszę nie pić tak zachłannie, może się pan zakrztusić. – Dave bezskutecznie próbował odebrać szklanekę Chandlerowi.

Gdy Michael ocknął się z omdlenia, stwierdził, że siedzi na krześle w kostnicy. Co gorsza, trumna z jego własnym zwłokami wciąż znajdowała się niebezpiecznie blisko, w zasięgu jego wzroku.

– Wiem, jaki to musi być dla pana wstrząs – odezwał się Pawłow.

– Wie pan? – zapytał drżącym głosem Michael. – To dlaczego nie zabraliście jeszcze stąd tego... trupa?

– Będzie tu, dopóki wszystkiego nie wyjaśnimy – ciągnął profesor. – Musimy mieć pewność, że zrozumie pan każde słowo, które chcemy mu przekazać. Poza tym, spodziewam się, że chce pan wiedzieć, jaka była przyczyna śmierci. Zwłaszcza, jeśli może to pomóc panu jej uniknąć?

– Uniknąć? – Michael próbował skupić myśli. Nie wychodziło mu to najlepiej.

Dave Porter patrzył to na Pawłowa, to na Chandlera. Nie odzywał się, ale zastanowił go sens słów profesora.

– To ciało trafiło do nas z innej planety, z Minera II – grzmiał Pawłow nad głową Michela, niczym grom. Chandler pomyślał, że tak musi wyglądać dzień sądu ostatecznego. – Kilka miesięcy temu nasza ekipa natrafiła tam na urządzenie. Jego przeznaczenia nie domyślaliśmy się do dnia dzisiejszego. Teraz znajduje się w naszym laboratorium. To swego rodzaju skrzyżowanie wehikułu czasu z teleportem. Pana ciało pojawiło się w nim nagle, dzisiejszej nocy. Zostało przesłane, co skrupulatnie sprawdziliśmy, z tamtej planety. Do jakich wniosków nas to upoważnia, panie Chandler?

– Wniosków? To przecież proste! – krzyknął Michael. – Nikt mnie nie zmusi, żebym poleciał kiedykolwiek na Minera!

– Wydawało mu się, że wreszcie zrozumiał, co miał na myśli profesor, mówiąc o uniknięciu śmierci.

– Niezupełnie – skrzywił się Pawłow. – Po pierwsze, możemy przyjąć za pewnik, iż na Minerze wciąż znajduje się bliźniacze urządzenie tego, które badamy w laboratorium. Po drugie, wiemy, że ktoś go użył. Trzecie, nie mamy wątpliwości, że zrobił to w jakimś celu. Czwarte, co chyba najbardziej oczywiste, ma to coś wspólnego z panem. W końcu to pana ciało znalazło się u nas dzisiejszej nocy.

Chandler milczał. Przez chwilę chciał nawet coś powiedzieć, ale zrezygnował.

– Wniosek ogólny? – kontynuował profesor. – Ktoś pana zabił, Chandler. Co więcej, namęczył się, żeby przesłać ciało do laboratorium. Rozpoczął tym samym grę według reguł, które sam ustalił. Nie zostawił nam zbyt wielkiego pola manewru. Musimy to sprawdzić u źródła. A wiele zależy od naszego kolejnego ruchu. – Profesor zdjął okulary gestem, który Michael zdążył już poznać. Potarł zaczerwieniony od oprawek nos i spojrzał badawczo na Chandlera. – Myślę, że wie pan, co chcę powiedzieć. Uda się pan z nami na Minera II!

Michael zastanawiał się, czy ten komunikat miał w nim wzbudzić euforię. Jeśli tak, profesor odniósł skutek odwrotny do zamierzonego.

– Mam lecieć na Minera?! – Próbował wstać, ale nogi ponownie odmówiły mu posłuszeństwa. – Więc ja też coś panu powiem! – Nie był już w stanie powstrzymać wybuchu, nie panował nad swoimi emocjami. – Może pan dodać kolejny punkt do tej chorej wyliczanki! Po piąte, jeśli ktoś mnie tam zabije, a tak wynika z tej pokrętnej dedukcji, to nigdzie nie polecę!

Przez chwilę zapanowała martwa cisza. Nawet Dave Porter wytrzeszczył szeroko oczy.



Nigdy dotąd nie był świadkiem, żeby ktoś w taki sposób odezwał się do profesora Pawłowa.

– Ależ nic się panu nie stanie! – Pawłow uśmiechał się. Nic nie robił sobie z podniesionego tonu głosu Michaela. – Pana reakcja jest zrozumiała. Pomyśleliśmy jednak o wszelkich zabezpieczeniach!

– Zabezpieczeniach? – sapnął Chandler. – Nie jestem takim ignorantem, jak pan myśli! Dla mnie sprawa jest prosta! Nie pojawię się na Minerze, to nie zostanę zabity i nikt mnie nie teleportuje do waszego laboratorium!

Michael spojrział mimowolnie na zwłoki w trumnie. Przeszył go nieprzyjemny dreszcz.

– Proszę się zastanowić. – Pawłow przystąpił do kontrataku. – Są przecież różne możliwości. W końcu, w jakiś sposób musiał pan trafić na tamtą planetę. Innego wytłumaczenia nie ma. Zrobił to pan z własnej woli lub... wbrew.

Chandler wykrzywił usta, nie wierząc w to, co przed chwilą usłyszał.

– Wbrew? – zapytał. – To znaczy, że chcecie mnie zmusić? Zakujecie w kajdany i wsadzicie do statku?

– Dlaczego pan histeryzuje? – Pawłow wydał wargi w wyrazie zniecierpliwienia. – Nikt pana zmuszać nie będzie. Ale zaprzeczyć pan nie może, że jakoś na tę planetę trafił. Dowód ma pan obok siebie, w trumnie. Jeśli nie poleciał pan za naszą namową, dostał się pan tam w inny sposób. Być może nieświadomie, być może pod czyjś przymusem.

Michael czuł, że nie nadaża za tokiem rozumowania profesora. Zmarszczył czoło i potarł je dłonią. Miał nadzieję, że szare komórki zaczną mu szybciej pracować, w końcu ważyły się tu jego losy.

– Niby kto chciałby mnie zmusić do wylotu na Minerę II? Przecież to szaleństwo. Nie mam żadnego związku z tą planetą!

– Jednak jakiś związek jest. – Pawłow niby przypadkiem spojrział na zwłoki. – Ktoś może być zainteresowany tymi samymi sprawami, co my. Technologią... sam nie wiem?

Chandler poczuł, że oblewają go zimne poty. Przypomniał sobie poranną rozmowę z Prezesem. Po Loebnницу można było się spodziewać wszystkiego.

– To znaczy, że przyszłości zmienić się nie da? – zaczął dopytywać ostrożnie. – Tak czy siak wyląduję martwy w tej kostnicy?

– Wcale nie! – Pawłow wreszcie się uśmiechnął. Ziarno, które świadomie zasiał w głowie Michaela, zaczynało kiełkować. – Uważam, że jakiś zbieg okoliczności sprawi, że pojawi się pan na Minerze II. Bez względu na to, czy polecą pan z nami, czy z jakichś innych przyczyn. Jednego jednak jestem pewien. Wyruszając z naszą ekspedycją, ma pan większą szansę przeżycia!

Chandler popatrzył na Portera, szukając u niego pomocy. Dave nie odezwał się. Nie podobało mu się rozumowanie Pawłowa, ale w tym wypadku niewiele mógł zdziałać.

– Co gwarantuje mi tę większą szansę? – Michael wyczuł rezygnację w swoim głosie. Przeraził się, że zaczyna obojętnieć na wydarzenia, które rozgrywały się wokół niego.

– Najlepsze zabezpieczenie, o jakim mógłby pan śnić, Chandler. – Profesor tryumfował. Wiedział, że osiągnął swój cel. – Z nim nic się panu nie stanie. Zresztą osobnik, o którym mówię, zaraz do was dołączy.

Jakby w odpowiedzi na słowa Pawłowa drzwi kostnicy się otworzyły i stanęła w nich wysoka, zwalista postać. Wolno ruszyła w stronę Michaela i Dave'a. Chandler miał wrażenie, że ziemia drży pod ciężkimi butami przybysza.

– Jestem Sanders Macloud. – Android prześwidrował wzrokiem osoby znajdujące się w pomieszczeniu. – Wzywał mnie pan, profesorze Pawłow?

## ROZDZIAŁ 8

Chandler wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku, jaki wywołało w nim wejście Sandersa. Znał tę twarz bardzo dobrze. Znał ją niemal każdy człowiek na Ziemi. Macloud widoczny był w codziennych przekazach telewizyjnych. Jego twardy uśmiech przebijał ze szpałt prasy, hologramów sklepowych i billboardów. Sanders Macloud był chodzącą legendą. Postacią wyciętą niemal wprost z komiksu. Ratował z takim samym zaangażowaniem zarówno świat, miasta, jak i pojedynczego człowieka.

– Witamy bardzo serdecznie, Macloud. – Ekran przysunął się do trzech milczących postaci. – Cieszymy się, że dołączysz do naszej ekspedycji.

– Kiedy dostanę szczegółowe informacje? – zapytał chłodno Sanders. Nie zaszczycił spojrzeniem profesora. W tej chwili przyglądał się postaci leżącej w metalowym kontenerze.

– Wszystkie dane i potrzebne informacje, także te dotyczące Miner II, zostaną przerzucone do zasobów twojej pamięci – powiedział Pawłow. – Podobnie, podstawowe wytyczne...

– Dobrze – przerwał Macloud. – Pana brat bliźniak miał nieszczęśliwy wypadek? – zwrócił się niespodziewanie do Chandlera.

Michael wytrzymał spojrzenie błękitnych oczu, choć miał wrażenie, że wysysają z niego całą energię.

– Nie... – zawahał się. – To znaczy, to nie tak, jak pan myśli...

– Może ja wyjaśnię. – Porter zaofiarował się z pomocą. Wiedział, że w tej chwili Michaela nie stać na sensowną relację.

– Bardzo proszę – odpowiedział uprzejmie Sanders.

– To jest ciało pana Chandlera. Zostało przesłane z przyszłości do naszego laboratorium, z planety Miner II.

Macloud nie okazał zdziwienia.

– Jaka była przyczyna śmierci? – zapytał.

– Wszystko wskazuje na to, że bezpośrednią przyczyną był postrzał. Promień bojowego lasera. – Dave miał nadzieję, że android nie wyczuje wahania w jego głosie.

– Zaraz mi pan to pokaże. – Sanders chłodno analizował dochodzące do niego informacje. – Proszę mi powiedzieć, co to za znaki na klatce piersiowej?

– Znaki? Tu są jeszcze jakieś znaki? – Michael znów spanikował. Myślał, że nic więcej go dzisiaj nie zaskoczy. Po raz kolejny się pomylił.

– Były na ciele denata... to znaczy pana Chandlera. – Porter zmieszał się na ułamek sekundy. Zapomniał, że czujnemu wzrokowi androida nie umknie żaden szczegół. Spod operacyjnego płótna wystawała zaledwie część litery T, mimo to Sanders ją dostrzegł. Dave nie miał z czym zwlekać. Odslonił wytatuowane zdanie. – Zdaje się, że komuś zależało, byśmy szybko go zidentyfikowali – zauważył.

– Prawdopodobnie – potwierdził chłodno Macloud. – Proszę pokazać teraz miejsce postrzału.

Dave okrążył kontener. Miał nadzieję, że nikt nie zauważył drżenia jego dłoni, gdy obracał ciało na brzuch. Spojrzał na Chandlera. Wydawało się, że mężczyzna siedzący naprzeciw niego zaraz eksploduje z napięcia. Był na przemian blady, niebieski i zielony. W każdej chwili mógł zemdleć.

– Jeśli to dla pana zbyt trudne, proszę nie patrzeć – powiedział do niego Porter.

– Nie, w porządku. Chcę zobaczyć. – Michael zebrał w sobie wszystkie siły i podniósł się ostrożnie z krzesła.

Mężczyźni zbliżyli się do Dave'a. Sanders stanął u jego boku, ale nie odezwał się nawet

słowem. Nawet Pawłow zachował milczenie, obserwując wszystko z góry.

– To jest to? – zapytał słabym głosem Chandler. Walczył z nudnościami.

– Tak. Został pan trafiony dokładnie przy linii kręgosłupa, bliżej prawej łopatki. – Dave udzielił rzeczowej informacji.

Porter widział, jak android wpatruje się w ranę. Zastanawiał się, czy Sanders nie nabral jakichś podejrzeń. Musiał mieć do czynienia z wieloma postrzałami. Większość z nich sam zadał. Jednak na pierwszy rzut oka nawet chirurg nie mógł określić, czy uraz był przyczyną zgonu.

Dave czuł, że te wszystkie myśli zaczynają go przytłaczać, tracił nad nimi kontrolę. W sumie nie wiedział, dlaczego trzyma swoje odkrycie w tajemnicy przed innymi. Przecież doskonale zdawał sobie sprawę, że leży przed nim idealna imitacja ciała Michaela Chandlera. Nie miał jednak zamiaru ujawniać tego faktu. W końcu coś łączyło ze sobą tamtą obcą planetę, Sandersa, Chandlera i... jego charakter pisma.

Porter przede wszystkim myślał teraz o żonie. O tym, że na pewno już wstała i obudziła małą. Widział je przy stole w kuchni, jak jedzą śniadanie. Andrea wkłada rączkę do pudełka z płatkami, szuka swoich ulubionych zabawek. Joan obmyśla najszybszą i najbardziej sprawną metodę przewozu pakunków.

Ucisk w gardle był dławiący, nieuchronny. Dave nie miał złudzeń, zrozumiał, jak to wszystko się potoczy. Po raz kolejny nie dotrzyma obietnicy. Zostawi je same, w trudnym momencie. Jaki jednak miał wybór? Czy miał większy wpływ na swoją przyszłość niż ten biedny Chandler?

– Panowie, rozumiem, że każdy z was wyraża zgodę na ekspedycję na Minera II? – Pawłow przerwał jego rozmyślenia. Nie widząc sprzeciwów, dodał:

– W takim razie przejdziemy do sali odpraw. Przekażę wam wszystkie instrukcje.

## ROZDZIAŁ 9

Chandler próbował dostrzec sklepienie głównej hali portu. Przychodziło mu to z trudem. Wjeżdżali do wnętrza stalowego potwora jednymi z setek ruchomych schodów, rozplanowanych przez jakiegoś szalonego konstruktora. Tysiące podróżnych, ich rodzin, znajomych, służb porządkowych czy też ludzi zupełnie przypadkowych przemieszczało się z miejsca na miejsce, jak ruchliwe afrykańskie mrówki. Sobie znanym tylko sposobem potrafili obrać i utrzymać kierunek podróży. Przyklejeni byli do przezroczystych rękawów windujących ich w górę, do platform startowych. Tam czekały na nich kolosy, zmierzające na odległe planety. Niektórzy sunęli gęsiego koło wystaw sklepowych, niknąc w oślepiających neonach kolorowych reklam. Podążali z jednej strony w drugą. Część wynosiła się z tej planety, szczęśliwa, że wreszcie wyrwa się z szalonej kotłowniny, inni wyglądali na zniecierpliwionych, załatwiając swoje sprawy przy blatach identycznych, białych biurków, za którymi zasiadali sztucznie uśmiechnięci urzędnicy.

Doprowadzono ich do jednej z poczekalni. Na życzenie Pawłowa została odizolowana od innych terminali. Zawieszona na szklanych wysięgnikach, unosiła się ponad główną salą niby szklana klatka dla ptaków. Stąd Michael bez przeszkód mógł podziwiać całą niezwykłość architektonicznego dzieła, mając je niemal na wyciągnięcie dłoni.

Był tutaj wcześniej. Tylko raz, ale to wystarczyło, by wspomnienie utkwilo w głowie w najdrobniejszych szczegółach. Pamiętał, że kurczowo trzymał dłoń matki, panicznie obawiając się, że sam zniknie w tłumie i nikt nigdy go nie odnajdzie. Wtedy kosmodrom przypominał mu gigantyczny, orientalny bazar. Balon wypełniony mieszaniną zapachów i dźwięków z najodleglejszych zakątków kosmosu, niepodobnych do niczego, co znał. Jaką wiedzę mógł mieć mały chłopiec? Jego jednym źródłem informacji były przekazy videofoniczne i opowieści tych szczęśliwców, którzy opuścili choć na chwilę rodzimą planetę. W kosmoporcie wszystko było nowe. Wszystko przyciągało uwagę. Uderzała różnorodność podróżnych. Ich wygląd, chód lub pełzanie. Kolor ich skóry i pancerzy. A najbardziej zastanawiały torby podróżne, teczki, nesesery, walizki, zwykłe reklamówki i syntetyczne bulwy, kryjące zawartość, o jakiej chłopcu nawet się nie śniło. Michael zastanawiał się wtedy, co mogą mieścić. Te najmniejsze i największe kontenery. Uśmiechnął się na tamto wspomnienie. Wyobraźnia dziecka podsuwała mu tysiące rozwiązań. Widział starannie zapakowane ubrania pasujące w sam raz na wielorękich Hattytów, zabawki małych pełzających Anakrytów, książki wielkogłowych Majatów, urządzenia, przybory toaletowe, a nawet kanapki, każdą z innym, kosmicznym nadzieniem.

Tamte chwile wróciły. Dreszcz emocji, który towarzyszył mu, gdy był chłopcem, teraz okazał się równie silny. O czym mógł wtedy marzyć? O gwiazdach? O podróżach międzyplanetarnych? Chyba nie różnił się od swoich rówieśników, był małym zdobywcą kosmosu, podróżnikiem, najodważniejszym z odważnych. Tak, dziecięce marzenia mogą się okazać dorosłym rozczarowaniem. Nigdy nie spełnił żadnego z nich. Nie ruszył się z Ziemi nawet na najbliższego satelitę. Dziś w nocy miał przejść swoją inicjację. Opuści tę planetę po raz pierwszy.

Michael zrozumiał, w jaki sposób nagle rozszerza się postrzeganie świata. Pojęcia, które znał, zmieniły raptownie znaczenie. Kosmos przestał być dla niego pustą, odległą nazwą. Za chwilę miał go dotknąć i posmakować.

– Panie Chandler, proszę zająć miejsce w poczekalni. – Mężczyzna w nienagannie skrojonym garniturze wskazał pusty rząd krzeseł.

Towarzyszył jemu i Porterowi od momentu, gdy opuścili Ośrodek. Brakowało tylko Sandersa. Miał dołączyć do nich na statku, po przyswojeniu wszystkich wymaganych danych.

– Muszę siedzieć? – zapytał. Obserwowanie tłumów sprawiało mu większą frajdę niż bezcelowe gapienie się w puste ściany. Mógł przynajmniej czymś zająć myśli.

– Proszę, żeby pan usiadł – powtórzył cierpliwie ochroniarz.

Chandler posłuchał. Wolno ruszył w stronę siedzisk, wybierając miejsce naprzeciw zamysłonego Portera. Żaden z nich nie miał ochoty na rozmowę. Mętlik w głowie Michaela nie zmniejszył się nawet trochę. Co więcej, Pawłow powiększył go, próbując wyjaśnić wszystkie szczegóły ekspedycji. Michaelowi nic nie mówiły informacje dotyczące teleportera czy też wehikulu czasu (czasami sam Pawłow w czasie odprawy nazywał to cholerne urządzenie transmitterem). W sumie nie czuł się zobowiązany do zapamiętania wszystkich informacji. Niewiele z nich zrozumiał, a to, co słyszał, wydawało mu się mało wiarygodne.

Być może Michael wciąż łudził się, że wszystko, co się wokół niego dzieje, jest jakimś niesmacznym żartem. Głupim pomysłem kolegów z pracy, którzy z nudów potrafili wymyślać równie niesamowite głupoty. Wolał nie dopuszczać do siebie oczywistej prawdy. Żaden z chłopaków ze zmiany nie miał na tyle oleju w głowie, by pojąć, co się wokół niego dzieje, a co dopiero wymyślić równie skomplikowaną historię.

Wplątał się w to, albo precyzyjniej został wplątany, w tę całą kabałę wbrew swej woli. Co jednak miał do powiedzenia? Wykrzyknąć zdrowe, asertywne nie? Postawić się, zaprzeć nogami z całych sił, albo lepiej, położyć się na podłodze i z płaczem walić w nią zaciśniętymi pięściami? Michael był na tyle rozsądny, by wiedzieć, że od przeznaczenia nie ucieknie. Być może był przesądny, staromodny, ale w przeznaczenie to jeszcze wierzył. Zwłaszcza, gdy miał tak niezbite dowody na jego istnienie, jak ten, który widział w laboratorium.

Michael wpatrzył się w metalową podłogę. Nie miał wyboru. Musiał uwierzyć w zapewnienia Pawłowa, że Sanders z Porterem go ocala i znajdą wyjście z tej piekielnie zagmatwanej sytuacji.

Ktoś jednak zbudował to diabelskie urządzenie. Najprawdopodobniej cywilizacja wyżej rozwinięta niż te, które były im znane. Tego mógł być pewien. Co mniej budujące, Chandler nie mógł oprzeć się wrażeniu, że nawet Pawłow wie o sprawie niewiele więcej od niego. Wszystko, co mówił, opierało się na przypuszczeniach i domysłach. Cel całej tej dziwnej ekspedycji pozostawał niejasny. Mieli polecieć na wskazaną planetę i włączyć się w wir wydarzeń. Dobrze by było, żeby przy okazji wraz z Porterem i Sandersem odnaleźli transmitter i dowiedzieli się, kto go skonstruował. Jak widać, w całej tej zabawie było więcej dziur niż w szwajcarskim serze.

– Muszę zadzwonić. – Porter wstał gwałtownie z siedziska. Wyglądało to tak, jakby do tej chwili walczył ze sobą, a teraz nagle podjął decyzję. Nie czekając na zgodę ochroniarza, ruszył w stronę budek videofonicznych.

Michael odprowadził go wzrokiem. Nagle poczuł się źle. W jego gardle tkwiła ogromna kula, której w żaden sposób nie potrafił przełknąć. Starał się nie pocić, ale zimne stróżki spływały mu z czoła na policzki i szyję. Zrobiło mu się zimno. Strach najpierw obudził się w żołądku, potem opanował całe ciało. Poczuł się tak, jakby ktoś zacisnął w pięści wszystkie jego kiszki.

– A ja muszę do toalety – wybełkotał, z trudem stając na nogi.

\* \* \*

Gdy Joan ukazała się na ekranie, uśmiechnął się do niej. Uświadomił sobie, że od niej także oczekiwał uśmiechu, tak jakby mu się należał na zawołanie. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Na jej twarzy pojawiło się coś innego, zmęczenie, dominujący smutek. Dopiero teraz zwrócił na to uwagę. Wcześniej widział to, co chciał. Joan była dla niego uosobieniem spokoju i ciepła, z których momentalnie potrafił czerpać energię. Zdał sobie sprawę, że traktował ją tak, jakby było

niezniszczalna, jakby nic i nikt nie potrafił jej dotknąć, zburzyć doskonałej harmonii ciała i ducha. Mylił się.

– Ja...

Porter nie potrafił wykrztusić z siebie żadnego sensownego zdania. Widział, że Joan zdążyła się położyć. Była już noc. Najprawdopodobniej Andrea spała już w objęciach swojej maskotki. Oddałby wszystko, żeby teraz móc być z nimi tam, w starym domu. Problemy, które ich poróżniły, wydały się w jednej sekundzie błahe, nienaturalnie spiętrzane kolejnymi bezsensownymi niedomówieniami. Przecież wystarczyło kilka prostych słów, by było tak jak dawniej.

– Co się stało Dave? Nie odzywałeś się cały dzień! Nawet nie zauważyłam, kiedy wstałeś?

Porter w ułamku sekundy powrócił na ziemię. Znow wszystko nabrało innego wydźwięku, nierzeczywistego wymiaru. Proste, wydawałoby się, wnioski rozmyły się, przesiąkły jak woda pomiędzy palcami. Wystarczyła jedna myśl, przypomnienie sobie, dlaczego znalazł się tu, w tym miejscu, w poczekalni ziemskiego kosmodromu.

– Wylatuję Joan. Za kilkanaście minut będę na statku rejsowym... – zawiesił głos, jakby chciał coś dodać, ale tego nie zrobił. Nie miał odwagi.

– Aha... – odpowiedziała. Opuściła oczy, wbijając je gdzieś nisko, w podłogę.

– Podjąłem decyzję. Lecę po raz ostatni – powiedział to tak, jakby chciał się pozbyć ogromnego ciężaru, który przez cały ten czas spoczywał mu na barkach. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to sztucznie, ale nie wycofał się. – Odtąd będziemy razem. Naprawdę...

Popatrzyła na niego. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi w jej oczach łzy. Nie był jednak tego pewny. Gdyby tylko mógł, przytuliłby ją i powiedział, jak bardzo ją kocha.

– Czy wiesz, co mówisz, Dave? Czy wierzysz, że tym razem dotrzymasz obietnicy? – zapytała.

– Tak! Przemyślałem to. Jestem gotowy! – odpowiedział z zapałem. Serce mocno waliło mu w piersiach, dławilo go w gardle. Chciał jej wszystko teraz przekazać, choćby w kilku słowach. To, czego dotąd nie mówił, to, o czym zapomniał powiedzieć lub po prostu nie potrafił. Czuł, że Joan go zrozumiała. Wreszcie sam uwierzył w słuszność swojej decyzji.

– To dlaczego nie zrezygnujesz teraz. Przyjedź do domu, Dave! – Po jej policzku spłynęła łza. Jedna, jedyna. Porter wiedział, że nie będzie kolejnych. Była niczym wyrok, na który czekał od dawna. Jak skazaniec, wciąż wierzący, że otrzyma jeszcze jedną szansę.

Poczuł, że nienaturalnie pocą mu się dłonie. Przeszyła go fala gorąca. Nie potrafił odpowiedzieć. Znow zabrakło mu słów. Uciekł nieświadomie przed jej spojrzeniem.

– Nie możesz, Dave? – Joan uśmiechnęła się smutno. – Nie możesz... – powtórzyła cicho i przerwała połączenie.

Porter nie mógł zapanować nad drżeniem dłoni. Próbował ponownie wprowadzić numer domowy. Bezskutecznie. Maszyna uparcie odmawiała połączenia. Zaciśnął szczęki, aż zatrzeszczały zęby.

Niby jak miał postąpić? Przecież nie mógł zrezygnować z lotu na Minera. Czy tego chciał, czy nie chciał, jego przeznaczenie, w jakiś niepojęty sposób, było związane z tamtą planetą, z tym cholernym Michaeliem Chandlerem!

Zamknął oczy, próbując się uspokoić. To reakcja obronna. Złość. Odwiesił słuchawkę. Już podjął decyzję. Nie było odwrotu. Wyjaśni jej wszystko po powrocie. Wiedział przecież, że Joan go kocha. Zrozumie na pewno. Zawsze rozumiała. To już będzie ostatni raz, naprawdę...

\* \* \*

Toalety były puste. Chandler znalazł się sam w przestronnym, sterylnie czystym pomieszczeniu. Podszedł do umywalki i odkręcił kran z zimną wodą. Przemył twarz i kark. Poczul się odrobinę lepiej. Spojrzał w lustro. Nie spodziewał się tego, co zobaczył. Nie poznał swojego odbicia. Nie mógł uwierzyć, że ten wystraszony, zagubiony człowieczek to właśnie on. Choć w sumie niewiele się zmieniło, pomyślał, właśnie tak czuł się przez całe swoje życie. Być może przyszedł właściwy moment, by to zmienić.

Nachylił się, wsadzając głowę pod kran. Woda była lodowato zimna. Gdy wlała mu się do uszu, niemal krzyknął. Chyba jednak dzięki temu, jego myśli momentalnie się wyklarowały. Wiedział, że do Industries nie wróci. Nie dałby jednak głowy, że powinien lecieć na Minera. Ktoś już kiedyś mówił o wchodzeniu z deszczu pod rynnę.

Obrócił się i oparł plecami o umywalkę. Uniósł głowę i wbił spojrzenie w sufit. Właz wentylacyjny był otwarty. Mógł uciec w każdej chwili. Mógł, jednak wahał się. Popatrzył na zegarek i zaśmiał się obłędnie. Właśnie minęła północ, nie zdążył zapłacić podatków. Jeśli ucieknie z kosmodromu, wpadnie w ręce Urzędu Skarbowego. Zabiorą mu te resztki, które jeszcze posiada, i wlepią długą odsiadkę. Cóż, tym razem wybiorę rynnę, pomyślał Chandler. Wytarł twarz papierowym ręcznikiem i wyszedł z toalety. I tak nie miał dokąd uciekać.

## ROZDZIAŁ 10

Porter machnął jakimś papierkiem przed nosami wścibskich urzędników i, omijając wszelkie kontrole, znaleźli się w rękawie oznaczonym numerem 328 B. Taką sygnaturę nadano międzygalaktycznemu kursowi na Minera II. Zgodnie z informacjami przekazywanymi przez witającego podróżnych spikera, czekały ich w trakcie długiego lotu dwa międzylądowania. Wymienione nazwy planet niewiele Chandlerowi mówiły, nie przejął się jednak swoją ignorancją. Uznał to za dodatkowe urozmaicenie podróży. W końcu miał niepowtarzalną okazję obejrzeć oba światy z tarasu widokowego. Za nic na świecie by tego nie przegapił.

Papierek Portera musiał mieć niepodważalną moc. Dzięki niemu wyminieli długie kolejki pasażerów oczekujących na wpuszczenie na pokład i skierowali się do osobnego wejścia zarezerwowanego dla VIP-ów i dyplomatów. Robot steward uklonił się nisko przed Michaeliem, odebrał jego bilet, co w tym wypadku wydawało się zwykłą formalnością, i życząc mu przyjemnej podróży, popchnął go lekko w stronę bramki kontrolnej. Ciśnieniowa winda wessała ich z głośnym młaśnięciem. Michael nawet nie zdążył się zdziwić, że tak łatwo oderwali się od ziemi. Poduszki bezpieczeństwa po kilkunastu sekundach lotu przejęły jego rozpedzone ciało i ustawiły bezpiecznie na platformie obok Portera.

Gdy znaleźli się na kosmicznym promie „Arania” Chandler miał wciąż miękkie kolana. Z wrażenia odebrało mu dech. Statek do złudzenia przypominał gigantyczne miasto. Sklepy, kina, ruchome chodniki z błyskającymi zachęcająco neonami. Do osiągnięcia pełnego złudzenia brakowało jedynie powietrznego ruchu samochodów.

Tysiące podróżnych rozlokowanych zostało na kilkunastu pokładach, w specjalnie przystosowanych do długich podróży fotelach. Minęło sporo czasu, zanim Michael i Dave odnaleźli swoje miejsca. Kilka razy zmylili drogę, minęli przedziały sypialne, a potem, zupełnym przypadkiem trafili na właściwe miejsce. Sanders już na nich czekał. Zajął miejsce za ich siedzeniami. Nietrudno było się domyślić, dlaczego.

– I co, wszystko już pan wie? – Chandler obrócił się do Maclouda. Nie potrafił powstrzymać uśmiechu, android przypominał mu starą kwokę, pilnującą, by każde ze swoich dzieci mieć na oku.

– Co pan ma na myśli?

– Czy już wszystkie informacje są... w pana głowie? – Dostyc niezręcznie wskazał swoją własną czaszkę.

– Jest tam wszystko, co potrzeba – odpowiedział szorstko Sanders. Odwrócił się w stronę okienka umieszczonego przy siedzeniu. Dał w ten sposób jasno do zrozumienia, że nie ma zamiaru kontynuować rozmowy.

– Nie chciałem pana obrazić, miałem nadzieję, że dowiem się czegoś więcej o Minerze – powiedział szybko Chandler, starając się załagodzić sytuację. Nie doczekał się jednak odpowiedzi.

Nie mając nic innego do roboty, rozsiadł się wygodniej w fotelu. Syntetyczny materiał dostosował się do kształtu ciała i dostroił temperaturę do wymagań użytkownika. Chandler żałował, że nie pokusił się do tej pory, by dokonać zakupu tak porządnego mebla. Pasowałby doskonale do jego pokoju i kwadrofonicznego zestawu kompaktowego. No tak, zastanowił się, teraz i tak nie miało to znaczenia. Mógł zapomnieć o mieszkaniu, wyposażeniu i, jedyna pociecha w całej tej historii, o zaległych ratach.

Uśmiechnął się i rozluźnił. Już zapomniał, jak czuje się człowiek, który nie musi żyć z dnia na dzień, przejmując się wszystkimi i wszystkim. Postanowił, że będzie udawał, iż jest na



wakacjach. Właśnie teraz odbywa lot na dziewiczą planetę Hawaia, gdzie czekają na niego palmy, gorące plaże i jeszcze gorętsze dziewczyny. Wreszcie miał czas spokojnie się rozejrzeć. Nie omieszkał tego uczynić.

Statek był wypełniony po brzegi. Już wcześniej zauważył, że wśród pasażerów dominują trzy rasy. W tej dziwnej mieszance mieszkańcy Ziemi, o dziwo, stanowili mniejszość. W przedziałach roilo się od obcych. Na swoich fotelach rozsiadły się duże, niebieskie stwory z dziurami na szyi, których funkcję trudno było zdefiniować, oraz niezmiernie chudzi osobnicy. Ci ostatni mieli wielkie, futrzane głowy i pociągłe pyszczki. Z wyglądu przypominali szczury. Być może dlatego na pierwszy rzut oka sprawiali mało sympatyczne wrażenie.

Michael zdziwił się, że tak wiele osób leci na Minera II. Wydawało mu się, że ostatnie wydarzenia i trudności na planecie odstraszą od podróży nawet największych śmiałków. Jak widać, pomylił się. Być może doniesienia prasy były przesadzone? Szczerze mówiąc, Chandler nie zdziwiłby się, gdyby tak było.

O ile pamiętał, w tym roku już kilka razy wybuchały afery, które po kilku dniach okazywały się zwykłymi plotkami.

Na wszelki wypadek wziął do ręki jeden z egzemplarzy elektronicznego dziennika. Ostrożnie ułożył czytnik na kolanach, starając się nie potrącić łokciem Portera. Na głównej stronie, tak jak się spodziewał, widniało zdjęcie jednego z szybów kopalni. Michael przebiegł wzrokiem równie linie tekstu. Zasepił się. A jednak nadzieje okazały się płonne. Przekaz nie napawał optymizmem. Górnicy opuszczali Minera z przyczyn dosyć mgliście opisanych przez dziennikarzy. Nie wiadomo, czy chodziło o płace, ciężkie warunki pracy, czy wyczerpanie złoża. Więcej pisano o zawiedzionych nadziejach na rozwiązanie kryzysu energetycznego niż problemach na samej planecie.

Chandler westchnął ciężko i zmienił strony na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu. Szukał jakiegoś lżejszego tematu. Jak na złość nie potrafił nic znaleźć. Odłożył gazetę i głośno przełknął ślinę. Rozejrzał się jeszcze raz po współpasażerach. I właśnie wtedy ją zobaczył. Płynęła pomiędzy rzędami, lekko niczym baletnica. Uśmiechała się do mijanych pasażerów. Bił od niej blask tak fantastyczny, że po raz pierwszy w życiu Michael zupełnie stracił poczucie czasu i rzeczywistości. Jej doskonała twarz, ciepłe, błękitne oczy przyprawiły go o drżenie serca. Nie mógł oderwać wzroku od złocistych włosów, które odgarniała za ucho delikatnym ruchem dłoni. Ciało ukryte pod obcisłym kombinezonem emanowało ciepłem w całym pomieszczeniu. Chandler czuł niemal zapach jej miękkiej skóry. Serce biło mu coraz mocniej, gdy zbliżała się do miejsca, w którym siedział. Bał się, że jeśli zrobi choćby jeszcze dwa kroki, to czeka go ciężki, nieodwracalny w skutkach zawał.

– Proszę zapiąć pasy. Za chwilę startujemy. – Pod wpływem słodko wibrującego głosu Chandler poczuł, że wiruje mu w głowie cały wszechświat.

– Jak ma pani na imię? – wybełkotał.

– Christina – odpowiedziała, obdarzając go uśmiechem, który niewątpliwie zwałiłby go z nóg, gdyby już nie siedział.

Michael zrozumiał w jednej chwili, że właśnie to nazywa się opatrnością. Wszystkie wydarzenia dzisiejszego dnia były tylko pretekstem, żeby trafił na nią. By ich dwa światy odnalazły się pośród miliardów zdarzeń i ludzkich istnień. Nic innego nie miało znaczenia. Ten prom, odległa planeta, nagle rozpląnęły się w powietrzu. Chandler znalazł właśnie swoją drugą połowę duszy... i ciała.

– Pomóc panu? – Nie czekając na odpowiedź, nachyliła się ku niemu i wyciągnęła z zakamarków fotela pas bezpieczeństwa. Chandlera owionął słodki zapach perfum. Kosmyk delikatnych włosów musnął jego policzek. Poddał się tej chwili całkowicie.

– Dziękuję – szepnął, z trudem przelękając ślinę.

– Nie ma za co – odpowiedziała z uśmiechem.

Gdy ruszyła w stronę innych pasażerów, Michael bezwiednie odprowadził ją wzrokiem. Był pewny, że coś między nimi zaiskrzyło.

– Android.

– Słucham? – Chandler obrócił się do siedzącego obok niego Portera.

– Mówię, że to android. Christina, Model Dwa Tysiące Pięćset. Trzeba przyznać, że udała im się znakomicie.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi?

– Mówienie per pan jest za bardzo oficjalne. Skoro spędzimy ze sobą kilka kolejnych dni, wystarczy jeśli będziesz mi mówił Dave.

– O czym mówisz, Dave? – Michael powtórzył pytanie nieco głośniejsze.

– Chciałem ci uświadomić, że pod tą niebiańską skórą kryją się skomplikowane układy i mechanizmy. Christina jest androidem.

Chandler obrócił się w fotelu i odszukał wzrokiem stewardesę. Dojrzał ją kilka rzędów dalej, pochyloną nad innym pasażerem. Uśmiechała się w ten sam boski sposób, zapinając niesforne pasy bezpieczeństwa.

– Wiem o tym... – odpowiedział, starając się ukryć zmieszanie, i udał, że powraca do lektury gazety.

Porter przyjrzał mu się uważnie. Nie powiedział nic więcej. W sumie zrobiło mu się głupio. Zdał sobie sprawę, że widząc zauroczenie Chandlera Christiną, świadomie zapragnął sprowadzić go na ziemię. Być może ta szpileczka wobec współpasażera miała ulżyć jego własnym problemom.

Kadłub statku zadrżał. Michael odczuł wibrację podłogi. Głośne dotąd rozmowy ucichły i pasażerowie przygotowywali się do startu.

– Witam na pokładzie „Aranii”, nazywam się Dornagh, jestem państwa pilotem! – rozległ się głęboki, męski głos nad głowami podróżnych. Można było sobie wyobrazić, że ten pilot, gdy tylko zawita do portu podczas przerwy w lotach międzygwiazdnych, złamie niejedno kobiece serce. – Mam przyjemność spędzić z państwem najbliższe godziny. Życzę przyjemnego lotu!

W przedziale rozległy się nieśmiałe oklaski, do których Michael także się przyłączył. Huk odpalanych głównych silników rakietowych słycać było nawet w ich kabinie. Na ułamek sekundy' ciała pasażerów stały się cięższe. Potem Chandler odczuł, że unoszą się w stronę nieba. Po raz pierwszy w życiu oderwał się od Ziemi na dłużej niż kilka sekund. Miał wrażenie, że nieprędko tu wróci. A jeśli tak, to przynajmniej cały i zdrowy, nie jako martwa przesyłka z innej planety.

## ROZDZIAŁ 11

Uwolnił się z fotela, gdy tylko przebili się przez atmosferę. Chciał zobaczyć Ziemię z tarasu widokowego, zanim będzie malutkim punkcikiem, podobnym do miliardów innych kosmicznych świetlików. Pilot miał specjalnie okrążyć glob dla tych, którzy podobnie jak Chandler, po raz pierwszy podróżowali promem.

– Gdzie pan idzie? – Sanders powstrzymał go zdecydowanym szarpnięciem za ramię.

– Taras widokowy... chciałem zobaczyć... – Michael wskazał placem bliżej niesprecyzowany kierunek.

– Niech pan idzie, dobrze to panu zrobi. – Macloud nieoczekiwanie zwolnił uścisk i momentalnie stracił zainteresowanie swoim podopiecznym.

Chandler zawahał się. Być może spodziewał się zdecydowanego sprzeciwu Sandersa. W końcu jednak wzruszył ramionami i skierował się w stronę wyjścia z przedziału. Minął rzędy foteli i stłoczonych na nich pasażerów. Poszedł schodkami w dół, a potem w górę. Zgubił drogę dopiero na pokładzie szóstym. Chciał nawet zapytać kogoś o właściwy kierunek, ale wzdłuż korytarzy przechadzali się jedynie obcy. Jakoś nie miał śmiałości do nich podejść. Przerastali go gabarytami i traktowali, jakby był powietrzem.

Na wycucie skierował się w stronę wind. Wydawało mu się, że jeśli pojedzie w górę statku, w końcu trafi na taras. Minął kilka prywatnych kaju, skręcił przy barze w lewo i w końcu znalazł superszybkie przenośniki międzypokładowe. Przy jednej z wind stała grupka obcych, między ich głowami przebłyskiwały złociste włosy Christiny.

– Jak trafić na taras widokowy? – Michael podszedł do dziewczyny, obdarzając ją uśmiechem, za sprawą którego stopniałoby niejedno niewieście serce.

– Właśnie tam jedziemy. – Oczy stewardesy zaiskrzyły się błękitnymi ognikami. Otaksowała Chandlera powłóczytym spojrzeniem. Przynajmniej tak Michaelowi się wydawało. – Może pan do nas dołączyć – dodała.

– Bardzo chętnie. – Chandler zauważył, że obcy po raz pierwszy uważniej mu się przyglądają. Miał nadzieję, że nie słyszą szalonego bicia jego serca.

– Jest winda – oznajmiła Christina. – Proszę wchodzić.

Michael poczekał, aż wszyscy obcy zapakują się do niezwykle pojemnego pomieszczenia. W końcu szarmanckim gestem przepuścił stewardesę i wszedł za nią do windy. Ustawił się bardzo blisko niej. Z radością poczuł, jak ich ramiona stykają się w tłoku. Mimowolne dreszcze przeszły mu wzdłuż kręgosłupa.

– A gdzie pana grawiton? – zapytała Christina.

– Grawiton? – powtórzył niepewnie Michael.

– Tak. Jak pan sobie wyobraża pobyt na tarasie widokowym bez grawitonu? – Stewardesa pokręciła głową, uśmiechając się pobłaźliwie. – Proszę założyć mój. Wezmę dla siebie inny.

Podana mu urządzenie przypominające zwykły pasek podtrzymujący spodnie. Chandler założył go, czerwieniąc się jak sztubak.

– Dziękuję, że pomogła mi pani zapiąć wtedy pasy – szepnął jej do ucha. Jednocześnie skarcił się w myślach, że coś równie głupiego mogło przyjść mu do głowy.

– Nie zapinałam panu pasów, nie jest pan z mojego pokładu – odpowiedziała Christina z rozbrajającą szczerością. – Odpowiadam za poziom szósty.

Chandler przełknął ślinę. Słyszał chichoty obcych za swoimi plecami. Uśmiechnął się głupio i zapatrzył w ekran, na którym zmieniała się numeracja mijanych pięter. Więcej się nie odezwał.

Kilkadziesiąt sekund później winda się zatrzymała. Tłum wypchnął Chandlera na obity

pluszowym materiałem korytarz. Z kilkudziesięciu innych wind wyszły podobne grupki podróżnych. Każdej z wycieczek towarzyszyła blond piękność: Christina jeden, dwa, trzy... Michael przestał liczyć. Posmutniał, opuścił głowę i wolno ruszył na taras widokowy.

Dołączył do mrowia głów przesuwających się wartkim strumieniem wzdłuż korytarzy. Setki głosów przekrzykiwały się nawzajem w niezrozumiałych dla Chandlera językach. Dał się nieść fali zupełnie bezwiednie. Gdyby nie podtrzymujące go ramiona, odwłoki i macki sąsiadów, na pewno upadłby na podłogę. Nie miałby wtedy siły i ochoty wstać.

Nagle tłum się zatrzymał. Michael rozejrzał się wokół siebie. Wszyscy podróżni stłoczyli się w ogromnej, przeszklonej kopule. Spojrzał w górę ponad głowami innych. Wydawało mu się, że widzi niewyraźny kontur Ziemi, prześwitujący przez grube, ochronne szkło. Jasne światła zawieszane u sufitu przeszkadzały jednak w potwierdzeniu jego przypuszczeń.

Jeśli to ma być taras widokowy, pomyślał, to ja wypisuję się z tej zabawy. Spróbował się obrócić, ale tłum ciasno go otoczył. Mur postaci nie zostawił mu nawet szpary, by mógł precyzyjnie się z powrotem do wind. Miał już krzyknąć o pomoc, gdy z gardeł setek obcych i ludzi, wydobył się okrzyk zachwyty. Chandler podążył za spojrzzeniami stojących przy nim osób. Światła zaczęły gasnąć. Kontury Ziemi i Księżyca stawały się coraz wyraźniejsze. Nagle Michael poczuł, że odrywa się od podłogi, a postaci innych podróżników rozmazują się i giną w ciemnościach. Z jego piersi także wydobyło się westchnienie, gdy poczuł, że unosi się w przestworzach, zmierzając wprost w stronę błękitnego globu. Znalazł się od niego wręcz na wyciągnięcie ręki. Michaelowi wydawało się, że jeśli naprawdę się postara, dotknie niebieskich oceanów i wielobarwnych kontynentów. Było to złudzenie, ale bardzo sugestywne.

Statek ruszył, wolno okrążając glob. Chandler po raz pierwszy w życiu zobaczył tak wyraźny księżyc i tysiące ogników gwiazd. W mieście, rozświetlonym miliardami reklam i lamp, nie widział gwiazd od bardzo dawna. Mógł je sobie tylko wyobrazić, śnić o nich. Teraz czuł się tak, jakby był zupełnie sam w kosmosie. Jak zawieszony w próżni astronauta, okrążający planetę, z której do tej pory nie oderwał się nawet na kilka chwil. Gdy na horyzoncie pojawił się kontynent, na którym się urodził, a potem wielka metalowa aglomeracja przypominająca paskudny strup na powierzchni Ziemi, doznał oczyszczenia. Poczuł, że zostawia to, na czym nigdy mu nie zależało. Uwalnia się od pęt, które od dnia narodzin zaciskały się na całym jego ciele, dusząc go, z każdym dniem coraz bardziej. Patrzył jak urzeczony, czerpiąc energię z każdej chwili dryfu. Aż wreszcie statek zadrżał, obraz rozmazał się i w ciągu kilku sekund Ziemia stała się malutką kropką, ginącą gdzieś w bezkresnych przestworzach. Michael opadł na podłogę i jako zupełnie odmieniony człowiek ruszył wraz z innymi w drogę powrotną, w stronę wind.

Jedna ze stewardes, która przedstawiła się jako Christina z pokładu dwudziestego pierwszego, odprowadziła go na miejsce. Zamówił u niej drinka. Teraz siedział w fotelu, rozkoszując się kolejnymi łykami przyjemnie palącego w przetyku płynu.

– I jak było? – zagadnął go Porter.

– Wspaniale. Po raz pierwszy podróżuję promem. Wcześniej Ziemię widziałem z tej perspektywy tylko w kablówce.

– Robi wrażenie, to prawda – potwierdził Dave. – Pamiętam, że za pierwszym razem miałem takie same odczucia.

– Potem to powszednie?

– Niestety tak. – Porter uśmiechnął się smutno. – Ale dopiero przy trzydziestym, trzydziestym pierwszym razie.

– Dużo podróżujesz. Pewnie większość czasu spędzasz poza domem? – Michael pokiwał głową z podziwem. – Masz bardzo wyrozumiałą rodzinę.

– Tak. – Dave nagle stracił ochotę na kontynuowanie rozmowy.

– Ja nie mam rodziny. – Chandler upił kolejnego łyka.

– To smutne... – Porter myślał już o czymś zupełnie innym.

– To zależy. Jest dobrze, gdy ma się kogoś, na kim zawsze można polegać. Kto będzie z tobą w tych złych i dobrych chwilach... ale myślę, że mój czas jeszcze przyjdzie. A wtedy na pewno nie wypuszczę tego z rąk. Wiesz, to chyba jest ważniejsze niż wszystko inne...

Porter popatrzył uważnie na Chandlera. Współpasażer nie mógł wiedzieć o jego problemach. Mimo to, w paru zdaniach wysnuł wszystkie wnioski, do których Dave dochodził kilka ostatnich lat.

– Kim jest Pawłow? – Chandler raptownie zmienił temat.

– Profesorem w Ośrodku Badań Pozaziemskich. Jest jednym z najbardziej...

– Nie. Ja pytam, jakim jest człowiekiem. Jak wygląda, jak się zachowuje. Z monitora niewiele można wyczytać.

– Nie wiem – odpowiedział krótko Dave.

– To znaczy nie chcesz powiedzieć? – zapytał z zainteresowaniem Michael. Nie wiedział, dlaczego zrobił się nagle tak wylewny wobec Dave'a. Być może była to sprawka mocnego alkoholu.

– Po prostu nie wiem. Nigdy go nie widziałem i nie rozmawiałem z nim osobiście.

– Niemożliwe. – Chandler uśmiechnął się z niedowierzaniem. – Żartujesz sobie ze mnie.

– Nie.

– Przecież to głupie! Dlaczego Pawłow się kryje?

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą Porter. Uważnie spojrzął na Chandlera. Wydawało mu się, że mężczyzna się zmienił. Można było to wyczuć w jego głosie, ruchach, sposobie mówienia. Może pogodził się z tym, co nieuniknione. – Choć chyba nie nazwałbym tego kryciem się... – dodał, jakby nagle zreflektował się, że użył niewłaściwych słów.

– A jeśli nie może się z nikim kontaktować? Jest zamknięty w odkażonym pomieszczeniu i każda bakteria ze świata zewnętrznego może go zabić? – snuł przypuszczenia Michael.

– A może jest kaleką i woli się nikomu nie pokazywać. Siedzi przykuty do fotela, gdzieś w swoim centrum dowodzenia? Albo to samotnik bojący się ludzi?

– Może – odpowiedział obojętnie Dave.

– A może nawet Pawłow nie jest Pawłowem? – kontynuował domysły Chandler. – Istnieje przecież prawdopodobieństwo, że ktoś się pod niego podsztywa?

Porter spojrzął na niego zaskoczony. Zastanawiał się, czy współpasażer sobie z niego nie żartuje. Obejrzał się nawet w stronę Sandersa, jakby chciał zobaczyć, czy ten nie doszedł do podobnych wniosków. Maccloud patrzył jednak w okno. Nie poruszał się, choć musiał słyszeć każde słowo.

– Możemy się przesiąść? – Chandler przerwał raptownie swoje domysły. Jego uwagę przykuło coś zupełnie innego. Wybałuszył oczy i podniósł się ze swojego miejsca.

– Co się stało? – zapytał Dave.

– Widzę jakąś planetę przez iluminator obok ciebie. Chciałbym się przyjrzeć, mogę?

Zamienili się miejscami. Porter zrobił to mechanicznie. Był błądy. Chandler wydobył z jego pamięci kilka pytań, które pozostawały bez odpowiedzi. Zastanawiał się, dlaczego przez tyle lat sam ich nie zadał. Może bał się, że nie spodobają mu się odpowiedzi?

## ROZDZIAŁ 12

Kilka godzin później znaleźli się na orbicie planety Hydrant B. Ze swoich specjalnych foteli podnieśli się przysadziści, niebiescy osobnicy. Widać było, że mają dosyć nawet tej krótkiej podróży. Przez cały lot bez przerwy wychodzili do łazienki. Na zmianę, jeden po drugim. Teraz zwinnie, jak na swoje gabaryty, chwycili podręczne bagaże i truchtem skierowali się do wyjścia.

Chandler obserwował przez iluminator błękitną planetę. Wydawało mu się, że nie widział na niej nawet skrawka lądu. Prom w końcu wylądował na wystającym z oceanu kosmodromie. Z podbrzusza statku, na metalową powierzchnię, opuszczono włązy. Obcy wyskakiwali jeden za drugim. Zbliżali się do krawędzi lądowiska i z rozbiegu wskakiwali do wody. Zostawiali na powierzchni duże, pienne koła. Michael przez chwilę zastanawiał się, czy aby ich bagaże nie zamokną, ale w końcu nie był to jego problem.

Statek błyskawicznie ruszył w dalszą podróż. Chandler miał teraz dość czasu, żeby przyjrzeć się innym pasażerom. Przez kolejne dwie godziny nabrał jeszcze większego przekonania, że pozostali obcy przypominają mu ziemskie gryzonie. Mieli brązowe krótkie futerka, wytarte tylko na pyszczkach i łapkach. Michael, mimo że próbował, nie potrafił nazwać dłońmi małych paluszków ozdobionych ostrymi pazurkami. Większość z nich ubrana była w nienagannie skrojone garnitury, nieliczni w powłóczyście, śnieżnobiałe szaty. Chandler zastanawiał się, czy pod materiałem nie ukrywają długich, grubych ogonów. A gdy myślał o ich planecie, widział jedynie niezmierzone przestrzenie pełne koszy na śmieci i zgniłego pożywienia. Na takich właśnie kontemplacjach mijał mu lot.

W pewnym momencie spojrzenia Chandlera i jednego z podróżnych skrzyżowały się. Chandler mógłby przysiąc, że małe, czarne oczka patrzą na niego z wyrzutem. Osobnik ruszał pyszczkiem zupełnie tak, jakby mełł pod nosem dosadne przekleństwa. Marszczył czoło i unosił ruchliwy nos ku górze, celując nim prosto w Michaela.

– Prosimy przygotować się do lądowania – rozległ się nad głowami pasażerów słodki głos Christiny.

Statek wszedł na orbitę bez najmniejszych komplikacji. Tym razem nie lądowali bezpośrednio na planecie. Przybijali do doku portu kosmicznego krążącego wokół globu. Michael zauważył, że planeta wygląda niemal identycznie jak Ziemia. Ta sama wielkość, te same kolory lasów, pustyni, pól i metropolii. Jedynie kształty kontynentów różniły się zdecydowanie od tych, które pamiętał.

Spojrzał jeszcze raz na szczura, który właśnie pakował swoje rzeczy i szykował się wraz z innymi do wyjścia. Obcy na chwilę zamarł, jakby się nad czymś zastanawiał. Zatrzasnął z całej siły walizkę i odwrócił się do Chandlera.

– Szczur? – wysyczał. – Ty wyłysiały małpoludzie!

– He? – wybełkotał Chandler.

– Z was zawsze taka ciekawska, ordynarna rasa była!

Chandler zauważył, że na pyszczku osobnika pojawiły się białe kropelki śliny.

– Na pyszczku?! – ryknął szczur, zaciskając pięści! – Chłopie! Jaki ty masz bałagan w głowie! Ty się powinieneś leczyć!

Michael czuł, że pali się ze wstydu. Na szczęście nikt nie reagował na całe zajście. Czyżby szcz... , tu Chandler szukał odpowiedniego słowa, ... obcy, słyszał wszystkie jego myśli? Zrobiło mu się słabo, gdy przypomniał sobie senne marzenia o sobie i Christinie w kokpicie pilota.

– Pewnie, że tak! – Szczur zaśmiał się, łapiąc się pod boki. – Zboczeńcu jeden!

W Chandlerze zawrzało. Co prawda, miał już zamiar się tłumaczyć, przepraszać za swoje

zachowanie, ale nagle zdał sobie sprawę, kto tak naprawdę jest tu ciekawski. On przynajmniej nie wtrącał się do czyichś myśli!

Zareagował błyskawicznie. Wysiłił całą swoją wyobraźnię. W umyśle przywołał obraz ogromnego kawałka sera, naszpikowanego trucizną na szczury. Wstał, chwycił się pod boki i popatrzył ze złośliwym uśmieszkiem na współpasażera.

Osobnik nagle zbladł. Teraz Chandler przystąpił do ostatecznego ataku. Wyobraził sobie, że wielki kawałek nafaszerowanego sera połykany jest w całości przez zachłannego, owłosionego, obślinionego szczura. Obcy w odpowiedzi momentalnie zzieleniał. Zgiął się w pół, chwycił walizkę i popędził do wyjścia, bez jednego słowa pożegnania. Michael dopiero wtedy mu odpuścił. Rozsiadł się tryumfalnie w fotelu i zaczął przegryzać solone orzeszki.

– Co on od ciebie chciał? Gapił się i gapił. – Porter wyrwał go z przyjemnego letargu.

– Nie słyszałeś jak... – Michael zdał sobie sprawę, że nikt nie zarejestrował jego rozmowy z obcym. Uśmiechnął się. – Może chciał moją kanapkę z serem? Czyja wiem?

– Kanapkę? – Porter zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy Chandler sobie z niego kpi. – Zresztą nieważne. Wszyscy podróżni wysiedli. Teraz jesteśmy sami na tym statku, oczywiście nie licząc obsługi i pilotów.

– Jak to, nikt nie leci na Minera? – Michael autentycznie się zdziwił. Był pewny, że choć znikomy procent podróżnych zmierza tam gdzie oni.

– Lecimy tylko my trzej – powtórzył Dave. – OBP wynajął prom, by nas dowiózł na miejsce. Mamy przed sobą kilka godzin lotu. Radzę się przespać, jeśli jesteś w stanie.

Porter nie czekał na odpowiedź. Nacisnął jeden z przycisków w swoim fotelu. Mebel odsunął się od siedzenia Michaela, nadął się i rozłożył w wygodną sofę. Inne siedzenia w pomieszczeniu znikły błyskawicznie ukryły się w podłodze. Automatyczny koc okrył nogi Dave'a, a poduszka wsunęła się pod jego głowę. Już po chwili Porter chrapał w najlepsze.

Chandler spojrzął za siebie. Chciał sprawdzić, czy Sanders też śpi. Macloud wpatrywał się w niego nieruchomym, zimnym spojrzeniem. Ani jeden mięsień nie drgał na jego twarzy. Michael zdał sobie sprawę, że czuł ten wzrok przez całą podróż. Nie tylko tu w przedziale, ale także pod kopułą, w sali widokowej. Poczul suchość w gardle. Jako że nie miał nic lepszego do roboty, wyszukał odpowiedni przycisk w fotelu i poszedł w ślady Portera.

# CZEŚĆ 2

## ROZDZIAŁ 13

Chandlera obudziło mocne szarpnięcie za ramię.

– Musimy wychodzić! – Porter był już przygotowany do wyjścia. Trzymał w dłoni swoją lekarską walizeczkę.

Michael przetarł oczy i przeciągnął się. Zdał sobie sprawę, że spał nad wyraz spokojnym snem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio udało mu się przekimać bez przebudzenia bite siedem godzin. Wyrzwał przez iluminator, nie potrafił jednak dostrzec żadnego szczegółu za szybą. Być może na planecie panowała jeszcze noc.

– Zbieraj manatki, idziemy – Skąd ten pośpiech? – Michael wygramolił się z sofy i zaczął szukać butów. Zdjął je wcześniej, układając się do snu.

– Musicie się panowie pośpieszyć – powiedziała Christina, która pojawiła się przy nich. Była wyraźnie czymś poruszona. Mrużyła co chwilę nerwowo piękne, błękitne oczy. – Bagaże są już w terminalu. Pilot chce odlatywać.

– Właśnie wychodzimy – poinformował ją spokojnie Dave. Przytrzymał Michaela za ramię, gdy ten, zakładając buty, mało się nie przewrócił. Dopiero gdy Chandler uporał się ze sznurowadłami, ruszyli obaj w kierunku wyjścia.

Sanders czekał na nich przy śluzie. Zmierzył ich wzrokiem, upewniając się, czy wszystko jest w porządku, a potem pierwszy wyszedł przez właz. Chandler widział, jak obsługa błyskawicznie przygotowuje statek do odlotu. Czuć było w powietrzu napięcie, które udzieliło się także i jemu. Kolejne modele Christiny, mechanicy i stewardzi krzatali się w pośpiechu, przeradzającym się niemal w panikę. Michael stałby tak pewnie jeszcze długo, patrząc z otwartymi ustami na ten cały rozgardiasz, gdyby Porter w końcu nie przepchnął go przez właz, wskazując palcem dalszą drogę. Ruszyli wąskim korytarzem, podążając za widocznymi w oddali plecami Maclouda.

– Czego oni się boją? – zapytał Chandler. Nieznośne, pałace uczucie w żołądku powróciło. Patrzył przed siebie, korytarz zdawał się nie mieć końca.

– To niegościnna planeta. Promy rejsowe, takie jak ten, nigdy się tu nie zatrzymywały.

– Nie wiedziałem, że androidy mogą mieć uczucie lęku. Christina zdawała się przestraszona?

– To dosyć szczególny model. Mówiłem ci. – Dave uśmiechnął się. – Interesuje cię cybernetyka, czy może masz jakieś szczególne upodobanie w tym egzemplarzu.

– No wiesz? – obruszył się Michael. Zaśmiał się jednak cicho, był wdzięczny Porterowi, że ten potrafi rozładować napięcie. – Po prostu chciałbym wiedzieć, o co tutaj chodzi. Dlaczego uciekają stąd jak... szczury z tonącego statku?

– Zaraz zobaczysz – odpowiedział poważnie Porter.

Korytarz był zakończony kolejnym włazem. Sanders właśnie się z nim uporał. Przekroczył próg i wszedł w ciemność. Porter poklepał Michaela w plecy, zapewne dla dodania mu otuchy, i poszedł w ślady Maclouda. Po chwili wahania Chandler także do nich dołączył.

Właz zamknął się za nim automatycznie. Gorące powietrze uderzyło go w twarz. Nie wiedział, gdzie jest. Nie widział nic na wyciągnięcie ręki.

– Światło! – Usłyszał. Nie miał pewności, czy polecenie wydał Sanders, czy Porter.



Najważniejsze było to, że przyniosło skutek. Nad ich głowami rozbłysły silne reflektory Michael omiół wzrokiem pomieszczenie. Znaleźli się w małym przeszklonym terminalu. Przy okienku z napisem „odprawa celna” siedział robot. Jeden z tych typów, których nie produkowano już od kilkudziesięciu lat. Metalowa głowa z wyciosanymi bruzdami imitującymi rysy człowieka zwróciła się w ich stronę.

– Zapraszam panów. Czy mają panowie coś do oclenia? – zaskrzeczał urywany głos maszyny w ciężkim powietrzu.

Można było odnieść wrażenie, że celnik odezwał się po raz pierwszy od wielu lat. Chandler wyobraził sobie, że robot siedzący dzielnie na swoim posterunku cały oblepiony jest pajęczyną. Było to bardzo możliwe. Terminal wyglądał na nieużywany od dziesięcioleci.

– Nie mamy nic do oclenia. – Porter podszedł do okienka i oparł się o wystający blat.

– A te bagaże? Co zawierają? – Robot wyciągnął metalowe ramię w bliżej nieokreślonym kierunku.

Michael rozejrzał się. Rzeczywiście, pod ścianą dojrzał ustawione w nienagannym porządku walizki i skrzynie. Mógł przysiąc, że jedna z nich wydaje z siebie dziwne dźwięki, przechodzące momentami w irytujące, donośne buczenie. Coś mu to przypominało. Nie wiedział co, ale na pewno to wspomnienie nie należało do przyjemnych.

– Nic nie musimy dawać do oclenia. Proszę skontaktować się z głównym koordynatorem i powiadomić go o naszym przybyciu.

– Wiem – powiedział robot z nutką rezygnacji w głosie.

– Co wiesz? – zapytał zaskoczony Dave.

– Wiem, że nic nie musicie dawać do oclenia. Ale musiałem zapytać. Uprzedzili mnie o waszym przylocie. Tu nikt nigdy nie daje nic do oclenia. Od wielu lat nic nie ocliłem. Jaki sens ma moja praca? Skoro nikt nie przylatuje, nie można mieć pretensji o to, że nic się nie cli. Ale skoro ktoś pojawia się w terminalu, istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że ma coś do oclenia. Oczywiście to prawdopodobieństwo zależy od tego, kto przylatuje, jaka rasa i z jakiej planety. Na przykład wy tu, zgodnie z artykułem trzynastym kodeksu celnika i rachunkiem prawdopodobieństwa...

– Powiadom kogo trzeba o naszym przybyciu – przerwał Dave.

Robot zamilkł. Popatrzył na Portera z wyrzutem, a potem wystukał coś na klawiaturze osobistego komputera.

– Już wiedzą – powiedział.

– Przyślij też bagażowych – rozkazał Dave.

– Się robi. Będą czekać w mieście, teraz musicie sami zapakować swoje rzeczy na podnośniki – zazgrzytał celnik, jakby to była jego mała, niewinna zemsta. – Coś jeszcze? – dodał bardziej uprzejmie.

– Nie, dziękuję – odpowiedział Porter.

– A pan nie ma nic do oclenia? – Robot przeniósł swoje zainteresowanie na Michaela.

– Ja?

– Halo, przecież patrzę na pana! – Celnik pokręcił niecierpliwie głową.

Chandler poczuł się dziwnie. Zaskoczony, z ociąganiem zaczął przeszukiwać ubranie. W końcu przyszło mu coś do głowy. Uśmiechnął się i wyciągnął z kieszeni piersiówkę z whisky, którą zabrał ze statku.

– Och! – Dreszcz rozkoszy przeszył metalowy kadłub robota, gdy przejmował od Michaela buteleczkę. – Dziesięć winilskich centów – powiedział.

– Nie mam. – Chandler wzruszył ramionami.

– To nic, dla pana gratis! – Maszyna zaskrzypiała, odchylając głowę do tyłu. – Wystarczy mi

sama przyjemność.

Za ich plecami coś metalicznie zgrzytnęło. Michael odwrócił się do źródła dźwięku. Oślepiło go ostre czerwone światło.

Wdarło się do pomieszczenia przez brudne szyby. Do tej pory zasłonięte były grubymi tytanowymi płytami. Ktoś najwyraźniej postanowił unieść je, wpuszczając dzienne światło. Promienie zachodzącego słońca rozdarły na pół niebo, rozjaśniając powierzchnię planety. Chandler oniemiały zbliżył się do szyby, patrząc na feerię barw i cienie przesuwające się po brunatnych szczytach. Jak okiem sięgnąć, hen po linię krwistoczerwonego horyzontu piętrzyły się nagie skały, rozpadliny o ostrych klifach wyżłobionych przez wiatr lub wodę. Ostre iglice wbijały się wprost w rdzawe niebo. Straszły surowością i martwością. Wyglądały jak przetopione żelastwo, złom powykęcany w śmiertelnym uścisku pod wpływem niewyobrażalnej temperatury.

– Masz szczęście. Czerwony Karzeł jeszcze nie zaszedł. – Porter stanął obok.

– Ty to nazywasz szczęściem? – Michael wypuścił z płuc powietrze. Przez cały ten czas nieświadomie wstrzymywał oddech. – Lepiej byłoby, gdybym tego nie widział.

– Miner nazywany jest często Planetą Krwi. – Dave uśmiechnął się. Zdawał się nie słyszeć sarkazmu w głosie Michaela. – Ten kolor planeta zawdzięcza nisko wędrującemu słońcu. Jest stare, bardzo stare. Jego koniec jest bliski, zgaśnie, zapadnie się, a potem bezpowrotnie zniszczy tę część galaktyki.

Chandler przełknął ślinę. Planeta Krwi. Bardzo romantyczna nazwa, pomyślał, zwłaszcza w obliczu faktu, że najprawdopodobniej zakończę tu swój żywot. Uważnie przyjrzał się wyłaniającym się z cienia obrazom. Wydawało się, że cała planeta składa się z mniejszych lub większych łańcuchów gór. Szczyty mieszały się ze sobą, przechodziły na północ, zachód lub południe zupełnie nieskładnie, tak jakby natura nie miała wobec nich żadnego planu. Góry i rozpadliny tworzyły na tej planecie wielki chaos, potęgujący ponure wrażenie pustki i całkowitego bezludzia.

– Czy jest tu w stanie cokolwiek przeżyć? – Michael oparł czoło o szybę, nie mógł oderwać wzroku od wymarłej, spękanej walką żywiołów planety – W tych warunkach mogą przetrwać tylko proste organizmy. Dla nas atmosfera planety jest zabójcza. Pewnie nigdy byśmy tu nie lądowali, gdyby nie bogate złoża metali i gazów.

Michael mógł się z tym zgodzić w stu procentach. Ten kto lądował na tej planecie z pierwszą ekspedycją, musiał być szaleńcem. Cała powierzchnia globu naszpikowana była ostrymi iglicami, czekającymi na nieostrożne statki. Wystarczył drobny błąd, by nadzieć się na któryś ze szpikulców i zakończyć dobrze zapowiadającą się wyprawę. Jednak komuś się to udało. Założono tu kolonię, a terminal, w którym teraz się znajdowali, wybudowano na świątym wierzchołku jednego ze szczytów. Wybrano w sumie najprostsze wyjście z możliwych.

– Co to jest, tam w dole? – Michael wskazał znikający w przesuwającym się szybko cieniu ogromny obiekt. Połączony był z ich terminalem cieniutką nitką, wijącą się niczym wąż wzdłuż strome go stoku.

– Górnicze miasto. Tam zmierzamy. Kolejka zwiezie nas na dół. – Porter czuł się w roli przewodnika jak ryba w wodzie, mimo że tak jak Chandler na Minerze był po raz pierwszy.

Michael jeszcze raz spojrzął na miasto. Gigantyczna kopuła lśniła purpurą w świetle zachodzącego słońca. Wyglądała jak ogromna, pomarszczona pomarańcza. Chandler nawet nie potrafił sobie wyobrazić, jak wielką przestrzeń musi w sobie mieścić osiedle. Tysiące kwater mieszkalnych dla górników i ich rodzin, sklepów, kawiarni, kin i centrów rozrywki. Mniej więcej tak musiało wyglądać tutaj życie. Samowystarczalne miasteczko powinno było dostarczyć rozrywki mieszkańcom i przynajmniej w jakiś sposób sprawić, by zapomnieli na jak niegościnniej planecie żyją.

– Widzisz te trzy konstrukcje? – Dave kontynuował wykład. Wskazał palcem na obiekty przypominające odwrócone do góry dnem kieliszki do wina. – Tam, tam i tam. To są szyby górnicze. Chodniki pod powierzchnią rozchodzą się na południe, wschód i zachód. Wydobyty surowiec wyciągany jest na powierzchnię, ładowany do transporterów i w końcu windowany tutaj. Potem następuje przeładunek na statki towarowe i one zabierają wszystko na Ziemię.

– Imponujące – szepnął Chandler. Wszystko, co widział, było dla niego zupełnie nowe. Zatechłe powietrze wytwarzane przez wiekowe generatory przyprawiało go o zawrót głowy. Wydawało mu się, że niemal czuje zapach obcej planety – Ląduje kolejny statek! – Milczący dotąd Sanders odsunął ich od szyby.

Porter i Chandler unieśli głowy. Smuga ognia przesuwiała się na linii dnia i nocy. Zbliżała się w ich kierunku z zawrotną prędkością. Kształt statku, w drgającej atmosferze planety, stawał się coraz bardziej wyraźny. Zbliżał się szybko i majestatycznie prowadzony wprawną ręką pilota. Wreszcie obiekt zwolnił, przybrał odpowiednią pozycję i rozpoczął procedurę lądowania.

– Poczekamy na załogę. Muszę wiedzieć, kto za nami przyleciał. – Maccloud w jednej chwili stał się podejrzliwy. Jego obwody, pod wpływem odpowiedniego bodźca, zaczęły pracować ze zdwojoną uwagą.

Wolnym krokiem przeszedł na środek terminalu. Rozejrzał się, analizując położenie wszystkich wejść i okien. W końcu stanął na szeroko rozstawionych nogach i wbił wzrok w drzwi, przez które wcześniej sami przeszli. Michael i Dave odruchowo ruszyli w stronę bezpieczniejszego miejsca. Usiedli w poczekalni tak, by w razie czego mieć blisko do wyjścia ewakuacyjnego, a jednocześnie widzieć wszystko jak na dłoni.

Długo nic się nie działo. W terminalu panowała niemal kompletna cisza. Chandler słyszał jedynie bicie swojego serca i w tej chwili był niemal pewny, że słyszy je każdy w promieniu kilku kilometrów. Dopiero po kilkunastu niezmiernie długich minutach robot celnik jakby się ożywił. Zaczął przekładać na swoim biurku wszystkie papiery i teczki. Wyciągnął też świeże formularze i skrupulatnie ustawił je przed sobą. Zdążył nawet zatemperować ołówek, nim śluz się otworzyła i stanęła przed nimi postać w srebrnym kombinezonie.

– Cześć, Rob! – Przybysz wkroczył do terminalu, zwracając się bezpośrednio do celnika. Lustrzany hełm wprawnie został zdjęty z głowy. Długie blond włosy delikatną falą opadły na ramiona. – Widzę, że masz gości? – Christina uśmiechnęła się tym niebiańskim uśmiechem, który sprawiał, że nogi Chandlera topniały jak wosk.

Sanders rozluźnił się momentalnie. Jak gdyby nigdy nic uklonił się przybyłej i skierował w stronę bagaży. Przenosił je jeden po drugim, w stronę podnośnika.

– Strasznie dużo ich zrobili? – mruknął w końcu Michael, gdy minęło pierwsze zaskoczenie. – Myślałem, że ten model może być tylko stewardesą?

– Nie, nie tylko. Jak widzisz, niektóre z nich są pilotami. – Dave uśmiechnął się szeroko. – Lepiej chodźmy się przywitać. Może dowiemy się od niej czegoś ciekawego?

Mężczyźni niespiesznie wyszli ze swojej kryjówki. Skierowali się wprost w stronę przybysza.

– Witam panów. – Kobieta zdjęła ochronną rękawicę i wyciągnęła dłoń w ich stronę. – Christina.

Pierwszy odwzajemnił mocny uścisk Porter. Potem zrobił to Chandler. Przedstawili się równie zdawkowo.

– Pierwszy raz tutaj? – zadała pytanie Christina, nie przestając się uśmiechać. Uważnie przypatrywała się nieznanemu.

– Pierwszy – potwierdził Dave. – Pani chyba bywa tu dosyć często?

Michael przysłuchiwał się rozmowie, starając się nie spuszczać wzroku z dziewczyny. Po

prostu doskonała, pomyślał, udała im się znakomicie. Te plamy oleju na dłoniach, złamany paznokieć, mała blizna nad lewą brwią. Niedoskonałości świadczyły o perfekcji! Była jeszcze bardziej ludzka niż stewardesy, które poznał na promie!

– Ostatnio rzadziej. – Christina wyjęła z kieszeni kombinezonu jakieś dokumenty. Podała je celnikowi, mrugając do niego porozumiewawczo. – Jestem zaopatrzeniowcem. Dowożę tu od kilku lat części zamienne, pożywienie i wszystko, co jest potrzebne górnikom. Ale odkąd zaczęli opuszczać planetę, pracy mam coraz mniej.

– Wszystko się zgadza, Chris. – Robot oddał papiery pilotowi. Zmienił barwę głosu na przypominającą tę z filmów o nieśmiertelnym Jamesie Bondzie. – Jak zwykle!

– Dziękuję, kochanie! – Kobieta posłała celnikowi całusa, dotykając dłonią ust. Schowała papiery i popatrzyła jeszcze raz uważnie na obu mężczyzn. Tym razem dłużej przyjrzała się Michaelowi, być może dlatego, że do tej pory nie był zbyt rozmowny.

– To co, chłopaki? Będziemy tu sterczeć jak marsjańskie turbiny czy zjeżdżamy do miasta?

– Do miasta? – Porter się zaśmiał. – W porządku, dziewczyno, jedziemy do miasta!

Wszyscy zapakowali się do elektrycznej kolejki. Chandler zajął miejsce przy oknie i milczał dalej. Od początku unikał wzroku Christiny, która patrzyła na niego z coraz większym zainteresowaniem. Zastanawiał się, co powiedzieć, chciał z nią porozmawiać, ale nic nie przychodziło mu do głowy. W końcu poddał się zrezygnowany. Wyjrzał przez okno i zapatrzył w pustynny krajobraz. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zmierza w stronę swego przeznaczenia. Na odwrót było już za późno. Puste wagoniki mknęły szybko w stronę miasta, tak samo mknęły myśli w jego głowie...

## ROZDZIAŁ 14

– Witamy bardziej niż serdecznie. – Przemieszczający się na dwóch potężnych gašienicach robot, powitał ich na peronie. – Jestem waszym przewodnikiem. Bagażowi przeniosą wszystkie pakunki do państwa pokojów. Najpierw musimy jednak dojechać na miejsce.

– Wolałbym sam zaopiekować się swoim sprzętem. – Porter nerwowo spojrział na roboty przenoszące torby i skrzynie.

– Zapewniam doktorze, że cały sprzęt zostanie przeniesiony z największą ostrożnością i umieszczony w specjalnie przygotowanym laboratorium przylegającym do pana kwatery. Pana bagaże także, panie Chandler.

– Moje bagaże? – Michael dopiero teraz przypomniał sobie, że nie zdążył zabrać z sobą żadnych rzeczy. – Ja ich nie mam.

– Pawłow już o to zadbał. – Dave nie spuszczał z oczu transportowanych przez roboty pakunków. – Przewieźliśmy dla ciebie wszystkie potrzebne ubrania i przybory. Jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebował, to kupimy to na miejscu.

– Jak to, Pawłow zadbał? – Michael skrzywił się. – Nie chcę marudzić, ale może być problem. Mógł nie dopasować rozmiarów...

– Tym bym się nie przejmował – szepnął kpiąco za ich plecami Sanders. – W kostnicy na pewno zdążyli zdjąć z ciebie wszystkie wymiary!

Chandler zbladł. Christina przysłuchiwała się rozmowie ze zdziwieniem, ale przezornie nie zadawała pytań.

– Dowcip ci się wyostrzył. – Michael spojrział prosto w oczy Maclouda. – Może nie jesteś takim sztywniakiem, na jakiego wyglądasz?

Sanders wpił w niego nieruchome spojrzenie. Chandler miał wrażenie, że ostre szpilki wciskają mu się do mózgu. Stłumiony chichot Christiny dodał mu na szczęście odwagi.

– Czy możemy ruszać? – spytał robot, przerywając niezręczną sytuację. – Kanclerz, wraz ze swoją przyboczną radą, oczekuje państwa w sali honorowej.

– Możemy – odpowiedział krótko Porter.

Robot przywołał transport. Obok nich zatrzymał się długi biały wóz. Kabriolet z odsłoniętym dachem, luksusowy. Skórzane fotele rozłożyły się jak na zawołanie, gdy pasażerowie jeden po drugim wpakowali się do wnętrza.

– Naszym szoferem będzie John. – Robot na gašienicach także wtoczył się do pojazdu. – Ukłoń się państwu, John. – Długa szyja, ze skórzanym balonem imitującym głowę robota, odwróciła się w ich stronę. Szarmanckie zgięcie szyi miało zapewne oznaczać przywitanie.

– John zabierze nas do kanclerza, a przy okazji pokaże wam nasze piękne miasto – kontynuował robot. – Ruszamy!

Pojazd szarpnął gwałtownie, kierowca pociągnął w swoją stronę drążek kierowniczy i podróżni zjechali z peronu. Kierowali się w stronę masywnej bramy. Podwoje uchylały się bardzo wolno. Przez chwilę Chandler był niemal pewny, że jeśli John nie zwolni, ich samochód wbije się w jedno z stalowych skrzydeł. Kierowca na szczęście znalazł się na swojej robocie. W ostatniej chwili wprowadził samochód w poślizg i zmieścił się w wąskim przesmyku prowadzącym ze stacji do miasta.

Mknęli pustą ulicą wzdłuż jednakowych budynków. Mijali sklepy hotele, kina i teatry, w których nie było żywego ducha. Kwatery mieszkalne pięły się wysoko w górę. Niemal dotykały szklanej kopuły, zawieszanej niebotycznie wysoko. Mimo że miasto oświetlało kilkaset specjalnych reflektorów, tu także każdą powierzchnię oblewały krwiste promienie słońca.

Michael obserwował mijane budynki z zaciekawieniem. Jakby oglądał jakiś film w National Geographic o zaginionej przed tysiącami lat cywilizacji. Przeraziła go jedynie ta pustka, miał wrażenie, że znalazł się w mieście duchów. Kilka kawałków papieru i plastikowa torba uniosły się w podmuchu wywołanym przez pęd samochodu. Był to jedyny ruch, jaki można było tutaj zaobserwować.

Pasażerowie siedzieli w zupełnym milczeniu. Każdy zatopiony był w swych własnych myślach. Nikt nie miał ochoty rozmawiać, wymieniać uwag czy o cokolwiek zapytać. Zmierzali idealnie prostą drogą, w stronę środka kopuły. Michael widział doskonale budynek wznoszący się w centralnym punkcie miasta. Był zupełnie inny niż pozostałe. Gigantyczny kształt piramidy górował nad całym otoczeniem. W pierwszej chwili przypominała tę egipską, brakowało jedynie piasku i kilku wielbłądów, by spotęgować to nieuniknione wrażenie. Z bliska jednak dostrzegano się wyraźniejszą różnicę. Najprawdopodobniej do wzniesienia tutejszej piramidy użyto miejscowego surowca. Dziwne właściwości materiału sprawiały, że budowla niemal oślepiła, żarząc się czerwonym blaskiem.

– Cel naszej podróży – potwierdził te przypuszczenia robot, wskazując powiększającą się z każdą sekundą budowlę. – Czekają na państwa na samym szczycie.

– Spotkanie na szczycie... – Christina parsknęła śmiechem. Zabrzmiał dziwnie w niemal kompletnej ciszy miasta, zwłaszcza że pojazd poruszał się bezszelestnie po asfaltowej nawierzchni.

– Rozmawiałaś już wcześniej z kanclerzem? – zapytał Porter. Śmiech współpasażerki wpłynął na niego ożywczo.

– Widziałam go zaledwie kilka razy – odpowiedziała poważnie.

– Tak? – Rozmową zainteresował się także Michael.

– No, tak. Gordon Federlicht raczej unika bezpośrednich kontaktów. Wszystkie sprawy załatwia przez swoich zaufanych urzędników. Z nimi podpisuję kontrakty i od nich dostaję zlecenia. Mnie to wystarcza. Ważne, żeby płacili na czas.

– Zdrowe podejście – mruknął Sanders. Siedział obok kierowcy. Obserwował okna mijanych domów, jakby spodziewał się znaleźć w nich jakiegoś ukrytego zamachowca.

– Federlicht jest nieugiętym partnerem w interesach. Mnie jednak jeszcze nie oszukał. – Christina puściła mimo uszu uwagę Maclouda.

– Ostatnio ma chyba jednak dużo problemów? – zauważył Chandler.

– Tak – potwierdziła dziewczyna, uśmiechając się do niego.

– Problemy zaczęły się kilka miesięcy temu.

– W gazetach zbyt wiele o tym nie piszą. Skoro kanclerz płaci na czas, to dlaczego górnicy uciekają stąd jak szczury z tonącego okrętu? – Michael zdziwił się swoją dociekliwością. Tym razem pytania przychodziły mu na myśl zupełnie naturalnie. Najprawdopodobniej sprawiała to obecność dziewczyny, wystarczyła chwila, żeby się przy niej rozluźnił.

– Hmm... – zastanowiła się Christina. – W sumie sama do końca tego nie wiem. Ostatnim razem zabrałam stąd na swoim statku kilkusetosobową grupkę. Mówili, że ta planeta za bardzo zmienia ludzi. Jeden z nich określił to dosyć obrazowo. Powiedział, że Miner wysysa z niego krew... kropla po kropli.

– Po co powtarza pani takie bajki? – zabrzmiał złowieszczo metaliczny głos robota przewodnika. Zmierzył zimnym wzrokiem Christinę, a potem zwrócił się do Michaela. – To chwilowa dekonjunktura, panie Chandler. Produkcja, ze względu na zawirowania giełdowe jest nieopłacalna. Wydobywanie pozostawiono na poziomie minimalnym. Wystarczają w tej chwili wyspecjalizowane roboty i znaczna grupa wykwalifikowanego personelu, który pozostał na planecie. Według wszelkich prognoz już w przyszłym roku wszystko wróci do normy.

- Czyli zwolnienia? – mruknął Michael.
- Zwolnienia? Raczej planowana redukcja personelu – udzielił rzeczowej odpowiedzi robot.
- Ilu ludzi zostało na Minerze? – zaciekawił się Porter.
- Nie jestem upoważniony do udzielenia tej informacji – zawahał się robot – będzie pan mógł zapewne zapytać o to kanclerza.
- Same tajemnice – westchnął Chandler. Powrócił do swoich niewesołych myśli.
- A was, co tak naprawdę was tu sprowadza? – Christina zadała pytanie, które męczyło ją widać od dłuższego czasu.
- Ciekawość. Po prostu ciekawość – odparł Porter, urywając temat.
- Aha – powiedziała z obruszeniem dziewczyna. – Pewnie nie jest pan upoważniony do udzielenia tej informacji...

Michael parsknął śmiechem. Na szczęście pojazd się zatrzymał. Robot pierwszy wytoczył się na chodnik. Po chwili dołączyli do niego pozostali pasażerowie. Chandler uniósł głowę, próbując ogarnąć wzrokiem całość budowli. Piramida była gigantyczna. Teraz wyraźnie było widać, czym różni się od tej z Egiptu. Tutaj do budowy wykorzystano mieszankę szkła, stali i kamienia. Mimo rozmachu budowniczych i ogromnych rozmiarów, konstrukcja sprawiała wrażenie bardzo lekkiej. Widać było dbałość o każdy detal, każde załamanie, róg, kolumnę. Zapewne to miejsce miało być wizytówką miasta. Jeśli tak, to w stu procentach spełniało swoje zadanie.

– To nasza duma i chluba! – Robot ruchem ręki ogarnął budowlę od podstawy do wierzchołka. – Budowa trwała pięć lat i kosztowała czterdzieści miliardów kredytów.

– Tak, robi wrażenie. – Chandler jeszcze raz spojrzął na piramidę. Zachwycąca, ale i przerażająca go jednocześnie. Być może to niemiłe wrażenie potęgowała mieniąca się czerwienią elewacja. Chandler mógłby niemal przysiąc, że cały budynek ocieka krwią. Wyglądało to tak, jakby gorąca posoka wylewała się przez okna i balkony, spływając na chodnik i zalewając całe miasto.

– Na co czekamy? – zapytał w końcu Porter. – Chyba możemy ruszać dalej?

– Ależ oczywiście... – Robot wydawał się zbity stropu. Wyglądało na to, że w jego mniemaniu ta chwila kontemplacji nad cudem architektury była zbyt krótka. – Proszę za mną.

– Dziwak – szepnęła Christina, przechodząc obok Chandlera. – Normalnie, robot dziwak.

– Chyba nie jedyny tutaj. – Ruszył za nią, próbując podtrzymać rozmowę. – Ten celnik nie był przecież lepszy.

– Kto? Rob? – Dziewczyna zmarszczyła brwi. – Rob nie jest dziwakiem! Może ty nim jesteś, ale na pewno nie Rob! – warknęła z wyrzutem.

Na to Chandler nie miał odpowiedzi. Zatkaną go. Zwolnił, przepuszczając Christinę pierwszą przez rozsuwane, szklane drzwi. Potem z wahaniem wkroczył za nią do jasno oświetlonego pomieszczenia. Pokręcił głową z niedowierzaniem i głośno westchnął. Potwierdziły się obawy, które miał przez całe życie. Nigdy nie zrozumie kobiet.

Przepych zaskoczył nie tylko jego, lecz także Portera. Znaleźli się w obszernym holu, który stylem i świetnością dorównywał najokazalszym hotelom, jakie Michael miał okazję widzieć w programach pantelewizyjnych. Czerwone dywany prowadziły pomiędzy złożonymi kolumnami w stronę wind. Z fontann umieszczonych w zakątkach egzotycznej zieleni tryskała błękitna, czysta woda. Gzymsy i zdobienia ścian były wykonane tak, by nadać pomieszczeniu delikatny styl. Udało się to znakomicie. Hol sprawiał wrażenie idealnego. Wykończonego ze znajomością rzeczy i troską o najdrobniejsze szczegóły. Jedyne, co kłóciło się z charakterem tego miejsca, to fakt, który uderzył ich także podczas podróży ulicami miasta. Zupełna pustka, brak żywego ducha.

– Za mną, za mną – zaskrzeczał robot, sunąc sprawnie po czerwonym chodniku. Gaśienice,

na których się poruszał, nie zostawiały po sobie nawet najmniejszego śladu.

– Czy ktoś tu w ogóle mieszka albo pracuje? – zapytał Porter. Rozglądał się wokół, szukając jakiejś żywej istoty.

– Tak! Kanclerz i jego doradcy! Pracują i żyją w tym budynku. To także będzie państwa dom na czas pobytu. – Robot uznał, że taka odpowiedź będzie wystarczająca.

– A reszta? – zainteresował się Chandler.

– Jaka reszta? – zawahał się robot.

– No, chyba ktoś jeszcze na tej planecie został.

– Ależ tak, są górniczy, ale oni pracują.

– Aha! – Christina uśmiechnęła się. Najwyraźniej uznała, że złapała robota na haczyk. – Czyli jeszcze jacyś ludzie są! – Każdy rozumiał, że ta informacja była dla niej ważna. Jeśli na planecie wciąż przebywali górniczy, jej praca miała dalszy sens.

– Nie mówiłem, że nie... – zawahał się robot.

– Żyją też w tym budynku? – zapytał Chandler.

– Nie i kropka! – Przewodnik uznał rozmowę za zakończoną. Wszedł pierwszy do windy. Gdy wszyscy podążyli w jego ślady, w absolutnej ciszy, ignorując kolejne pytania, wcisnął na panelu numer piętra – 666.

Chandlerowi przez ułamek sekundy wydawało się, że jego żołądek zostanie na podłodze, gdy winda z niewyobrażalną siłą ruszyła wprost w kierunku nieba. Musiał przełknąć ślinę, by wyrównać ciśnienie w uszach. Niewiele to pomogło. Rozejrzał się po twarzach towarzyszy podróży. Porter stał pogrążony we własnych myślach, Sanders jak zwykle był czujny i małomówny. Christina tymczasem robiła dokładnie to samo, co on. Obserwowała z uwagą każdego pasażera windy, a teraz patrzyła prosto w oczy Michaela.

Chandler wytrzymał jej spojrzenie tylko przez kilka sekund. Zastanawiał się, skąd wziął się ten zbieg okoliczności, że pojawiła się w kosmoporcie zaraz po ich przyjeździe. Sam nie wiedział, dlaczego nagle narodziło się w nim tyle podejrzeń. Być może popadał w paranoję, ale w końcu trudno było mu się dziwić, niejedyn normalny człowiek będący w jego sytuacji mógłby obawiać się o zdrowie psychiczne. Choć z drugiej strony... może rzeczywiście nie powinno się tu mówić o przypadku? Michael zmrużył oczy i spojrzał jeszcze raz, nieco bardziej podejrzliwie na dziewczynę. Szczerze mówiąc, ostatnio przestał wierzyć w przypadki.

Winda zatrzymała się, brutalnie przerywając snutą przez Chandlera teorię spiskową. Drzwi rozsunęły się, wpuszczając do wnętrza szkarłatne promienie słońca. Michael zmrużył oczy. Tego się nie spodziewał. Najprawdopodobniej znaleźli się na samym szczycie piramidy.

Robot pierwszy ruszył w stronę światła. Pasażerowie z ociąganiem poszli w jego ślady. Rzeczywiście, Chandler się nie mylił. Znaleźli się w pomieszczeniu usytuowanym na samym wierzchołku piramidy. Całkowicie przeszklona kopuła rozpraszała światło, łagodnie kładące się na murkach, alabastrowych kolumnach i wybrukowanej kolorowymi kamieniami ścieżce. To miejsce robiło wrażenie. Gdyby Michael nie widział wcześniej, że wchodzi do budynku, dałby głowę, że są na jakiejś polanie w miejskim parku, albo w ogrodzie botanicznym.

Zeszli z łagodnego wzniesienia w dół. Kamień i marmur zostały zastąpione przez karłowate drzewka, a kwitnące pnącza i krzewy otoczyły szczelnie malowniczą ścieżkę. Z kielichów kwiatów spływała rosa, osiadając na butach i ubraniach. Drobne liście drżały, trącane lekko przez sztuczny wiatr, wypuszczany z niewidzialnych dmuchaw. Chandler kichnął głośno, świeże powietrze najwyraźniej podrażniło jego nozdrza, przyprawiając go o zawrót głowy.

Wreszcie dostrzegli cel podróży. Kamienny krąg porośnięty był niebieskim i różowym mchem. Zostali poprowadzeni pomiędzy kolumnami wprost na plac, gdzie na skórzanych sofach siedziały wysokie, ubrane w białe i beżowe szaty postaci. Wszystkie patrzyły w ich stronę. W



pierwszej chwili można było odnieść wrażenie, że to kukły. Nieruchome, niby wykute w kamieniu posągi. Twarze mężczyzn były bez wyrazu, bez cienia najmniejszych emocji. Jedyne nieruchome oczy wydawały się przesywać niemal do szpiku kości. Chandler pod wpływem tego spojrzenia zdrzął. Nie wiedział dlaczego, ale nagle zrobiło mu się bardzo zimno.

Idący na przedzie Porter zwolnił. Przelotnie spojrzął na Sandersa. Macloud niemal niezauważalnie skinął głową i dopiero wtedy wszyscy ruszyli w stronę kręgu. Postaci widać na to czekały, uniosły się ze swoich siedzeń. Chudzi, wysocy osobnicy uśmiechnęli się do przybyszów jak na komendę. W jednej chwili niewytłumaczalne obawy Chandlera przysły. Przyjął uścisk dłoni pierwszego z nich. Odwzajemnił uprzejmy ukłon i wymienił zdawkowe pozdrowienie. Teraz wcześniejsze uczucia zastąpiła ciekawość. Michael zastanawiał się, kim jest kanclerz. Interesowało go, jak wygląda człowiek, który zbudował imperium na pustynnej planecie, na rubieżach znanego świata.

– Witamy w naszym domu! – Mocny, głęboki głos przeszył powietrze. Postać w ciemnej szacie wyrosła nagle pomiędzy nimi, jakby spod ziemi. – Wierzę, że podróż upłynęła wam spokojnie! Jest mi niezmiernie miło gościć tak znamienitych podróżnych, ze starego świata!

– Kanclerzu. – Porter ukłonił się bardzo nisko. – Niech mi przypadnie ten zaszczyt podziękować za tak znakomite powitanie oraz pomoc i opiekę, której ekscelencja postanowił nam udzielić.

Chandler obserwował tę scenę z zapartym tchem, jakby rozgrywała się na filmowym ekranie, a nie tuż przed jego nosem.

– Drogi doktorze Porter. – Kanclerz uśmiechał się łagodnie. Wyciągnął w stronę Dave'a dłonie, pozostające dotąd w ukryciu długich rękawów szaty. – Sława pana wyprzedza. Nie mógłbym nie przywitać osobiście takiej znakomitości świata nauki. Zawsze chciałem pana poznać.

– Jest pan niezmiernie łaskaw, kanclerzu! – Porter przyjął wyciągniętą dłoń i uściśnął ją, wciąż pozostając w delikatnym, pełnym szacunku ukłonie. – Proszę pozwolić mi przedstawić sobie moich towarzyszy podróży.

– Ależ nie jest to konieczne! – Kanclerz powstrzymał go ruchem dłoni. Uchwycił i podciągnął dolną część togi, by ta nie przeszkadzała mu w poruszaniu się. Potem podszedł do pozostałych przybyszy. – Sanders Macloud? Nie mylę się?

Macloud przyjął obojętnie fakt, że kanclerz wiedział, kim jest. Minimalny ruch głowy, na jaki się zdobył, miał zapewne oznaczać ukłon.

– Christina Paterson. Miło mi wreszcie spotkać panią osobiście. Zrobiła pani wiele dla naszej planety. Zasługi nigdy nie będą zapomniane. – Kanclerz zlustrował dziewczynę od góry do dołu. Jak na gust Michaela zbyt długo zatrzymał swój wzrok na jej talii i piersiach. – To zaszczyt gościć tak piękną kobietę w naszym domu.

Christina dygnęła lekko. Chandler mógłby przysiąc, że się zaczerwieniła. Musiał przyznać, że androidy konstruowano teraz z dbałością o najmniejsze szczegóły. Ich reakcje wydawały się stuprocentowo ludzkie.

– I pan, Michael Chandler? – Michael poczuł na sobie zimny, przesywający na wskroś, wzrok kanclerza. Zajrzał w jego przezroczyste oczy. Wydawało mu się, że widzi w nich niesamowitą pustkę. Przez myśl przeszło mu porównanie jej do pustki tej wyjałowionej planety. – Podobno jest pan specjalistą w swojej branży?

– W mojej branży? – odpowiedział głuchym echem Michael.

– Profesor Pawłow nie mógł się pana nachwalić. – Kanclerz wyciągnął w jego stronę wysuszoną dłoń. Chandler przez chwilę bał się, że skruszy się pod jego uściskiem, jak stary pergamin.

– To pan odszuka machineę?

Michael niepewnie spojrział na Portera. Wiedział, co ma odpowiedzieć, ustalili to jeszcze na Ziemi. Nie spodziewał się jednak pytań tak wcześniej. Kanclerz nie zwykł tracić czasu.

– Tak, ja – odpowiedział. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie silić się na ten wielce oficjalny ton, którym najwyraźniej doskonale posługiwał się Porter. – Jeśli ja jej nie odnajdę, to ona na pewno odnajdzie mnie...

Kanclerz uniósł lekko brwi i uśmiechnął się.

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli?

– Kanclerzu, jestem pewien, że będzie pan mógł się o tym przekonać w przeciągu kilku następnych dni. – Chandler uśmiechnął się także. Zdziwił się, że w takiej chwili stać go na sarkazm. Przypomniał sobie widok, który spędzał mu sen z powiek. Ciało przykryte płótnem operacyjnym. Zimne pomieszczenie kostnicy i blade świetlówki laboratorium. Był pewien tego, co mówił. W końcu, w jakiś niepojęty sposób związany był z tą maszyną na śmierć i życie. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby teraz to wykrzyczeć. Nawet temu napuszonemu kanclerzowi. W końcu, co miał do stracenia?

– Kilka dni? Tak szybko? – Kanclerz nie spuszczał wzroku z Michaela. Obserwował go z coraz większym zainteresowaniem. – To niewiarygodne. Muszę panu pogratulować. Zaiste, odpowiedni człowiek, na odpowiednim miejscu!

– Dziękuję, ekscelencjo. – Chandler pochylił lekko głowę i pozostał w tej pozycji przez kilka sekund.

– Gdzież moja gościnność! – Kanclerz otrząsnął się, jakby nagle przebudził się z głębokiego snu. Klasnął w dłonie i obrócił się na pięcie. – Zapewne nasi goście są głodni i spragnieni po tak długiej podróży. Ja byłbym na pewno. Zapraszam do stołu! Czujcie się jak u siebie w domu!

Osobnicy w powłóczystych szatach okręcili się w miejscu. Szelest materiału rozniósł się w powietrzu. Gwałtowny ruch pobudził pomieszczenie do życia. Iluminatory zmieniły kolory z krwistego na bladoróżowy. Światło słońca przygasło. Najprawdopodobniej kopuła automatycznie zredukowała dostęp promieni. Mchy jakby czekając na ten moment, zaczęły fosforyzować własnym blaskiem.

Gości poprowadzono w stronę kamiennej niecki, w dół, po marmurowych, wilgotnych schodach. Czekał tam na nich ogromny, suto zastawiony stół. Świece umieszczone na żeliwnych stelażach rzucały niespokojne cienie na skalne bloki.

Kanclerz zajął miejsce pierwszy, u szczytu stołu. Jego siedzisko różniło się od innych. Wysokie, masywne, wyglądało tak okazale, że przypominało niemal królewski tron. Chandler widział podobne jedynie w muzeach i w podręcznikach historii. Teraz, być może pod wpływem atmosfery tego miejsca, jego wyobraźnia zaczęła pracować. Mógłby przysiąc, że obicia zdobione były szlachetnym kamieniami, a wzory wyszyte zostały złotymi nićmi.

Roboty kamerdynerzy wskazali im miejsca. Chandlera usadowiono na twardym krześle z wysokim oparciem, pomiędzy Porterem a Christiną. Siedzieli bardzo blisko kanclerza. Sandersowi przypadło miejsce po przeciwnej stronie. Nie protestował. Z tej pozycji widział każdego jak na dłoni. Mógł wreszcie kontrolować wszystkich do woli.

Michaelowi wydawało się, że nie jest głodny, a ta późna kolacja jest zupełnie zbyteczna. Żołądek miał dotąd tak ściśnięty, że był pewny, że nie będzie w stanie wcisnąć weń nawet najmniejszego kęsa. Jednak gdy tylko wygodnie się usadowił, a fotel dopasował się idealnie do ciała, zmienił zdanie. Odprężył się. Spojrzał przychylniej na stół, który wydawał się niemal uginać pod ciężarem wymyślnie zdobionych mis, półmisek i nagromadzonego na nich jedzenia. Szybko doszedł do wniosku, że okaże się niewdzięcznikiem, jeśli pozwoli, by taka ilość pożywienia poszła na marne. Zanim zdążył wyrazić życzenie, pojawił się przy nim jeden z

kelnerów. Wprawnie przelał z parującej wazy gęstą zupę do stojącego przed Chandlerem talerza. Michaela owionął apetyczny zapach, który pobudził w nim wszystkie soki trawienne. Ślina wypełniła mu usta, przełknął ją z trudem. Ukradkiem spojrzał na Christinę. Najwyraźniej przyjęcie zrobiło na niej równie duże wrażenie. Łapczywie spoglądała na dziczyznę oddaloną od niej na wyciągnięcie ręki.

– Niech mi będzie wolno wznieść pierwszy toast za naszych gości i pomyślność ich misji!

Kanclerz powstał ze swojego miejsca, unosząc w dłoni bogato zdobiony kryształowy kielich. Światło świec odbijało się od jego szaty feerią rozmaitych barw. Michael miał wrażenie, że na podobny strój musiałby wydać majątek. Popatrzył na Federlichta. Twarz kanclerza oblewał krwawy rumieniec. Nie to jednak przyprawiło Chandlera o drżenie. W jakiś niepojęty sposób przyciągały go oczy eksceleńcy. One jedyne pozostawały nieruchome i całkowicie puste. Nie odbijały światła, zupełnie tak, jakby prowadziły w głąb jakiejś studni bez dna. Zupełnie tak samo jak oczy członków kanclerskiej rady.

## ROZDZIAŁ 15

Rozumiem, że kanclerzowi znany jest cel naszej podróży? – Porter stanął na wysokości zadania. Jako jedyny z ich grupki podtrzymał rozmowę. Michael zamienił do tej pory tylko kilka zdawkowych zdań z siedzącymi naprzeciwko doradcami Federlichta. Jakoś nie potrafił zdobyć się na więcej.

– Byłem obecny przy odkryciu maszyny. Przybyliście śladami pierwszej ekipy. Od tamtego czasu stale jesteście w kontakcie z profesorem Pawłowem – odpowiedział uprzejmie kanclerz. – Proszę mnie źle nie zrozumieć. Cieszy mnie przyjazd panów. Przyznam jednak, że jestem zaskoczony informacją o dalszych poszukiwaniach. Wydawało mi się, że dokładny rekonesans zrobili wasi poprzednicy?

– Też tak myślałem. Profesor Pawłow uznał jednak inaczej.

– Jak słyszę, profesor ma zaiste niesamowite pomysły. – Kanclerz zaśmiał się głośno. – Powiedział, że to nie koniec poszukiwań i będzie potrzebował mojej pomocy. Nie wiem jednak, skąd przypuszczenie, że istnieje jeszcze jakaś druga część, drugi moduł? Przecież zbadano wszystko dokładnie, nie tylko na powierzchni, ale i pod nią.

– Być może rzeczywiście drugiego modułu nie ma na tej planecie – zauważył dyplomatycznie Porter. – Być może znajduje się na jednej z planet tego układu lub gdzieś dalej. Nie ulega jednak wątpliwości, że istnieje. Tutaj o pomyłce nie może być mowy. Analiza techniczna wykazała to ze stuprocentową pewnością.

– Stuprocentową? – Mężczyzna siedzący najbliżej kanclerza włączył się do rozmowy. Spośród obecnych wyróżniał go mocny pokrywający wychudłe policzki zarost. – Wiecie, że urządzenie istnieje, nie wiecie jednak, gdzie jest? Czyżbyście mieli szukać igły w stogu siana?

– Można tak powiedzieć – Dave nie obruszył się, wręcz przeciwnie, szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy. – Jesteśmy tu bardziej dla uspokojenia własnego sumienia. Prawdopodobieństwo, że ukryto tutaj drugi moduł, jest minimalne. Nie musi się pan tym tak bardzo przejmować...

Mężczyzna nie wyglądał na takiego, co bardzo przejmowałby się czymkolwiek. Już otwierał usta, żeby dosadnie wyjaśnić to Porterowi, ale przed odpowiedzią powstrzymał go nieznaczny ruch dłoni kanclerza. Michael obserwował to wszystko ukradkiem, udając, że jest zainteresowany bardziej swoim talerzem niż tym, co się wokół niego dzieje. Tak naprawdę starał się zrozumieć, jaką Porter przyjął taktykę. Dziwiło go, że w rozmowie z Federlichtem wydawał się lekceważyć misję poszukiwawczą. Moduł mógł być na innej planecie, w innym układzie? Co to za bzdury? Przecież Pawłow mówił zupełnie co innego. Podczas odprawy był przekonany, że to właśnie na Minerze znajduje się druga część transmittera. Co w takim razie chciał osiągnąć Dave? Było mało prawdopodobne, żeby działał wbrew instrukcjom profesora. Najwyraźniej chciał uspokoić czujność miejscowych. Jeśli tak, Chandler także powinien mieć się na baczności. Skoro Pawłow i Dave nie ufali Federlichtowi, to on nie powinien tego robić tym bardziej.

– Wciąż zdumiewa mnie jedno. Nie mogę tego sobie wytłumaczyć. Proszę wybaczyć prostotę moich pytań, być może odpowiedź jest oczywista, a tylko ja nie jestem w stanie tego zauważyć. Skąd wiecie, że istnieje lub istniało drugie urządzenie? – Kanclerz nachylił się nad stołem w napięciu, widać wciąż nie dawał za wygraną. – Pan wybaczy moją dociekliwość, ale być może, jeśli poznamy wasze wnioski z przeprowadzonych badań, będziemy w stanie pomóc?

Michael zauważył, że nie tylko on uważnie przysłuchuje się rozmowie Portera z kanclerzem. Omiótł szybkim spojrzeniem skupione twarze. Doradcy tylko pozornie zajęci byli przeżuwaniami posiłku i zdawkową wymianą zdań z sąsiadami. Ich ukradkowe spojrzenia wydawały się

przenikać Dave'a na wskroś. Chandler poczuł dziwne mrowienie na skórze, niewytłumaczalne napięcie wokół nich narastało, jakby zaraz miało znaleźć swe ujście w gwałtownym wyładowaniu atmosferycznym. Z trudem otrząsnął się z tego wrażenia.

– To zupełnie tak, jak z jabłkiem – odezwał się Porter. – Gdy przepołowimy je, zawsze będziemy widzieć, że kiedyś dwie części stanowiły całość...

– Bardzo obrazowo! – Brodacz klasnął w dłoń. – To wielka umiejętność inteligentnych ludzi, przedstawić problem tak, by zrozumiano go w mgnieniu oka! Nie jesteśmy jednak ignorantami, panie Porter. Chyba możemy wiedzieć więcej? Mam wrażenie, że żyjemy na jakiejś bombie, a Ziemia wysłała do nas dzielnych, nieustraszonych saperów, by ją rozbroić. Może pan wreszcie powiedzieć, co kryje się pod powierzchnią tej piekielnej planety?!

– To chcemy właśnie zbadać. – Kąciki ust Portera uniosły się minimalnie. Zdziwił się, że tak łatwo można było wytrącić tych ludzi z równowagi. Czuł na sobie ich spojrzenia. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że gdy patrzy w ich oczy, nie widzi nic innego jak pustkę. Otchłań, która prowadzi gdzieś w głąb, w piekielne zakamarki ich duszy. – Obie części urządzenia zadziałają dopiero w momencie, gdy uda nam się je połączyć. W tej chwili nasza wiedza nie jest poparta żadnymi faktami. Mam nadzieję, że będzie większa w momencie, gdy badaniom poddamy dwa elementy. Wtedy zapewne wiele niezrozumiałych kwestii zostanie wyjaśnionych...

– Co się wyjaśni? – Kanclerz wydaje się czekał na spotkanie Portera. Najwyraźniej był wytrawnym graczem w prowadzeniu tego typu rozmów. Dave pożałował, że dał się złapać za słowo.

– Czyżby doszło do jakichś zjawisk, które mogą prowadzić do postawienia jakiejkolwiek hipotezy? To interesujące.

– Mam na myśli tylko jedną rzecz, kanclerzu. – Porter zawiesił głos celowo. Chciał podgrzać atmosferę. Wiedział, jak skierować rozmowę na bezpieczne tory. Jedynym wyjściem było poruszenie kwestii, które nie odpowiadały samemu kanclerzowi.

– Tak? – Pierwszy nie wytrzymał mężczyzna siedzący naprzeciw Christiny. Szybko jednak wbił wzrok w stół, najwyraźniej spłoszony spojrzeniami kolegów.

– Co urządzenie robiło na tej planecie? – tonu Portera nie powstydzili się doświadczony śledczy. Jego głos zadudnił jak odległy, złowróżbny grzmot. – A przede wszystkim, kto je tu ukrył?

– Panie Porter! – Kanclerz odchylił do tyłu głowę, odsłaniając w uśmiechu równy, biały rząd zębów. Siwe pasemka przeredzonych włosów zsunęły się na boki, ukazując wysokie, pomarszczone czoło. – Doprawdy, jesteśmy jednymi z najbardziej zainteresowanych, by poznać odpowiedź na tak trafnie zadane pytania! – Mężczyzna zawahał się ułamek sekundy, potem wstał i uniosł ponownie kielich do góry. – Wznieśmy kolejny toast za to, by sprawa ta wyjaśniła się po naszej myśli!

Porter wstał, tak jak wszyscy zgromadzeni i uniosł kielich do toastu. Uśmiechnął się w myślach do siebie. W sumie osiągnął to, na czym mu zależało. Nie sprzedał Kanclerzowi zbyt wielu użytecznych informacji, a przy okazji sam się czegoś nauczył i dowiedział. Zastanawiał się jedynie, o kim wspominał kanclerz, wznosząc toast – „po naszej myśli”. Raczej nie mógł przypuszczać, by oczekiwania kanclerza i jego były takie same. Ukłonił się jednak uprzejmie i z szerokim dziękczynnym uśmiechem przyłączył się do uczt.

Tymczasem Chandler wreszcie mógł poświęcić uwagę rzeczom bardziej przyjemnym i przyziemnym. Nie potrafił wyjść z podziwu nad pojemnością żołądka Christiny. Dziewczyna pochłaniała ogromne ilości jedzenia. Wiedział, że androidy były przystosowane do jak najbardziej ludzkich zachowań, ale nigdy nie widział, żeby któryś z nich z takim uwielbieniem oddawał się rozkoszom podniebienia.

– Mogę zaproponować trochę sosu do tego wspaniałego mięsa? – Pochylił się w stronę dziewczyny i pytająco uniósł brwi. – Będzie lepiej przełykać...

– Płoszem – odpowiedziała z pełnymi ustami. Oblizwała kciuk, który zawieruszył się w jedzeniu.

– Długo pani nie jadła? – zapytał, starając się powstrzymać śmiech.

– Przesadzam? – spytała. Chandler mógłby przysiąc, że zaczerwieniła się po koniuszki uszu.

– Nie! – Zreflektował się. Jak zwykle wychodził jego brak ogłady w obcowaniu z kobietami.

– Sam jestem głodny... w sumie jak wilk w puszczy.

– Jak wilk w puszczy? – Zaśmiała się. – Dawno nie słyszałam tego powiedzenia. A to znasz? Zjadłabym konia z kopytami!

– No... – Michael zawahał się. W sumie dziewczyna mogła mówić poważnie. Podobno kiedyś ludzie jedli koninę. – Może konia nie... ale jakąś pieczeń...

– To czemu nie jesz? – zapytała z rozbrajającą szczerością.

– Czemu nie jem? – Michael zastanowił się nad jej pytaniem. W sumie nie miał na nie żadnej logicznej odpowiedzi.

– Czyja wiem? Może zatrute? Poczekam na twoją reakcję...

– Ty wiesz, rzeczywiście... coś mi słabo...

– No co ty?! – Chandler uchwycił dłoń dziewczyny, jakby bał się, że zaraz osunie się pod stół.

– Wariat jesteś? – Christina mało się nie udławiła. – Szkoda by im było tego żarcia, żeby nas truć. Są inne sposoby.

– No tak. – Michael uśmiechnął się niewinnie. Dopiero po chwili zorientował się, że nie cofnął ręki. Co ciekawe, Christina wcale nie próbowała się uwolnić z jego uścisku. – Może jednak coś przełknę – powiedział i sięgnął bezpośrednio po soczyste udo, leżące na półmisku. Już po chwili zatopił w nim zęby i poczuł jak delikatna, słodka skórka rozpuszcza się pod językiem.

– Dobre, nie? – Teraz Christina odwdzieczyła mu się równie ironicznym spojrzeniem, jak to, które sprzedał jej kilka minut temu.

– Bałdzo! – odpowiedział z pełnymi ustami i oboje wybuchnęli śmiechem.

Odtąd rozmowa toczyła się gładko. Być może wino rozwiązało im języki, pozbawiło zahamowań. Być może światło świec i romantyczny nastrój, niemal bliski ideałowi, popychały ich do kolejnych słów, uśmiechów i gestów. Chandler w pewnym momencie zorientował się, że zapomniał o innych współbiesiadnikach. Widział tylko oczy Christiny, pełne życia spojrzenie, które, tego był pewny, w tej chwili przeznaczone było tylko dla niego. Przez chwilę dotykała jego dłoni, ramienia. Opowiadała o sobie, nie siląc się na oficjalny ton, na ostrożne dobieranie słów. Była zupełnie rozluźniona, a Michael wiedział, że sprawił to on. Nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu rozmawiał z kobietami dłużej niż kilka minut. Wysiłek wkładany w dialog był wtedy przyrównany do próby rodzenia kamieni. Teraz było zupełnie inaczej. Tak, jak nigdy dotąd.

Chandler potrafił już rozpoznać i opisać swoje uczucia. Był zły sam na siebie. Może to wina zaburzeń hormonalnych u tych, co pierwszy raz odbywali podróż w kosmos? Zupełnie bezwiednie się zakochał. Jakby to była najzwyczajniejsza rzecz w świecie. Taki pozornie nierejestrowany proces, porównywalny ze wstaniem z krzesła czy włączeniem telewizora. Obdarzył miłością Christinę – androida. Co ciekawe, nie wzbudziło w nim to jakiegoś wewnętrznego sprzeciwu. Podał się temu uczuciu. Miał w nosie konwenanse i dobre obyczaje. Przestały się zupełnie dla niego liczyć. Znalazł się w momencie życia, w którym on tworzył zasady i decydował o tym, co jest dla niego dobre, a co złe. Przekroczył barierę, która dotąd trzymała go w hermetycznie zamkniętym pomieszczeniu, w więzieniu własnych lęków i kompleksów. Wyszedł na świat jako zupełnie nowy człowiek. Nowy Michael Chandler.

– Niech będzie mi dane wzniesić teraz toast w imieniu swoim, moich towarzyszy podróży i profesora Pawłowa. – Głos Portera przebił się ponad szmer rozmów. Mężczyzna wstał i tak, jak to zrobił wcześniej gospodarz, uniósł wysoko napełniony kielich. – To zaszczyt przebywać w tak znakomitej gościnie. Chciałbym wyrazić, jak bardzo...

– Ten to potrafi mówić, prawda?

Chandler obrócił się w stronę Christiny. Nie było jej w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała. Momentalnie przestał rejestrować wypowiedziane przez Dave'a słowa toastu. Obejrzał się za siebie. Dopiero wtedy dostrzegł smukłą postać wspinającą się po stopniach kamiennych schodów w stronę ogrodu. Uniósł się ze swojego fotela automatycznie. Wiedział, że tak właśnie ma zrobić, pójść w ślad za nią. Czuł, że wino szumi mu w głowie. Był to jednak przyjemny objaw. Ciepło rozchodziło się od żołądka po całym ciele. Krew krążyła w żyłach. Ogarniało go rosnące podniecenie. Z każdym kolejnym krokiem uczucia te przybierały na sile.

Jej cień zamajaczył w prześwicie między skałami. Michael ruszył krętą ścieżką w ślad za nim. Mimowolnie przyspieszał kroku, jakby bał się, że ta magiczna chwila zbyt szybko pryśnie. Znalazł się na łagodnym wzniesieniu. Kilka metrów dalej ogród kończył się skarpą. Grube szkło oddzielało go od przepaści. Pod jego stopami rozciągała się panorama rozświetlonego miasta.

– Wcale nie wygląda na wymarłe...

Stała oparta plecami o drzewo kwitnącej wiśni. Patrzyła w dal, tak jak on przed chwilą, na lśniące ulice i błyskające neony miasta.

– Mają tutaj wystarczająco dużo zasobów energii, by stwarzać pozory – odpowiedział.

– Pozory – powtórzyła bezwiednie. – To prawda. Widać bardzo im na tym zależy.

– Christino, wtedy... – zaczął niepewnie. Nie wiedział dlaczego właśnie to przyszło mu do głowy. – Naprawdę nie chciałem obrazić Roba.

Uśmiechnęła się.

– Głuptasie, wiem, że nie chciałeś. – Oderwała się od pnia. Wolno zbliżyła się do Michaela, przez cały ten czas patrząc mu głęboko w oczy. – Chciałam cię tylko sprowokować. Nie wiedziałam, że aż tak się przejdziesz.

– Sprowokować? – zawahał się. – Dlaczego właśnie mnie?

– A dlaczego nie? – odpowiedziała z przekorą. – Może mnie zainteresowałeś?

Chandler nie mógł oderwać od niej wzroku. Wydała mu się tak zwiewna i delikatna. Bał się, że jeśli teraz zrobi coś nieodpowiedniego, czar za chwilę pryśnie. Walczył ze sobą, ze swoimi uczuciami. Coś mówiło mu, żeby pozbył się wszelkich zahamowań, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

– Ty mnie też zainteresowałaś – powiedział.

– Wiem. – Dotknęła opuszkami palców jego policzka.

– Christino...

Michael nie mógł powstrzymać drżenia głosu. Pod wpływem ciepła jej skóry, delikatnego muśnięcia, serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Niemal dał się ponieść emocjom. Wyciągnął w jej stronę dłoń, chciał powiedzieć słowa, które tak wyraźnie wyklarowały się w jego umyśle, lecz nagle coś go powstrzymało. Zaobserwował w niej zmianę, wyraźną, tę, której tak się obawiał. Czar prysł.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Dziewczyna odsunęła się od niego. Uśmiech rozpląnął się przytłoczony cieniem nieokreślonej troski. Wyglądało to tak, jakby jakaś nagła myśl zburzyła w niej spokój. – Nasz robot przewodnik kłamał.

– Nie rozumiem? – Chandler z trudem otrząsnął się z odrętwienia. Modlił się, żeby tamta chwila wróciła, oddałby za nią wszystko. Nie był w stanie mówić o niczym innym, jak o tym, co w tej chwili czuł. Teraz wolałby powiedzieć, jak niezwykle są jej oczy, zmieniające barwy pod

wpływem światła. A przecież robot przewodnik nie miał z tym nic wspólnego.

– Mówił o dekonstrukcji, planowanej redukcji personelu. – Christina wydawała się nieobecna. Znow zapatrzyła się w światła miasta. Różnobarwne neony kładły się niespokojnym cieniem na jej twarzy. – A to nie jest prawda.

– Przecież roboty nie potrafią kłamać! – Nastrój Michaela uległ raptownej zmianie. Teraz był zły. Rozmowa zesłała na dziwny grunt.

– Jesteś tak naiwny? – Dziewczyna spojrzała na niego z wyrzutem. Pokręciła głową. Wspaniałe włosy przesunęły się po materiale kombinezonu, spływając majestatyczną falą na plecy. – Czym twoim zdaniem są roboty? Zwykłymi narzędziami w rękach ludzi, Michaelu. A ludzie są przecież różni. Powinieneś o tym wiedzieć!

– Ale dlaczego miałyby kłamać? – Chandler był zbity z tropu. Nie wiedział, jak się zachować. Znow zamykał się w sobie, w swoim ograniczonym, prywatnym świecie. Założył ramiona na piersi i zapatrzył się w czubki butów.

– Chyba powinieneś znać odpowiedź? – Christina zmarszczyła brwi. Bił od niej nieokreślony, przejmujący smutek, którego Michael wydawał się nie zauważać. To denerwowało ją jeszcze bardziej. – Nie przylecieliście przecież tutaj jako zwykli turyści? Szukacie czegoś. Czegoś bardzo cennego.

– To prawda. – Myśli Michaela zatoczyły koło, znow zostały pobudzone do życia. Nie wiedzieć czemu, cień podejrzania zaczął go trawić od środka. Być może była to reakcja obronna, z której nie do końca zdawał sobie sprawę. Spojrzał na Christinę. Dlaczego rozmawiała z nim w ten sposób? Czyżby chciała wyciągnąć z niego poufne informacje? Zaczynał podejrzewać, że pojawienie się pięknej kobiety w czasie ich przylotu nie było przypadkowe. Co więcej, sam kanclerz nie miał przed nią tajemnic. Mówił bez skrępowania o poszukiwaniach maszyny, zadawał pytania i oczekiwał odpowiedzi, które w sumie nie powinny wychodzić poza określony krąg osób, a już na pewno nie poza tę planetę. Jaka więc była rola tej dziewczyny? Dlaczego zaproszono ją wraz z nimi na kolację?

– Jestem ich dostawcą od dawna – mówiła dalej Christina. Wydawała się nie zauważać jego rozterki. – Podróżuję po systemach, którym Miner dostarcza energię. Od kilku miesięcy nie narzekają na jej nadmiar. Wręcz przeciwnie, mają poważne braki.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał ostrożnie.

– Michaelu – Christina dotknęła jego dłoni. – Oni już szukają tej maszyny, o której dzisiaj mówiliście. Robią to na własną rękę. Chcą ją zdobyć za wszelką cenę!

– Skąd taka pewność? – Chandler, czując jej dotyk, musiał włożyć wiele wysiłku, by skupić się na słowach.

– Dopiero podczas tej kolacji połączyłam wszystkie fakty.

– Christina obejrzała się niespokojnie za siebie, jakby chciała upewnić się, że nikt ich nie podsłuchuje. – Mówiłam ci o górnikach, których zabierałam ze sobą z ostatnimi transportami. Opowiadali, że dzieje się tu coś dziwnego. Bali się. Mówili, że ludzie tu nagle znikają. Po prostu rozpywają się w powietrzu.

– Ludzie mówią różne rzeczy. – Michael był spięty, starał się kontrolować swoje reakcje. Musiał się pilnować, jego podejrzania zaczynały nabierać realnych kształtów.

– Może masz rację? – zawahała się. – Ale jest jeszcze coś, co mi powiedzieli, a co nie daje mi spokoju.

– Tak? – zapytał mimowolnie.

– Podobno oprócz szybów, o których wiemy, jest jeszcze jeden, ukryty gdzieś w tych wzgórzach. – Palce Christiny coraz mocniej zaciskały się na dłoni Michaela. – Wiem, że brzmi to niewiarygodnie, jak jakaś bajka. Ale podobno właśnie tam pracują ci, którzy zniknęli. Podobno



czegoś szukają...

– To oni szukają maszyny? – Chandler westchnął głęboko. Christina nie była szpiegiem. Teraz to rozumiał. Czuł, że rzeczywistość przytłacza go coraz bardziej i zupełnie sobie z tym nie radzi. Dziewczyna sprowadziła go w sposób brutalny z obłoków na ziemię. Przypomniała mu, po co tu jest. W jednej chwili zdał sobie sprawę, że został wplątany w historię, której nigdy nie będzie w stanie sam rozwikłać. Przeszył go chłód, zimny powiew, który przeniknął do szpiku kości. Mimowolnie zadrżał. Jedynie dłoń Christiny wydawała mu się gorąca. Chciał, żeby trzymała go tak do końca. Bez względu na to, jaki miałby on być.

– Tak. Jestem tego pewna...

– Dziękuję, że mi to powiedziałaś – szepnął. Opuścił wzrok, nie był w stanie spojrzeć jej prosto w oczy. Być może dlatego, że podejrzewał ją o najgorsze. Wiedział, że to, co mu przekazała, jest niezmiernie istotne. Od tego zależały dalsze losy jego i jego towarzyszy. Nie mógł popełnić błędu, powinien zrobić dobry użytek z tych informacji. – Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować...

Uśmiechnęła się. Wyglądało na to, że całe napięcie zeszło z niej pod wpływem jego słów.

– Nie byłam dawno z mężczyzną – powiedziała. Dziwny błysk pojawił się w jej oczach.

– Co? – zająknął się Chandler. Jej bezpośredniość zabiła go z tropu, niemal spanikował. Wcześniej było mu zimno, a teraz zaczął się pocić. – Dlaczego ja?

– Porter ma już obrączkę... – odpowiedziała z namysłem. – Sanders jest androidem, a z androidami tego nie robię. Więc z braku laku....

– Z braku laku? – Michael uniósł wysoko brwi. Nie wiedział, co powiedzieć, poczuł dziwne ukłucie w sercu.

– No tak. Nie jesteś w moim typie, ale jak się jest taki szmat czasu samej w statku. Sam rozumiesz...

– Rozumiem. – W jednej chwili świat Michaela legł w gruzach. Przekonał się na własnej skórze, że słowa potrafiły bardziej ranić niż dobrze wycelowana pięść.

Christina przez chwilę milczała. Zaciśnęła szczęki, a oczy zwięziły się w ledwie widoczne szparki. W końcu nie wytrzymała.

– Uznałeś mnie za jakiegoś pieprzonego szpiega? – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Bezwolną kukłę, którą można pomiatać i mówić jej, co ma robić?

Chandler otworzył szeroko usta, próbując zaprotestować.

– Wyczułam to. Nie wierzyłeś mi! – przemawiała przez nią złość, której Michael niemal się przestraszył. – Niby jestem szpiclem kanclerza? To chcesz powiedzieć? A może chcesz zobaczyć, jak wygląda prawdziwy kapuś?

Patrzył w jej roziskrzone oczy i zaczerwienione policzki. Uśmiechnął się. Zdał sobie sprawę, że traktując go przed chwilą jak zwykły przedmiot, chciała go zranić. Próbowwała się odgryźć w sposób, który bez wątpienia musiał go dotknąć.

– Nie chciałem! – niemal krzyknął. Próbował zasłonić dłonią jej usta, ale wyrwała mu się ze śmiechem. – Ja przepraszam! Ja bym nigdy...

– Jak w ogóle śmiałeś tak pomyśleć? – Pogroziła mu palcem.

– Człowiek przy tobie traci głowę – jęknął.

Popatrzyła na niego uważniej. Przez chwilę stali w zupełnej ciszy, wpatrując się w siebie.

– Czy propozycja jest dalej... – zaczął niepewnie.

– Nie! Coś ty... – przerwała mu. – Nie mówiłam poważnie.

Michael przełknął głośno ślinę. Opuścił głowę, znów zapatrzył się w czubki swoich butów, jakby znalazł tam coś szczególnie interesującego.

– Jesteś okrutna! – wysapał ze złością. Popatrzył na nią ponownie. – Dlaczego?

– Żebyś myślał cały czas o tym, co możesz mieć... – odrzekła, uśmiechając się buńczucznie.  
– Albo co możesz stracić, jak ci przyjdzie coś głupiego do głowy Teraz będziesz na siebie uważał...

W jej oczach pojawił się błysk. Refleks, który sprawił, że Michael zrozumiał, iż właśnie na tę chwilę czekał całe życie.

– Nigdy o tym nie zapomnę – odpowiedział poważnie.

Świat wokół nich znów się rozplynął, stracił na znaczeniu.

W tej chwili istnieli tylko oni. Szum wody, szelest krzewów poruszanych sztucznym wiatrem i magiczna chwila, która przyciągała ich wzrok, jakby zostali zauroczeni jakimś dziwnym czarem.

– Wylatuję z samego rana – powiedziała ze smutkiem. Odwlekała tę chwilę jak najdłużej mogła, chociaż wiedziała, że musi nadejść. – Muszę wykonać zlecenie, ale wracam za kilka dni...

Chandler słuchał w milczeniu. Patrzył w jej karminowe usta, próbując zrozumieć, co przed chwilą się stało. Wiedział, że tak właśnie musi być. On tu zostanie, a ona wyjedzie. Kilka dni, pomyślał, za te marne kilka dni może mnie już nie być. Nie powiedział jednak tego głośno, nie mógł zepsuć tego szczególnego momentu. Przez moment, ułamek sekundy walczył ze swoim starym ja, Michaeliem Chandlerem, który nigdy nie mógłby zdobyć się na najmniejsze ryzyko, a potem po prostu przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Poczuł, że zadrzała. Jej usta były ciepłe i słodkie, takie jak sobie wyobrażał. Zawahała się, a potem odsunęła od niego i odeszła. Na końcu ścieżki zatrzymała się i obróciła, po raz ostatni. Uśmiech rozjaśnił jej twarz. Uniosła lekko dłoń..

– Uważaj na siebie, Michaelu – powiedziała.

Chandler skinął głową i patrzył za nią tak długo, aż znikła wśród kwitnących krzewów, a lampy ogrodowe zgasły i noc całkowicie zapanowała nad planetą.

## ROZDZIAŁ 16

Obudziło go natarczywe pukanie do drzwi. Usiadł na łóżku, próbując przypomnieć sobie, gdzie jest i co robi w zupełnie obcym pokoju. Jak przez mgłę dotarły do niego natarczywe obrazy. Nałożyły się na siebie, niemal zmaterializowały w umyśle jak za dotknięciem różdżki. Podróż promem, planeta i rozmowa z Christiną. I jeszcze coś. Tak, teraz był pewny, obudził się nad ranem, wstał i podszedł do okna. Co wtedy zobaczył? Wysoko na niebie pojawił się ślad zostawiany przez silniki rakiety. Pojazd opuszczał atmosferę planety i podążał swoim kursem w stronę odległych gwiazd. Michael poczuł pustkę. Przytłaczające uczucie, które towarzyszyło mu także i teraz. Christina odleciała. Wyruszyła w podróż, zostawiając go na planecie, na której miały się zdecydować jego losy. Nie miał pewności, czy jeszcze ją zobaczy. Tych kilka dni bez niej wydawało się wiecznością, a on mógł ich nie przeżyć.

Pukanie powtórzyło się. Wydawało się, że drzwi nie wytrzymają naporu, niebezpiecznie zaskrzypiały w framugach. Michael opuścił nogi na dywan i krzyknął. – Wejść! – Intruz, niezmiernie chudy robot, widać tylko na to czekał. Wtoczył się do pokoju z niekontrolowanym zgrzytem, załśnił wypolerowanym pancerzem i wbił obiektyw kamery w Chandlera.

– Pora wstawać, panie Chandler! – zabrzmiał obco mechaniczny głos, można było od niego dostać bólu głowy. – Śniadanie podamy za kilka minut.

– A co z resztą moich przyjaciół? – zapytał Michael, ziewając rozdzierająco szeroko. – Już wstali?

– Pan Porter właśnie się ubiera. Pan Sanders nie spał. Rozglądał się, węszył po budynku...

Robot odpowiadał z rozbijającą szczerością. Michael zanotował jednak ten fakt. Nie ulegało wątpliwości, że byli obserwowani i to zapewne nie tylko przez tę nierozgarniętą maszynę. Każdy ich ruch tutaj mogły śledzić kamery i wszędobylskie roboty. To spostrzeżenie obudziło go zupełnie.

– Zaraz zejść – odpowiedział oschle. Miał nadzieję, że od tego wszystkiego nie popadnie w paranoję.

Robot przez chwilę stał w miejscu, jakby się zastanawiał, czy nie popędzić Michaela. W końcu omiół obiektywem pomieszczenie i wycofał się na korytarz.

Chandler z niedowierzaniem pokręcił głową i wstał z łóżka. Rozejrzał się uważnie po swojej kwaterze i skonstatował, że standard pokoju mógł spełniać wymagania nawet najbardziej wybrednych gości. Wyminął stojące mu na drodze wielkie mahoniowe biurko i ruszył wprost do łazienki. Gdy zamykał za sobą drzwi kabiny prysznicowej miał wrażenie, że odcina się od całego otaczającego go świata. Odkręcił wodę i poddał się działaniu gorącego strumienia. Czuł, jak napięte mięśnie się rozluźniają. Właśnie tego potrzebował. Prysznic ożywił go i odświeżył. Michael natarł się dodatkowo ręcznikiem, starając się poprawić krążenie krwi. Przestał dopiero, gdy zobaczył w lustrze, że skóra jest zaczerwieniona. Teraz czuł się dobrze nie tylko fizycznie, lecz także psychicznie. Uznał, że lepiej nie można było rozpocząć tego poranka.

Przeszedł z powrotem do sypialni. Obok łóżka stały walizki, które ktoś musiał wcześniej umieścić w jego pokoju. Wyjął z nich ubrania. Część położył na fotelu, a część powiesił w szafie. Wybrał luźne, beżowe spodnie i szarą koszulę. W pierwszej chwili wpuścił koszulę w spodnie, ale potem zdecydował, że w wypuszczonej na wierzch czuje się o wiele lepiej. Na wszelki wypadek podszedł do lustra. Uznał, że wygląda całkiem nieźle. Żałował tylko, że nie będzie mogła go teraz zobaczyć Christina. Uśmiechnął się do swojego lustrzanego odbicia, założył buty i opuścił pokój.

Robot czekał na niego przy drzwiach. Niecierpliwził się. Chandlerowi przeszło nawet przez

myśl, że pewnie podglądał go przez dziurkę od klucza. Jeśli tak, to musiało to wyglądać naprawdę komicznie.

– Prowadź, Mata Hari! – zakomenderował ze śmiechem i ruszył za robotem wzdłuż jasno oświetlonego korytarza.

Minęli pokój Sandersa. Michael zastanawiał się nawet, czy nie zapukać do drzwi. Uznał jednak, że to zły pomysł. Lepiej było powstrzymać się od tego typu odruchów. Sanders na pewno nie doceniłby zainteresowania swoją osobą, a poza tym nie można było mieć pewności, że jest w pokoju.

Chcąc nie chcąc podążył za robotem. Korytarz wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Przeszli przez jedne szklane drzwi, potem drugie, oddzielające kolejne pasaże z rzędami identycznych żółtych witryn. Jedyną odmianą w tej monotonii była fontanna, na której kropelki wody wygrywały smutną melodię. Tuż za nią pojawiły się kolejne drzwi i równie długi korytarz. W końcu jednak, ku wyraźnej uldze Michaela, dotarli na miejsce. Zdążył już się nie tylko zmęczyć, lecz także porządnie zgłodnieć.

Jadalnia usytuowana została w owalnej, bardzo przytulnie urządzonej sali. Wzrok przyciągał tu przede wszystkim ogromny, ceglany komin. Dominował nad otoczeniem. Michael dałby głowę, że gdyby ktoś się postarał, mógłby go przerobić na osobny pokój. Równie ciekawe były obrazy w bogatych ramach. Pokrywały wszystkie ściany, rozmieszczone z gustem jedne obok drugich, mniejsze i większe, portrety, krajobrazy, płótna z martwą naturą. Atmosferę potęgowały świeczniki ustawione na wysokich stelażach. To miejsce równie dobrze mogło służyć za salę balową. W sumie wystarczyło wynieść długi, nakryty do śniadania stół, krzesła i jednego osobnika, który właśnie w tej chwili spokojnie przeżuwał swój posiłek.

– Myślałem, że zrezygnowałeś ze śniadania! – Porter rozbijał właśnie łyżeczką skorupkę jajka. Wyglądało na to, że jest bardzo skupiony na tej czynności. Nawet nie spojrzał na wchodzącego.

– Smacznego – powiedział Michael. Ruszył w stronę stołu i zajął miejsce obok doktora.

– Dziękuję! Dobrze spałeś? – Dave uniósł filiżankę z kawą do ust, upił mały łyk i dopiero teraz uważnie spojrzał na Chandlera.

– Bez snów. Ale to akurat dobrze. Mogę powiedzieć, że nawet się wyspałem. – Michael także zerknął na Portera. – Za to ty nie wyglądasz kwitnąco – zauważył.

– Praca – zmieszał się Porter. – Niektórzy pracują, gdy inni smacznie śpią!

– Co takiego ważnego robiłeś, że nie mogłeś spać? – Chandler udał, że nie zauważył dziwnego zachowania towarzysza. Przyjął filiżankę kawy od robota kelnera, a potem sięgnął do koszyka po świeże pieczywo.

– Trochę roboty w laboratorium. – Dave machnął lekceważąco ręką. – Musiałem przygotować sprzęt poszukiwawczy, a jest z tym trochę zachu. Sam wiesz, jak zachowują się te T-300. Kapryśne urządzenia.

– Tak, T-300 – westchnął Michael. Nie miał zielonego pojęcia, jak mogą zachowywać się T-300. W ogóle nie wiedział, o czym mówi Porter. – Rozumiem, że do poszukiwań przystępujemy dzisiaj?

– Jasne. Nie ma chwili do stracenia. – Dave spojrzał odruchowo na zegarek. – Sanders powinien już czekać na nas ze sprzętem przy szybach. Myślę, że ruszymy zaraz po śniadaniu?

– Jak dla mnie bomba – powiedział Chandler. Nie pozostało mu nic innego, jak zająć się swoim posiłkiem. Posmarował przekrojoną bułkę masłem, a potem rozsmarował na niej dżem. – I tak nie mam nic lepszego do roboty. Jak człowiek siedzi beczynnienie, to zaczyna myśleć o głupich rzeczach. Swojej śmierci i w ogóle...

Porter zawahał się, wyglądało na to, że chce coś powiedzieć, ale najwyraźniej się rozmyślił.

Przełknął ostatni kawałek jajka i odsunął od siebie wydrążoną skorupkę. Do końca śniadania nie zamienili już ani jednego zdania.

\* \* \*

Sanders rzeczywiście już na nich czekał. Spotkali go przy windzie prowadzącej do szybu numer jeden. Nie wyglądał na rozdrażnionego przedłużającą się nieobecnością Portera i Chandlera. Stał milczący, niewzruszony niczym antyczny kolos. Obok niego przechadzał się wolnym krokiem brodaty doradca kanclerza. Uśmiechnął się na ich widok i wyciągnął przyjaźnie dłoń na przywitanie.

– Wygląda na to, że będę waszym przewodnikiem. Kanclerz polecił udzielić panom wszelkiej możliwej pomocy.

– To bardzo miłe ze strony jego ekscelencji – odpowiedział Porter. Próbował przypomnieć sobie imię brodacza. Zostało kilkakrotnie wypowiedziane poprzedniego wieczora. – Na pewno przekazemy podziękowania osobiście. A teraz mogę pana zapewnić, że jesteśmy gotowi do drogi, panie Zarg.

– To świetnie. – Mężczyzna zawahał się, podejrzliwie popatrzył na urządzenia zgromadzone pod ścianą, widać już wcześniej nie dawały mu spokoju. – Macie tutaj dużo sprzętu. Czy to wszystko jest potrzebne?

– Wręcz niezbędne – odpowiedział krótko Dave. Nie miał zamiaru usypiać czujności brodacza. – To najlepszy sposób na eksplorację szybów i zapewne najbardziej skuteczny.

– Nie sądzi pan, że nasi górnicy odkryliby to coś, gdyby rzeczywiście było ukryte w kopalniach?

– Przywiezione przez nas urządzenia mają kilka zalet, które bez wątpienia przydadzą się w poszukiwaniach – odparł spokojnie Porter. Jak zwykle umiejętności dyplomatyczne w tego typu rozmowach okazywały się wręcz niezbędne. – Nie zawadzi spróbować ich użyć. Przynajmniej zapewni nam to spokój sumienia. Niedopatrzanie obowiązków może okazać się naszym głównym grzechem, z którego będzie nam trudno wytłumaczyć się przed zwierzchnikami.

– No tak – zgodził się niechętnie Zarg. – Mówił pan jednak o zaletach sprzętu. Jakie to zalety?

– Och, można by na ten temat długo się rozwodzić... – Dave uśmiechnął się dziwnie. Wyminął przewodnika i zbliżył się do jednej ze skrzyń pilnowanych przez Sandersa. Pochylił się nad nim i przesunął dłonią po metalowej, gładkiej powierzchni. – Potrafią wykryć jaskinie i nisze, których człowiek sam nie jest w stanie zlokalizować. Wystarczy drobna przestrzeń wewnątrz skały, jakakolwiek anomalia, by czułe urządzenia ją zarejestrowały. T-300 potrafi prześwietlić wszystko...

Porter wprowadził sobie tylko znane dane na panelu kontrolnym. Coś zahuczało. Baterie, których żywotność obliczano na setki lat, zaczęły działać. Metalowe pudło powiększyło się, napęczniało w oczach. Spiczaste odnóża wysunęły się z umieszczonych na pancerzu otworów. W pomieszczeniu rozległ się nieprzyjemny zgrzyt. Wtedy korpus uniósł się i okręcił wokół osi. Po chwili T-300 stanął na szeroko rozstawionych nogach, wystawiając pozbawioną szyi głowę w kierunku zgromadzonych osób.

– Jestem gotowy do podjęcia zadania – zakomunikował.

Robot mógł mieć co najwyżej półtora metra wzrostu. Zbudowany był z mobilnych, poręcznych modułów, które dowolnie mógł przemieszczać. Zapewne pozwalało mu to dostosowywać swój korpus do napotkanych warunków. Chandler był pewny, że T-300 z łatwością mógł precyzyjnie się przemieścić przez każdą szparę i wleźć wszędzie, gdzie tylko miał ochotę lub

pozwalał mu na to integralny program.

Na pancerzu pobłyskiwało pulsacyjne zielone światelko. T-300 natarczywie przypominał o swej gotowości. Skomplikowane procesory i układy czekały na zadanie, wystarczyło jedynie wydać precyzyjne polecenie.

– To jak? Jedziemy? – Zarg z trudem otrząsnął się z pierwszego przytłaczającego wrażenia, jakie wywarła na nim maszyna. Nie potrafił oderwać od niej oczu. Nie widział wcześniej tego typu robotów. Nic dziwnego. Do tej pory stanowiły tajemnicę cybernetycznego laboratorium Ośrodka Badań Pozaziemskich.

Drzwi windy rozchyliły się. Mężczyźni weszli do środka. Za nimi do kabiny wkroczył robot. Chandler zauważył, że maszyna porusza się szybko i zgrabnie. Zupełnie inaczej niż jej niezdarne odpowiedniki, które widział na Ziemi i tutaj, na Minerze.

Winda ciężko, jakby z wahaniem ruszyła w dół. Michael wiedział, że to mylne wrażenie. Tak naprawdę poruszali się z ogromną prędkością. Poziom po poziomie, metr za metrem, nawet nie próbował zgadnąć, jak wiele kilometrów pokonują w tej podróży w głąb planety.

– Musimy założyć te filtry. Są dla panów. – Zarg nagle przypomniał sobie o swoich powinnościach. Wyjął z kieszeni płaszcza małe urządzenia i przekazał je towarzyszom.

Chandler przyjął dziwnie wyglądający prezent, jednak nie wiedział, co z nim począć. Obejrzał go dyskretnie. Filtr był bardzo lekki. Plastikowy zbiorniczek podzielono na dwie komory, do których doprowadzono trzy cieniutkie rurki zakończone bulwiastymi osłonkami. Do czego jednak mogły służyć? Michael niepewnie spojrzał na Portera. Ten na szczęście dostrzegł jego rozterkę i pierwszy zbliżył urządzenie do twarzy. Dał mu w ten sposób jasny sygnał, co należy zrobić. Chandler ostrożnie poszedł w jego ślady. Gdy plastikowy zbiorniczek dotknął jego twarzy, nastąpiło głuchoe kliknięcie. Rurki przedziwnym sposobem zainstalowały się samoczynnie w nosie i ustach, a urządzenie automatycznie zaczęło pracę. Przez chwilę Michael nie mógł nabrać w płuca powietrza. Jakiś wewnętrzny odruch sprawił, że zamarł, nie mogąc zmusić się do jakiegokolwiek reakcji. I gdy już myślał, że się udusi albo padnie na udar mózgu, ożywcza fala tlenu została wtłoczona do jego gardła i odzyskał jasność umysłu.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Zarg, zanim winda zdążyła się zatrzymać. Wyglądał dziwnie z filtrem zainstalowanym na twarzy. Zupełnie tak, jakby przykleiła się do niego jakaś obca, krwiożercza istota.

Otwierające się drzwi windy odwróciły uwagę Michaela. Poczł uderzenie fali ciepła. Mimo że stał najbliżej wyjścia, nie ruszył się. Przepuścił przed sobą innych. W ogóle najchętniej zostałby w kabinie. To, co zobaczył, jeżyło mu włosy na karku. Skały, w których wykuto wąski korytarz, mieniły się czerwienią. Taką samą jak powierzchnia planety. Wydrążone tunele wydawały się ociekać krwią. Zupełnie jakby ktoś wywiercił arterie w żywym ciele. Nieprzyjemny zapach zgnilizny docierał do Chandlera, mimo zainstalowanego przy twarzy filtra.

Michael popatrzył pod nogi. Szyny elektrycznej kolejki były powykręcane, wydawać by się mogło, że ktoś pastwił się nad nimi dla zabawy. Kilka wypełnionych po brzegi surowcem wagoników stało na bocznicach, reszta składu leżała przewrócona na boku, tarasując drogę. Obraz mógł przypominać pole jakiejś walki albo teren opuszczonej kopalni złomu.

Porter wydawał się nie zwracać uwagi na te szczegóły. Długimi krokami, bez wahania, ominął przeszkody. Ruszył przed siebie, jakby doskonale znał ten korytarz. W końcu przystanął w miejscu, w którym tunel się rozdwajał. Obrzucił szybkim spojrzeniem ściany i sufit, a potem przywołał do siebie T-300. Maszyna znalazła się przy nim błyskawicznie. Dała w ten sposób niesamowity popis zręczności. Chyba to było celem Dave'a. Mężczyzna nachylił się nad panelem sterowniczym i wprowadził do pamięci robota odpowiednie dane. T-300 natychmiast przyswoił rozkaz i ruszył przed siebie, skręcając w lewą odnogę korytarza. Zniknął im z oczu w ułamku

sekundy.

– Niesamowite. Jak dużo czasu zajmie mu zbadanie tego szybu? – Zarg nawet nie próbował ukrywać swojego zainteresowania. W tych okolicznościach było ono naturalne.

Och, trudno odpowiedzieć na to pytanie. Oczywiście zależy to od długości korytarzy... – zawahał się Porter.

– Kilka poziomów... – zastanawiał się głośno brodac. – Każdy po kilkadziesiąt kilometrów...

– Razy trzy szyby? – uzupełnił obliczenia Dave.

– Tak, trzy szyby. – Zarg spojrział z napięciem na Portera. – Pewnie zajmie to kilka dni?

– Zapewne. Jeśli dodać do pana obliczeń analizę wszystkich danych, potrwa to ponad tydzień.

– Rozumiem. – Zarg uśmiechnął się. Wyglądało na to, że upewniał się w czymś, co dręczyło go od dłuższego czasu. Najwyraźniej wynik dociekań był dla niego zadowalający. – Oprowadzić was panowie? Jeśli już tu jesteśmy, być może warto się rozejrzeć... – dodał po chwili, wyraźnie rozluźniony.

– Tak. Jak najbardziej. – Porter uśmiechnął się. – Chcielibyśmy usłyszeć historię tej planety. I tego miejsca...

Mężczyźni wolno przesuwali się chodnikiem w głąb korytarza. Chandler miał wrażenie, że przebijają się z trudem przez stojące w miejscu gęste powietrze. Jakby przechodzili przez jakąś mętną zawiesinę, zostawiającą na twarzach uczucie żaru. Temperatura musiała być wysoka, bo Michael poczuł, że koszula przykleja mu się do pleców. Uczucie zmęczenia powoli dawało znać o sobie. Nielatwo było mu przywyknąć do nowych warunków. Nawet nie chciał zastanawiać się nad tym, co byłoby, gdyby urządzenie przy jego twarzy przestało filtrować powietrze. Serce zaczynało mu bić coraz szybciej, gdy z każdym krokiem zanurzali się głębiej w czerwień korytarza. Michael był pewny, że gdyby miał tu spędzić więcej niż kilka godzin, zmarłby na skutek klaustrofobii, odwodnienia lub panicznego ataku lęku. Mimowolnie przysunął się bliżej Sandersa, jakby ten miał go uratować przed wszystkimi zagrożeniami tego świata.

Tymczasem brodac kontynuował opowieść. Chandler wyławiał każde zdanie, próbując zająć czymś niespokojne myśli. Historia szybko go wciągnęła. Początki planety były trudne. Kolonizacja trwała kilka lat. Śmierć pierwszych pionierów, nieudane odwierty, typowe, ludzkie błędy nie zniechęciły wielkich gigantów energetycznych do dalszych starań o ujarzmienie planety. Walka trwała nie tylko tu, na Minerze i pod jego powierzchnią, ale także na giełdach, wśród rekinów finansjery. Holdingi zmieniały się jedno po drugim. Niejeden z gigantów zatrzęsł się w posiadach, poleciała niejedna głowa. Wrogie przejścia, niszczenie, szpiegostwo przemysłowe trwały w najlepsze. Tymczasem kolonizacja Minera powoli się stabilizowała. Z dala od wojny gigantów powstawało nowe miasto. Produkcja ruszyła pełną parą. W tajemnicy, w zupełnej izolacji od reszty świata, powstały nowe władze. Na ich czele stanął górnik – Gordon Federlicht. On stworzył obecną potęgę. Nawiązał kontakty z najdalszymi układami, cierpiącymi na braki energii dostarczanej dotąd z Ziemi. Zapewnił im stałą, błyskawiczną dostawę. W kilkanaście miesięcy stworzył flotę przewożącą miliony ton surowca. Pieniądze falą napłynęły do skarbcza. Miner uniezależnił się. Stał się potęgą, której nikt nie mógł zagrozić, ani jej przejąć. A niepodzielnym władcą planety został kanclerz...

– Ale teraz macie kłopoty. Wszyscy zastanawiają się, dlaczego? – zapytał nagle Porter.

– Przejściowe – twarz Zarga nie wyrażała żadnych uczuć, przypominała sztuczną, woskową maskę – wszystko wróci do normy. Zapewniam, że nastąpi to bardzo szybko.

– Nie wątpię. – W głosie Portera nie słychać było jednak tej pewności. – W tej chwili Miner traci na znaczeniu. Kiedyś był w centrum uwagi...

– Możemy wracać. – Zarg ominął temat szerokim łukiem. Nie dał wciągnąć się w rozmowę.

– Tutaj już nic ciekawego panowie nie zobaczą. Teraz wystarczy poczekać...

– Tak. Czekanie, chyba wszyscy będziemy musieli uzbroić się w cierpliwość. – Dave uśmiechnął się szeroko. – Wracajmy!

Najwyraźniej i on miał dosyć tej bezcelowej wędrówki. Nasłuchał się wystarczająco o kanclerzu i Minerze. Większość tych informacji nie miała dla niego większego znaczenia. Zapoznał się z nimi wcześniej, analizując materiały przekazane przez Pawłowa. Nie spodziewał się, by to, co interesowało go najbardziej, zostało tu powiedziane. Zarg został zapewne dokładnie poinstruowany, jak ma się zachowywać w obecności gości. Dobrze wiedział, w jaki sposób filtrować wiadomości, co mówić, a co przemilczeć.

– Co tylko panowie sobie życzą. – Przewodnik lekko skinął głową na znak, że się zgadza. Obrócił się na pięcie, kierując z powrotem w stronę windy.

– Zaraz, ale ja mam jeszcze jedno pytanie... – Chandler wstrzymał brodacza. Musiał zaspokoić swoją ciekawość. Być może nie lubił niedomówień, a może ta historia wciągnęła go bardziej, niż mógł się spodziewać.

– Tak? – Zarg wyraźnie zdwoił czujność.

– Jeśli było tak wspaniale, jak pan mówi, dlaczego teraz nastąpił kryzys?

– Nasycenie rynku! – Po Zargu nie było widać zmieszania. Westchnął ciężko, jakby ciągle tłumaczenie rzeczy oczywistych niemiłosiernie go nużyło. – Tego nie przewidzieliśmy. Wysyłaliśmy z każdym dniem więcej towaru za coraz niższą cenę. Stworzyliśmy na każdej z planet nasze składy, które dzisiaj są przepełnione surowcem. Popełniliśmy błąd, z którego wyciągnęliśmy wnioski. W końcu byliśmy wszyscy zwykłymi górnikami, którzy nie mieli zbyt dużego pojęcia o ekonomii, prawach podaży i popytu. Trafiliśmy teraz na okres przejściowy, który w najbliższych miesiącach powinien ulec zmianie. Faktorie wstrzymały sprzedaż. Kwestią czasu jest wyczerpanie dotychczasowych zapasów na zaopatrywanych przez nas planetach. A wtedy...

– Wtedy ustalicie swoje warunki? – dokończył Chandler. Rozumowanie Zarga wydało mu się logiczne. W sumie mógłby uwierzyć w tę historię.

– Tak. Właśnie tak, panie Chandler.

Mężczyźni wrócili do windy. Zanim drzwi się zamknęły, Chandler spojrział jeszcze raz w głąb korytarza. Wydawało mu się, że widzi cień przesuwany się wzdłuż ściany. Przez chwilę przyszło mu do głowy, że to T-300 wraca z rekonesansu, ale było na to za wcześnie. Cień znikł. Winda ruszyła, odcinając ich od zaduchu podziemnych chodników. Michael wiedział, że długo pozostanie pod wrażeniem tego miejsca. Miał nadzieję, że nie będzie musiał tu wrócić. Podświadomie jednak wyczuwał, że pozostanie to tylko jego pobożnym życzeniem.

Zarg opuścił ich towarzystwo od razu, gdy znaleźli się na powierzchni. Wymienił przed tym kilka zdawkowych uwag i w pośpiechu oddalił się jednym z korytarzy, życząc im miłego dnia.

– Co teraz? – zapytał Chandler, gdy znaleźli się sami.

– Nie wiem jak wy, ale ja idę do laboratorium – odpowiedział Porter. Przeciągnął się. Coś chrupnęło mu w plecach.

– Ale, co ja mam robić? – Michael zdenerwował się. Poczul się jak piąte koło u wozu, bał się, że zostanie pozostawiony samemu sobie.

– Co masz robić? – Dave uśmiechnął się tajemniczo. – To już zależy od ciebie. Wszystko jakoś się potoczy... Samo z siebie...

Spojrzenia Sandersa i Portera skrzyżowały się. Wyraz ich twarzy nie spodobał się Chandlerowi. Z ciężkim sercem powędrował do swojego pokoju.



## ROZDZIAŁ 17

Michael przez cały dzień nie wychodził z pokoju. Przyszło mu do głowy, że to najbezpieczniejsze wyjście z możliwych. Jeśli Porter i Sanders zostawili go na pastwę losu, to on sam nie miał zamiaru pchać się w żadną kabałę.

Podszedł do okna i wyrzwał na zewnątrz. Miasto w dole wyglądało jak projekcja graficzna na reklamowym hologramie. Plaże i zabytki z prospektów biur podróży były zawsze pełne kolorów, ślicznych ujęć podretuszowanych na programach graficznych. Uderzało zwłaszcza to, że brakowało na nich ludzi, zupełnie jakby klient mógł poczuć się niczym rozbitek na bezludnej wyspie, prywatnie i intymnie na wymarzonych wakacjach. Rzeczywistość jednak była inna. W tych pięknych miejscach było tak wielu ludzi, że trudno było się między nimi przecisnąć. Już raz Michael dał się nabrać na jeden z tych reklamowych sloganów. Haiti może wciąż było dziewiczym miejscem, ale tylko dla wybranych, lokowanych w zamkniętych częściach wyspy. Zwykły obywatel, który zdołał coś uciuć na wakacyjny wyjazd, musiał liczyć się z tłokiem równym temu na ruchliwej nowojorskiej ulicy.

Tutaj jednak, gdyby Michael tylko zechciał, mógł mieć całe miasto dla siebie.

– Pozory... Bardzo im na nich zależy... – powtórzył cicho w myślach uwagę Christiny.

Neony na ulicach pulsowały rytmicznie, jakby całe miasto wpadło w trans tanecznej zabawy. Promienie słońca przedzierały się przez grubą warstwę kopuły nadając ciepłą barwę budynkom. W momencie świetności musiało tutaj mieszkać co najmniej kilkanaście tysięcy osób. Gdzie oni wszyscy się podziiali?

Nagle Michael nabrał strasznej ochoty żeby wyjść na zewnątrz. Przejść się ulicami tego pustego miasta. Pójść na spacer, tak po prostu, bez celu i pośpiechu. Przez ostatnie lata swojego życia nigdy nie miał czasu na taki wypad, a może precyzyjniej, nigdy nie miał na niego ochoty. Zatłoczone parki, zatłoczone ulice, parkingi, ruch drogowy i powietrzny. Hałas, smród i duchota...

Całe jego życie składało się z banalnych przyzwyczajzeń i czynności. Teraz mógł zrobić to, na co miał ochotę, a nie to, do czego był zmuszany.

Chandler odsunął się od okna. Zastanawiał się tylko chwilę. Potem okręcił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Gdy winda zatrzymała się na parterze, zawahał się. Pewność siebie, którą jeszcze przed chwilą wydawało się miał, rozplynęła się niczym za dotknięciem magicznej różdżki. Drzwi otworzyły się, wypuszczając go do przestronnego holu. Michael zrobił kilka kroków po czerwonym dywanie siłą wcześniejszego rozpędu. Po chwili zatrzymał się niczym trybik w mechanizmie, w który dostały się ziarenka piasku.

Pewnie Chandler stałby tak długo niezdecydowany, gdyby nie maszyna porządkowa, która wolno sunęła w jego stronę, czyszcząc i tak lśniący nowością dywan.

– Raz kozie śmierć – westchnął głęboko i ruszył przed siebie, w stronę wyjścia.

Jeszcze przez chwilę miał nadzieję, że ktoś go zatrzyma albo drzwi prowadzące na zewnątrz będą zamknięte, ale nic takiego nie miało miejsca. Kilka sekund później Michael stał na chodniku, patrząc jak urzeczony na puste ulice i place, na miasto duchów.

Poczuł dziwny dreszcz emocji. Jakby nagle zamknięto go samego w sklepie pełnym zabawek. Mógł iść, gdzie tylko chciał, wejść tam, gdzie normalnie nie miałby dostępu. Zobaczyć prywatne mieszkanie górników? Proszę bardzo. Mógł usiąść w ich fotelach, zajrzeć do ich lodówek, wejść do sklepów, centrów handlowych. Ta pustka podniecała go i przerażała zarazem.

Ruszył wolno w dół ulicy. Dłonie wsadził do kieszeni i idąc krok za krokiem, rozglądał się wokół. Nawet zagwizdał bezwiednie, ale echo, które mu odpowiedziało, przyprawiało go o dreszcze.

Czego tutaj szukał? Czego chciał?

Nie miał zamiaru się oszukiwać. Jeśli rzeczywiście jego przeznaczeniem była jedna z zamrażarek OBP-u, to i tak nie będzie miał na to wpływu. Miał żyć w strachu przez te kilka kolejnych dni? Trząść portkami? Zamknąć się w pokoju, poprosić Sandersa o broń, albo o to by ten przy nim czuwał we dnie i w nocy? Przecież żył właśnie w takim zamknięciu przez wszystkie minione lata. Jeśli teraz pozostało mu kilka dni życia, to nie warto było chować się w norze niczym przestraszona mysz. Przyszłości może nie był w stanie zmienić, ale samego siebie tak. Chciał wreszcie spojrzeć na swoje odbicie w lustrze bez zażenowania.

Skreślił w boczną alejkę. Małe sklepiki z antykami przyciągnęły jego uwagę na dłuższą chwilę. Tak jak się spodziewał, sklepy nie były zamknięte. Niektóre drzwi rozwarte były na oścież, w innych wystarczyło nacisnąć klamkę. Chandler wszedł na chwilę do spożywczego i wyciągnął z lodówki napój o śmiesznej nazwie Miner Cola. Spróbował odrobinę, a gdy mu posmakowało, wypił do dna. Nie miał pieniędzy, by zapłacić, ale uznał, że w tej chwili i tak właścicielowi sklepu nie zrobi to większej różnicy.

Potem ruszył dalej, przeszedł przez skwer i znów skreślił, postanawiając zatoczyć koło przed powrotem do swojego pokoju. Wycieczka powoli zaczynała go nużyć. Sam nie wiedział, skąd wziął się niepokój, który odczuwał od dłuższej chwili. Być może była to przejmująca, dzwoniąca w uszach cisza, gdy przystawał i patrzył w puste okna budynków. Może jego kroki dudniące jak odgłosy prymitywnych tam-tamów. A może...

Chandler w jednej chwili zdał sobie sprawę, co wywołuje u niego nieprzyjemny dreszcz na plecach. Miał nieodparte wrażenie, że ktoś go obserwuje. Co gorsza ten podświadomy lęk zdawał się z każdą chwilą narastać.

Obejrzał się.

– Sanders? – usłyszał niepewność w swoim głosie. – Jeśli to ty... po prostu wyjdź. Może razem skoczmy na piwo?

Ten żart zabrzmiał nieco rozpaczliwie. Echo poniosło słowa, które wzmocnione wróciły niczym duchy, odbijając się od ścian i wprawiając w drżenie szyby w oknach.

Michael postanowił na tym zakończyć wycieczkę. Chciał jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju. Ruszył uliczką, która, jak wydawało mu się, powinna była poprowadzić go do siedziby kanclerza. Już po kilkunastu krokach zorientował się, że znalazł się w ślepych zaułku. Tutaj promienie słońca nie miały dostępu. Cień przysłonił chodniki i klatki schodowe. Michael poczuł, jak jego serce mocno obija się o żebra. Czy zauważył kogoś w oknie na piętrze?

Odwrócił się i wolno ruszył w stronę skweru, na którym był kilka minut wcześniej. Nie mógł się jednak oprzeć, ciekawość okazała się silniejsza. Jeszcze raz spojrzął do góry i zamarł. Znów zobaczył czyjąś twarz w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Zupełnie jakby ktoś stał na krześle i patrzył w dół. Utkwił nieruchome spojrzenie właśnie w Michaelu.

W zaułku rozległo się głucho dudnienie zbliżających się kroków.

Michael panicznie rozejrzał się wokół, szukając miejsca, w którym mógłby się ukryć. Zdał sobie jednak sprawę, że i tak nie będzie w stanie się ruszyć.

Zadrżał, gdy zobaczył zwalistą postać, która pojawiła się w zasięgu wzroku. Próbował zacisnąć pięści i przyjąć postawę obronną, ale poczuł się słabo. Ledwo stał na nogach.

– Może wystarczy tych spacerów?

To był Sanders Macloud. Uczucie ulgi było tak wielkie, że Michael niemal rzucił się androidowi na szyję. Powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Musiałem wyjść – zająknął się i spojrzał odruchowo w górę, w stronę okna.

Macloud powędrował za jego wzrokiem. Musiał jednak przybliżyć się do Chandlera, by cokolwiek dojrzeć.

– Sprawdźmy to – powiedział beznamiętnym głosem i ruszył w stronę drzwi prowadzących do budynku, nie czekając na reakcję Chandlera.

Michael chwilę się wahał, ale w końcu uznał, że z Sandersem u boku będzie bardziej bezpieczny nawet w piekle niż sam na placu zabaw.

Weszli po schodach na piętro. Macloud, co dziwne, zachowywał się tak, jakby wcześniej nie dostrzegł w oknie czyjejś postaci. Chandler wyobrażał sobie, że Sanders wyciągnie broń i, jak to obrazowo pokazują w filmach, będzie przesuwiał się od ściany do ściany, badając ostrożnie teren. Android jednak parł uparcie do góry, nawet się nie rozglądając.

– To te drzwi – powiedział i otworzył je kopnięciem.

Nie zatrzymał się w progu, po prostu wszedł do środka. Michael ruszył jego śladem.

Najpierw uderzył go w nozdrza cierpki, duszący zapach. Dopiero potem zobaczył przewrócone krzesło i wiszące w powietrzu buty. Uniósł głowę, by zobaczyć mężczyznę wiszącego tuż pod sufitem na grubej linie.

Wtedy zwymiotował. Upadł na kolana wstrząsany konwulsjami.

Sanders przypatrzył się uważnie wisielcowi. Potem odsunął się i podszedł do ściany.

Michael przetarł załzawione oczy, chciał się wyczołgać z pokoju, ale jego wzrok przyciągnęły napisy, w które wpatrywał się Macloud.

Oni nas zabijają, ci co byli przed nami...  
Tracę zmysły... wszyscy stają się obcy...

W końcu Michael poczuł, jak Sanders pomaga mu wstać i wyprowadza na zewnątrz. Na schodach niemal się przewrócił. Przytrzymało go jednak stalowe ramię androida.

– Trzeba było nie włączyć się bez celu, Chandler...

Michael dałby głowę, że w głosie Maclouda pobrzmiewa sarkazm. Nie zastanawiał się jednak nad tym dłużej. Znów poczuł trupi odór. Teraz miał wrażenie, że całe miasto przesiąkło tym zapachem. Wyobraził sobie, że w każdym mieszkaniu czeka na nieostrożnego ciekawskiego podobna niespodzianka. Zwymiotował ponownie.

– Wracamy – zakomunikował Sanders i uniósł Michaela niczym piórko. – Na dziś wystarczy.

## ROZDZIAŁ 18

Widok zmaltretowanego Chandlera nie wzbudzał w nim litości. Czy on w ogóle miał prawo mieć tego rodzaju uczucia? Widział już nieraz zaprawionych w bojach gliniarzy którzy na widok rozkładającego się kolesia oddawali całą treść żołądka.

Maclouda zastanawiało jednak coś zupełnie innego. Przeznaczenie. Pierwszy raz zetknął się z taką historią. Oto Bogu ducha winny delikwent zostaje wplątany w historię bez wyjścia. Co by nie zrobił, zginie. Co gorsza, ma świadomość w jaki sposób i kiedy zakończy żywot. Macloud patrzył teraz na Chandlera jak na obiekt doświadczalny. Co sam zrobiłby na jego miejscu? Gdyby był człowiekiem, oczywiście?

Tego nie potrafił sobie wyobrazić. Widział w życiu i takich, którzy pod ostrzałem zdychali, zanim zostali choćby draśnięci. Zabijał ich strach. Byli inni, którzy prosili się o śmierć, jakby chcieli mieć tę formalność najszybciej z głowy. Wchodzili pod kule bo... no właśnie, tak bardzo się ich bab. A ten facet...

Być może Macloud poczuł coś na kształt podziwu. Chandler wyszedł na miasto, chociaż inni pewnie zamknęliby się w pokoju na cztery spusty. Co więcej, w ogóle pozwolił zaciągnąć się na tę planetę. To tak, jakby ktoś wszedł do pokoju, w którym odbywa się egzekucja, mając nadzieję, że wyrok który na nim ciąży, zostanie odwołany tuż przed wstrzyknięciem śmiertelnej dawki trucizny. Może ten Chandler to wariat?, pomyślał Sanders.

– Jesteś wariatem? – zapytał.

– Chyba tak. – Chandler zaśmiał się, był wciąż blady. Przynajmniej przestały męczyć go torsje.

Macloud skinął głową. Facet przynajmniej nie tracił pogody ducha.

– Poczekam, aż dojdiesz do siebie. Powinniśmy spotkać się z Porterem. Musi wiedzieć o tym, co odkryłeś...

Tym razem to Chandler skinął głową. Przełknął ślinę. Pewnie gdyby miał jeszcze czym wymiotować, upstrzyłby dywan kolorowym haftem.

– Takie... sytuacje – odezwał się Chandler, gdy zwalczył słabość. – To dla ciebie normalka? Nie robią już na tobie wrażenia?

– Nigdy nie robiły... – Sanders wpatrywał się uważnie w mężczyznę siedzącego naprzeciw. Czasem miodzi wrażenie, że ten facet nie potrafi odróżnić człowieka od androida. Nie był jednak w stanie zdecydować, czy to dobra czy zła cecha. Dajmy na to te historie ze stewardesami z promu. Odczyt danych: podwyższone bicie serca, maślane oczy. Nie trzeba było analizować tych informacji, by wiedzieć, że zakochał się po uszy w androidzie. – Dziwny z ciebie człowiek, Chandler...

– Dziwny z ciebie android, Macloud – odwzajemnił się mężczyzna.

Macloud zastanowił się nad jego słowami.

– Może też jestem wariatem? – odpowiedział wbrew sobie.

– To by źle świadczyło o nas wszystkich i nie najlepiej wróżyło naszej misji, nie sądzisz?

Macloud nie odpowiedział. Był pewny, że Chandler nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, jaki tak naprawdę jest cel tej misji. Być może nie wiedział tego nawet Dave Porter, ani ten cholerny Pawłow. Przeznaczenie... Jeśli istnieje, to za kilka dni Chandler będzie trupem.

– Jakie jest moje przeznaczenie?

Macloud zawahał się. Zupełnie jakby facet czytał w jego myślach.

– Nie wiem, czym jest przeznaczenie... – odpowiedział.

– Mnie kojarzy się z sytuacją bez wyjścia. – Mężczyzna zaśmiał się cicho. – Co bym nie

zrobił... no... nie mam na nic wpływu. Wierzyłem bardziej, że moim przeznaczeniem będzie spotkanie pięknej kobiety, życie z nią... wiesz takie romantyczne badziwie.

– Romantyczne badziwie – Macloud powtórzył cicho słowa Chandlera.

– Ty znasz swoje przeznaczenie...

– Tak. – Macloud skinął głową. – Zostało określone w fabryce i w układach scalonych tego cholernego geniusza, który mnie zaprogramował.

– Przynajmniej nie czujesz rozterki. Robisz to, co umiesz najlepiej... To, do czego zostałeś stworzony...

Słowa Chandlera zaczęły budzić w Macloudzie obrzydzenie. Nie wiedział czy do tego faceta, czy do samego siebie.

– Myślisz, że ja zostałem stworzony do naciskania dwóch guzików? Czerwonego i niebieskiego? Przez całe życie dwóch pieprzonych guzików?

– Nie – odpowiedział krótko Sanders.

– Nie? – dopytywał się z nadzieją w głosie Michael.

– Twoim przeznaczeniem jest dziura w plecach i lodówka u Pawłowa...

Słowa Sandersa zawisły ciężko w powietrzu. Na szczęście w tym momencie do pokoju Chandlera wszedł Dave Porter.

## ROZDZIAŁ 19

Dave próbował przez kilka godzin połączyć się z Ziemią. Przez chwilę myślał, że Joan odłączyła videofon, ale nie działał nawet jego nadajnik nadprzestrzenny. Próbował skontaktować się z obsługą techniczną obiektu, jednak Zarg poinformował go, że to nic nie da. Zakłócenia powodował Czerwony Karzeł, akurat teraz destabilizował wszystkie pola transmisji.

Porter przyjął wyjaśnienie bez komentarza. Zrozumiał, że teraz zdani są na łaskę i niełaskę kanclerza. Nawet jeśli będą chcieli kogoś poprosić o pomoc, nie będą mieli na to najmniejszych szans.

Mężczyzna przerwał pracę w laboratorium. Miał ochotę na mocny trunek. Nalał do szklanki whisky i pociągnął długi łyk. Musiał przyznać, że na jakości napitków tu nie oszczędzano. Postanowił z tego skorzystać.

Zamyślił się. Nie wiedział, na co wcześniej liczył. Bardzo chciał zadzwonić do domu. Porozmawiać z żoną i córką. Być może dopadło go z wątplenie, czarne myśli niedające spokoju, odkąd zdecydował się na udział w misji.

Nie potrafił sam sobie udzielić odpowiedzi na proste pytanie. Czy mówił wtedy szczerze? Czy rozmawiając na kosmodromie z żoną, tuż przed wylotem, powiedział prawdę, kiedy obiecywał, że będzie to jego ostatni lot?

Być może Joan знаła go lepiej niż on sam. Oszukiwał sam siebie? Czy znów po tygodniu, miesiącu wróciłby jak pies do Pawłowa... Tutaj Porter zaśmiał się, upił kolejny łyk. Pies Pawłowa. Był właśnie takim psem. Na każde zawołanie, pupilek łasy na nagrody i pochwały. Pierwszy w kolejce do względów swojego pana.

Bał się czasem jak jasna cholera. Wiele razy, gdy wyjeżdżał na misję, strach nie pozwalał mu oddychać i trzeźwo myśleć. Dopiero gdy wpadał w rutynę, w wir pracy, gdy poczuł zapach miejscowego laboratorium, czuł się jak u siebie w domu.

U siebie w domu... Porter zaśmiał się cynicznie. Nie tam miał być jego dom.

Dolał trunku. Zrobiło mu się gorąco. Musiał podejść do okna. Zabezpieczenia pozwoliły mu je jedynie lekko uchylić. Powiewu wiatru i tak nie poczuł. W tym mieście wiatru nie było.

Joan miała rację. Nie odszedłby z OBP-u. Nie zająłby się pisaniem rozpraw naukowych, za żadne skarby nie przyjąłby cieplej posadki na uczelni. Wystarczyłaby jedna, krótka informacja od Pawłowa. Zagrożenie na jakimś zadupiu. Akcja, adrenalina...

– Przepraszam cię, Joan... – powiedział cicho i napił się za zdrowie jej i Andrei. – Przepraszam.

Zrobiło mu się żal samego siebie. To był jasne... On nigdy się nie zmieni.

Ruch nisko w dole na ulicy zaskoczył go. Był pewny, że widzi dwie postaci idące w stronę głównego wejścia. Czy to Macloud i Chandler?

Porter zabrał się do wyjścia, ale w drzwiach jeszcze się zawahał. Wrócił po butelkę i dopiero wtedy opuścił pokój.

## ROZDZIAŁ 20

– Miałem problem z trafieniem do ciebie. Najpierw poszedłem do Maclouda... – Porter zamilkł, gdy zobaczył, w jakim stanie jest Chandler.

– Chyba ty mu powiesz, Sanders – powiedział Michael. Był blady jak ściana. – W gadaniu jesteś całkiem niezły...

– Chłopak znalazł trupa... – skomentował krótko android. – Jak to trupa? – Porter zmarszczył brwi. Odstawił butelkę,

która miał pod pachą na stół.

– Mogę się napić? – Chandler wskazał trunek.

– Pewnie. – Dave popatrzył na niego ze współczuciem. – Bierz...

– Poszukam szklanki... a w tym czasie wy sobie pogadajcie... Chandler wstał z fotela i skierował się w stronę przenośnego barku. Bolała go głowa. Krew huczała w skroniach, jakby miała doprowadzić do eksplozji czaszki. Po chwili otworzył dolną szafkę i wyjął trzy szklanki z grubego szkła. Wziął też drugą butelkę takiej samej whisky, którą przyniósł doktor. Gdy wrócił do saloniku Macloud i Porter przerwali rozmowę.

– Już wiesz? – zapytał Chandler.

– To jest... to wszystko jest trochę zbyt pogmatwane – Porter zdobył się na szczerą. Z wdzięcznością przyjął szklankę, którą Michael napełnił. Macloud odmówił trunku.

– Rozumiesz, o co chodzi z tymi napisami? – zapytał Chandler, siadając na krześle.

Dave potrząsnął głową. Widać było, że nad czymś myśli, zawahał się.

– Odcięli nas tutaj... Nie mamy połączenia z Ziemią. Tak naprawdę nie mamy połączenia z nikim. Myślę, że zagłuszają wszystkie sygnały.

– Wpadliśmy jak śliwki w kompot. No może dwie śliwki i śrubka – zaśmiał się ze swojego żartu Chandler. Mocny trunek sprawił, że nagle zobojętniał na wszystko.

Macloud nie zareagował na docinek.

Porter spojrzał na androida i Chandlera, wyczuł, że doszło między nimi do spięcia.

– Jest tu jakiś podsłuch? – zapytał.

– Nie. – Sanders pokręcił głową. – Sprawdziłem nasze pokoje i korytarz. Nie podsłuchują nas, ani nie obserwują.

– W sumie nie muszą i tak są panami sytuacji. – Chandler wzruszył ramionami.

– Nikt po nas nie przyleci w ciągu najbliższych kilku dni – powiedział Dave po dłuższej chwili. – Może jeśli odnajdziemy maszynę... będę w stanie ją uruchomić i przerzucić nas do OBP-u.

– Chyba sam w to nie wierzysz – wypalił Michael.

– Może się udać, jeśli...

– Jeśli wcześniej nas nie wykończą... – Chandler przejechał dłonią przy swojej szyi, jakby podcinał gardło. Napił się ze szklanki i znów zachichotał.

– Rozumiem, że obaj sądzicie, że w całej sprawie maczają palce kanclerz i jego rada? – zapytał Macloud.

– Halo? – Chandler pomachał mu dłonią przed oczami. – Szanowny pan się obudzi, nie trzeba chyba mieć elektronowego mózgu, żeby połapać się w całej tej historii.

– Nie, wystarczy taki marny jak twój, Chandler – odpowiedział spokojnie Sanders. – Zmierzam do tego, że ani kanclerz, ani jego rada nie są dla nas zagrożeniem. Żaden z nich nie ma przeszkolenia wojskowego. Poradzę sobie z nimi...

– Jest tutaj czwarty szyb – wypalił Michael. Wstał jak gdyby nigdy nic i dolał sobie whisky.

Wyczuwał napięcie. Porter i Macloud czekali na ciąg dalszy. – Christina przewoziła ostatnio górników, którym udało się stąd uciec. Mówili mniej więcej to samo, co napisał... co napisał na ścianie ten, który się powiesił. Powiedzieli też, że ci, którzy znikali z miasta, pracują w czwartym, ukrytym szybie...

– A więc tam musi być ukryta maszyna. – Porter zapadł się głębiej w fotelu. Informacje przekazane przez Michaela przyjął bez zastrzeżeń. Właściwie spodziewał się czegoś podobnego.

– Nie wiadomo, ilu tych górników jest w zмовie z kanclerzem... z nimi też sobie poradzisz?  
– zapytał ostro Chandler.

Macloud nie odpowiedział.

– Co robimy? – zapytał Porter.

– Trzymamy się planu – powiedział Sanders i wstał ze swojego siedziska. – Maszyny jeszcze nie znaleźli, w innym wypadku już by się nas pozbyli. Mamy najwyżej 48 godzin, by znaleźć tę kupę złomu przed nimi i zrobić z niej użytek. Jeśli ją znajdziemy... dobrze by było Porter, żebyś potrafił jej użyć...

Po tych słowach Macloud wyszedł z pokoju, nie czekając na odpowiedź.



## ROZDZIAŁ 21

Chandler stał w jakimś ciemnym korytarzu. Szmaragdowa mgła utrudniała widzenie. Obłoki formowały się w fantastyczne kształty przypominające o dreszcze.

Próbował znaleźć wyjście. Sam nie wiedział, jak długo błądził. Może obracał się w koło? Te ściany były tak jednolite, pokoje i sale tak podobne do siebie...

Czuł zmęczenie, potworne zmęczenie, które kruszyło jego wolę. Najchętniej położyłby się spać tu i teraz, na zimnej kamiennej podłodze.

Duszący zapach otaczał go ze wszystkich stron. Co przypominała mu ta cierpka woń? To było odległe wrażenie, wspomnienie, które wyrzucił z pamięci. Dlaczego?

Zatrzymał się, oparł o ścianę. Bał się zamknąć oczy na dłuższą chwilę, jakby przeczuwał, że po ich ponownym otwarciu ciemności staną się nieprzeniknione, przytłoczą go, a on sam zniknie wraz z ostatnimi promieniami światła.

Zamarł. Do jego uszu doszedł niski, głęboki dźwięk. Gardłowy pomruk... wydawało się, że ktoś intonuje pieśń. Chandler ruszył w tym kierunku wbrew sobie. Wymacał w ścianie drzwi, pchnął je bez zastanowienia.

Owalny pokój, pośrodku masywne wirujące urządzenie, a wokół niego zgromadzone ciemne postaci. Chandler dopiero teraz przyjrzał im się bliżej. To z ich gardeł wydobywał się ten pomruk. Mężczyźni odziani w długie brunatne szaty. Unosili się nad ziemią. Przyczepieni do ściany, z opuszczonymi na piersi głowami. Przypominali lalki odłożone przez lalkarza.

Nagle urządzenie przestało wirować, ruch pierścieni zatrzymał się. Michael zobaczył, że we wnętrzu maszyny siedzi człowiek. Był pewny, że to Gordon Federlicht. Mężczyzna dzierżył w dłoni długi masywny kostur. Uderzył nim trzy razy w podłogę. Chandler chciał krzyknąć, ale zabrakło mu tchu w płucach...

Michael usiadł raptownie na łóżku. Był cały spocony, wciąż z trudem oddychał. Próbował uspokoić się, przetarł oczy, ale po chwili zamarł. Wydawało mu się, że znów usłyszał trzy miarowe uderzenia.

Podniósł się z łóżka. Ktoś pukał w drzwi. Podeszedł do nich ostrożnie i po chwili je otworzył. Twarz kanclerza wpatrywała się w niego uważnie z ekranu monitora, umieszczonego na korpusie robota.

– Panie Michaelu. Nie mogę pozwolić panu na nudę! – głos Gordona został wiernie przetworzony przez maszynę. Wydawało się, że kanclerz tkwi ukryty we wnętrzu mechanicznego służącego.

– Ależ ja się nie nudzę! – zaprzeczył Chandler aż nazbyt gwałtownie, jeszcze nie otrząsnął się z sennego koszmaru.

– Już grubo po południu. Zapewniam większe atrakcje niż słodkie sny. Chyba nie odmówi pan zaproszenia na herbatę?

Michael zawahał się. Bolała go głowa. W nocy przesadził z trunkami. Wypili z Porterem co najmniej trzy butelki. Właściwie już wtedy zaplanował, że nie ruszy się dzisiaj z pokoju.

– Czy Dave i Sanders zostali zaproszeni? – zapytał zachrypniętym głosem.

– Profesor Porter zajęty jest analizą danych tego swojego T-300, a pan Macloud... chadza własnymi ścieżkami. – Kanclerz uśmiechał się tajemniczo. – Wygląda więc na to, że będziemy tylko my dwaj. Ale to dobrze się składa, gdyż mam z panem do pomówienia.

– Rozumiem. – Michael rozważał przez chwilę wszystkie za i przeciw – Dobrze... tylko się ubiorę – zgodził się w końcu, choć coś mówiło mu, żeby tego nie robił.

– Świetnie! – Oczy kanclerza zabłysły zadowoleniem. – Ten robot doprowadzi pana na miejsce. Dziesięć minut wystarczy panu na przygotowanie się? Stroje wizytowe nie są obowiązkowe...

Chandler skrzywił się wymuszenie. Miał to być uśmiech, ale chyba za bardzo mu nie wyszedł.

– Wystarczy dziesięć minut – odpowiedział krótko.

Począł, aż twarz kanclerza zniknie z ekranu i wrócił do pokoju. Zamknął za sobą drzwi i oparł się o framugę. Poczł, że pot wystąpił mu na czoło. Stał go dłonią. Twarz Gordona Federlicha na ekranie monitora wytrąciła go z równowagi bardziej, niż chciał się do tego przyznać. Przypomniał mu się Pawłow. Zimny przekaz cyfrowy, zdominowany przez pustkę stalowych oczu. Co gorsza, jego wcześniejsze przypuszczenia potwierdzały się. Każdy z nich był uważnie obserwowany.

Chandler ubrał się i skierował do łazienki, gdzie przepłukał twarz zimną wodą. Z wahaniem spojrział w lustro. Bał się, że zobaczy tę samą pustkę, którą widział w oczach mieszkańców tej planety. To miejsce zmieniało ludzi, zaczynał to odczuwać na własnej skórze.

Robot czekał na niego przed drzwiami. Chandler ruszył z nim, walcząc z przygnębiającymi myślami. Z każdą chwilą ogarniały go coraz bardziej. Bał się. Bał się, że przywoła nimi prawdziwą tragedię. Był tak pochłonięty tymi rozważaniami, że w pierwszej chwili nawet nie zorientował się, że są na miejscu.

Został wprowadzony do urządzonej z przepychem sali. Puszyste dywany ułożone były na siebie grubymi warstwami. Mieszanka wzorów i odcieni dawała złudzenie ciągłego ruchu i falowania podłogi. Michael nie potrafił skupić wzroku na ociekających złotem draperiach, kasetonowych sufitach i zdobionych kolumnach. Robot nakazał mu iść dalej, sam został w tyle. Michael z wahaniem ruszył w stronę delikatnych, niebieskich zasłon oddzielających niewidoczną część sali. Przedzierał się przez kolejne warstwy. Muskały jego dłonie, ocierały się o ubranie, zostawiając po sobie delikatny zapach perfum.

Wreszcie przedarł się przez ostatnią jedwabną przeszkodę. Oślepiło go złociste światło wydobywające się z przeszklonej ściany. Kanclerz siedział oparty o jedną z wielkich poduszek, zdobionych perłami i cekinami. Ustnik wodnej fajki trzymał w ustach i z namaszczeniem wciągał jabłkowy dym, którego zapach dotarł do nozdrzy Chandlera.

– Proszę usiąść. – Federlicht szerokim gestem wskazał mu miejsce naprzeciw siebie.

Michael usadowił się na dywanie, wśród aksamitnych, różnobarwnych poduch. Naśladowując kanclerza, usiadł po turecku. Obu mężczyzn oddzielał teraz jedynie niski, mahoniowy stolik.

– Herbaty?

Pytanie zawisło w próżni. Chandler wpatrywał się w siedzącego przed nim mężczyznę. Nie mógł wyjść ze zdumienia. Dostrzegł ogromną różnicę między kanclerzem, którego poznał wczoraj, a tym, który dzisiaj występował w roli nieoficjalnej, przyjaznego i otwartego gospodarza. Znikła cała sztywność i oficjalność dostojnika. Uleciało gdzieś napięcie pergaminowej twarzy, zupełna obojętność i sztuczność. Przed Michaeliem siedział człowiek, z krwi i kości.

– Herbaty? – Kanclerz cierpliwie powtórzył pytanie.

Chandler skinął głową na znak zgody. Czajniczek uniósł się w powietrzu jak na zawołanie. Podpłynął do filizanki i gorący płyn przelał się do naczynia. Michael słyszał wcześniej o urządzeniach domowych łamiących zasady grawitacji, ale nigdy wcześniej nie był świadkiem ich działania.

– Dziękuję za zaproszenie. – Ponownie skinął lekko głową i podniósł filizankę do ust.

Aromatyczny płyn wypełnił jego usta. Smak wydawał się znajomy ale gdyby miał go

jednoznacznie określić, nigdy by tego nie dokonał. Przypominał wszystko, co znał. Nie było to wrażenie, które działało wyłącznie na kubki smakowe. Zupełnie nieoczekiwanie włączało receptory wewnątrz umysłu. Poruszyło pamięć i wspomnienia. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otworzyło bramę, przez którą wlała się horda obrazów, zapachów i emocji. Chandler poczuł smak pierwszego jabłka zerwanego z drzewa, smak porażki, sukcesu i pierwszej miłości. Gdy napój przechodził przez jego przełyk, poczuł także ostry ból. Ścianki gardła zacisnęły się, jakby nie chciały przyjąć płynu. Broniły dostępu do jego wnętrza. Ta walka trwała krótką chwilę. Michael otrząsnął się z tego wrażenia i przełknął kolejny łyk herbaty.

– To ja dziękuję, że przyjął pan zaproszenie. – Kanclerz dotknął otwartą dłonią swojej piersi i uklonił się. – Chciałem z panem pomówić, panie Chandler. Wyczułem pana otwarty umysł. Podobny do mojego...

– Dziękuję... za komplement. – Michael nie za bardzo wiedział, co może w tej chwili powiedzieć. Poczuł się dziwnie. Nie wiedział czy to pod wpływem spojrzenia kanclerza, czy z powodu napoju, który rozpałał jego wnętrze i nieoczekiwanie uderzał do głowy.

– Pana dusza jest równie stara, jak moja... – Dostojnik kontynuował swoją myśl. – Jediną różnicą jest to, że ja zdaję sobie z tego sprawę...

Chandler poczuł suchość w ustach. Sytuacja zaczynała być niezręczna. Zmusił się do wypicia resztki płynu. Filiżanka automatycznie została napełniona ponownie. Michael uśmiechnął się głupkowato.

– Nasze życie jest wędrówką. Podróżą pomiędzy miejscami, w które poniesie nas kosmiczna siła. – Usta kanclerza wydawały się nieruchome. W oczach Chandlera jego postać zdawała się unosić. Zupełnie tak, jak wcześniej czajniczek z herbatą. – Dusza jest niezniszczalna, Michaelu. To czysta energia, która krąży we wszechświecie. Tylko na krótką chwilę wybiera środek transportu, taki jak nasze ciała...

Chandler zauważył, że chwilami traci ostrość widzenia. Jednocześnie to wrażenie stało się dla niego obojętne. Postać kanclerza rozmazywała się i oddalała, tak jak ściany pomieszczenia, które złowroźnie pulsowały.

– Wybiera te kruche ciała, by potem je porzucić i ruszyć dalej...

Michael czuł, że krew huczy mu w uszach. Nagle uświadomił sobie obecność wszystkich tętniących życiem arterii. Odczuwał każdą molekułę swojego ciała, mógł dokładnie określić jej położenie i funkcję. Płyny przelewały się w organach, które kurczyły i rozkurczały się w rytm swojego biologicznego życia.

– Te ciała ograniczają nas. Dusze, wchodząc w nie, przyjmują wszystkie ułomności. Zapominają o wiedzy, doświadczeniu i sile, którą mają. Za każdym razem uczymy się wszystkiego od nowa!

Chandler odczuł w tej chwili niesamowitą wrażliwość na bodźce zewnętrzne. Chropowatość materiału spodni, na których trzymał dłonie. Nierówności poduszki, która wbijała mu się w plecy niczym naostrzony nóż. Dywan, na którym siedział, zdawał się poruszać. Delikatne włoski przesuwają się wolno we wszystkich kierunkach. Skrzypiały drzwi z tyłu pomieszczenia. Delikatny przeciąg płynął powietrznym kanałem przy ścianie, koło rzędu marmurowych kolumn.

Coś wśliznęło się do jego umysłu. Nie był już władcą swego ciała. Chciał zmusić je do ucieczki, ale odmówiło posłuszeństwa. Nagle zobojętniało. Pozostawiło go samemu sobie.

– Dopiero umierając, pojmujemy wszystko i próbujemy jeszcze raz i jeszcze raz, w nowych powłokach, w nowych życiach. A przecież to taka strata sił i czasu!

Michael słyszał słowa kanclerza coraz wyraźniej. Rozlegały się pod czaszką. Wbijały się, niczym tępe drzazgi, w delikatną tkanę mózgu. Dostojnik mówił, nie poruszając ustami. Uleciał gdzieś wcześniejszy obraz człowieka z krwi i kości. Prysło chwilowe złudzenie. Pustka i chłód

wróciły.

– Ze mną jest inaczej, Chandler. Ja wiem, jak pamiętać! Wiem, jak umrzeć, żeby nie stracić tego, czego nauczyłem się podczas swojego życia. Jestem jedynym Pamiętającym!

– Po co mi to mówisz? – Chandler nie był pewien, czy zmusił struny głosowe i usta do zadania tego pytania, czy też je pomyślał.

– Po co? – Słowa kanclerza przeszły mózg Michaela, jakby ktoś krzyknął przeraźliwie tuż przy jego uchu. – Jesteśmy oszukiwani! Gdy umierasz, stajesz się zwykłą energią. Masz wszechwiedzę swoich wszystkich żyć i wcieleń, ale nie możesz jej wykorzystać! Rodzisz się ponownie i wszystko zapominasz. Uczysz się mówić, chodzić, a potem znowu umierasz. I wszystko od początku! Zwariowane koło życia i śmierci! Zupełny bezsens tego wszechświata. Pomyśl tylko, co można osiągnąć, gdy zachowa się ciągłość wiedzy i pamięci. Ponowne narodziny, to taka złośliwość, ogranicznik, lizanie cukierka przez papierek. Gdyby było inaczej, byłbyś bogiem! Przechodząc z ciała do ciała, pamiętasz wszystko! Jesteś świadomy! To jest właśnie boska siła!

Spod poduszki wysunął się tłusty zielony wąż. Przez chwilę żółte ślepia wpatrywały się w Chandlera, a potem gad wpił ogromne kły w jego udo. Michael nie poczuł bólu. Zdawał sobie sprawę, że to tylko złudzenie.

– Czas Gordona Federlichta się kończy. – Kanclerz kontynuował żarliwą przemowę. – Już niedługo to ciało zamieni się w proch. Było już bardzo stare, gdy objąłem nad nim władzę. Spełniło jednak swoją rolę. A teraz potrzebna jest zmiana...

– Zmiana? – Chandlera przeszły chłód. Spanikował. Coś opanowywało jego umysł. Jakiś cień zajmował zakamarki jego mózgu, zaczynał sterować jego reakcjami i emocjami.

– Potrzebuję twojego ciała, Michaelu. Idealnie się nadaje...

Michael próbował walczyć z ogarniającym go bezwładem.

Wydawało mu się, że lada moment popadnie w stan nieświadomości i kanclerz zupełnie przejmie władzę nad jego umysłem.

– Nie pozwolę na to!

Federlicht roześmiał się chrapliwie.

– Chyba niewiele masz do powiedzenia. To nie potrwa długo. Katalizator nawet jeszcze dobrze nie zaczął działać. – Dostojnik wskazał na filizankę z parującym płynem.

Michael zadławił się. Próbował zwrócić płyn, który miał w żołądku.

– Co z Porterem i Sandersem? – wyjąkał w końcu. Na krótką chwilę przewyciężył opór strun głosowych.

– A co ma z nimi być? – Kanclerz uśmiechnął się pobłaźliwie. – Na razie nic. Szukają tego, czego szukam i ja. Może będą mieli więcej szczęścia i dotrą do maszyny pierwsi? Nawet nie wiedzą, jak bardzo by mi pomogli. Ale w to raczej wątpię...

– Będą mnie szukać!

– Ależ nic z tych rzeczy, wcale nie muszą. Przecież rano do nich dołączysz. Nawet nie zorientują się, że się zmieniłeś. Nie zauważą, że z przemiłego Michaela Chandlera zrobiła się zwykła, bezwolna marionetka. Będę zmuszony pozostawić rzeczy takimi przez jakiś czas. Nie mogę opuścić ciała Federlichta, dopóki nie odnajdę maszyny, ale potem? Potem przejmę we władanie twoje ciało, Chandler. Sadzę, że ten czas się zbliża, twoja męka nie potrwa długo.

– Kim jesteś? – Opór Chandlera słabł z każdą chwilą. Miał wrażenie, że jego umysł oddziela się od ciała, które nagle stało się obce i zimne.

– Chcesz wiedzieć? – W oczach kanclerza pojawił się dziwny błysk. – Naprawdę chcesz wiedzieć?

Chandler skinął głową. To wystarczyło. Momentalnie uderzył go wyraźny obraz.

Nierzeczywisty i odległy, jakby obserwował go obcymi oczami. W centralnym punkcie pomieszczenia, na metalowym stelażu, umieszczona była pulsująca światłem kula. Musiała mieć około dziesięciu metrów średnicy. Wolno obracała się wokół swojej osi. Powietrze w pomieszczeniu wibrowało od nagromadzonej energii. Głuche pomruki i trzask wyładowań powtarzały się regularnie. Niebieskie zygzaki pełzały po ścianach i suficie. Nagle nastąpiła gwałtowna zmiana. Kula zwolniła, a potem zupełnie się zatrzymała. Na jej powierzchni pojawiła się rysa. Bardzo wyraźna. Poszerzała się błyskawicznie, aż w końcu rozpadła się, jakby ktoś jednym, chirurgicznym cięciem przedzielił ją na pół. Równe części odłączyły się od siebie i powędrowały w przeciwległe strony pomieszczenia. W środku jednej z połówek siedziała postać. Nie przypominała w niczym człowieka. Ze zdeformowanej czaszki, obciągniętej szarą skórą patrzyły żółte, wylupiane oczy, osadzone bardzo wysoko, nad czymś co mogło być jedynie karykaturą nosa. Twarz wykrzywiał grymas, który mógł oznaczać bezbrzeżne zadowolenie.

– Udało się?

Do Chandlera dotarł głos w obcym języku, który w niewyjaśniony sposób zrozumiał.

– Tak, Nargo! – odpowiedział osobnik, którego wcześniej nie dostrzegł. Michael zrozumiał, że to jego oczami właśnie patrzy teraz na rozgrywającą się scenę. – Zawładnąłeś wszystkimi umysłami w ponad godzinę! To diabelska maszyna!

– Podbijemy planetę po planecie, każdą obmierzłą rasę... – Wilgotne oczy obcego pały szaleńczym blaskiem.

Obraz zmienił się bardzo gwałtownie. Przyszła kolejna wizja. Michael zobaczył podziemne miasto i tłumy przerażonych postaci. Próbowaly uciekać, ale promienie laserów dosięgały ich, pozostawiając za sobą jedynie zwęglone szczątki. Otaczające go budynki waliły się, grzebiąc pod gruzami śpiących mieszkańców. Ogień trawił miasto, wypalał je jak żywą pochodnię. Ten sam osobnik, którego widział przed chwilą, Nargo, zginął w podobnie przerażający sposób. Strawił go ogień prowadzony przez wojsko, wycinające w pień wszystko, co się ruszało.

Chandler poczuł niemal smród palącego się żywego mięsa. Ten wstrząs odrzucił od niego wizję. Znow znalazł się w sali, oparty o te same miękkie poduszki. Patrzył wprost w twarz kanclerza.

– Zabili wszystkich. Jednego po drugim, bez litości. Także, Nargo! – Z płuc dostojnika wydobył się przeciągły nie ludzki syk.

– Ale ty przetrwałeś? Jak ci się to udało? – pomyślał Michael. Nie był w stanie samodzielnie zadać pytania. Jego szczęki stanowiły w tej chwili jedynie zbitek zaciśniętych mięśni.

Kanclerz zaśmiał się demonicznie. Zbliżył swoją twarz do twarzy Michaela.

– Przetrwałem. Musiałem przetrwać – powiedział. – Nikt nie spodziewał się ataku karnej ekspedycji z naszej rodzimej planety. Nazwali nas buntownikami. Potraktowali jak sektę. Nie mieliśmy czasu na reakcję... Nargo w ostatniej chwili wpadł na ten pomysł. Rozdzieliliśmy transponder, każdy z nas ukrył swoją część w sobie tylko znanym miejscu. Ja wybrałem kryjówkę głęboko pod ziemią, zasypałem do niej dostęp i zamknąłem się w maszynie. Wiedziałem, że to jedyna szansa na przetrwanie. Moje ciało mogło umrzeć, ale dusza, dzięki właściwościom transpondera, pozostała świadoma przez setki lat...

Mężczyzna zrobił przerwę. Oddychał z trudem. Było widać, że mówienie sprawia mu trudność.

– Aż wreszcie, kilka miesięcy temu, odnalazła mnie wasza rasa. Kilku górników odkryło kryjówkę. Otworzyli tajemne przejście i weszli w mój świat. Na to czekałem. Gdy tylko Gordon Federlicht znalazł się w pobliżu, wniknąłem w jego umysł i zawładnąłem ciałem.

– A teraz? Teraz szukasz drugiej części maszyny? – Dłoń Michaela wbrew jego woli sięgnęła po filiżankę.

– Tak! – kanclerz wychrypiął kolejne słowa. – Nargo ukrył ją dobrze, ale jesteśmy na tropie... to kwestia kilku dni...

Chandler osłabł, zrobiło mu się niedobrze. Szare punkciki przesunęły się przed jego oczami. Wirowały raz wolniej, raz szybciej, nie miał nad nimi kontroli.

– Więc to coś więcej niż... transmiter? – Michael nie mógł oderwać wzroku od węża, który znów pojawił się, nie wiadomo skąd. Prześlizgiwał się po stoliku, zgrabnie omijając nagromadzone na nim naczynia.

– Transmitter?! – Kanclerz zaśmiał się. – To potężna broń, Michaelu. Broń umysłu! W niewyobrażalny sposób wzmacnia siłę woli. Dzięki niej będę mógł zawładnąć każdą planetą, wszystkimi mieszkańcami. W jednej chwili staną się posłuszni moim rozkazom. A zacznę od was! Od Ziemi!

Kurcz żołądka zgiął Chandlera w pół. Zwymiotował. Z mokrej podłogi wyrosły żółtoniebieskie kwiatki. Zauważył ze zdziwieniem, że tworzą niesamowitą kompozycję z kolorowym dywanem.

– Jak zawładnąłeś górnikiemami? Też częstowałeś ich herbatką? – wykrztusił.

– Właśnie tak! – suchy rechot odbił się od ścian pomieszczenia. – Najprostsze sposoby są najlepsze. To taki środek zastępczy, zanim uruchomię maszynę. Prawda, że dobrze zaparzona?

Chandler zrozumiał, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazł. Jak bardzo naiwni byli, wierząc, że ich misja się powiedzie. Zastanawiał się jedynie, czy kanclerz wie już o wszystkim, czy znał powód, który zmusił Portera i Sandersa do przylotu na tę planetę.

– Wiele bym dał za pana myśli! – Dostojnik, nie zdając sobie z tego sprawy, rozwiął jego obawy. – Niestety czytać w nich nie potrafię. Ale jutro powie mi pan wszystko, wszystko, czego zażądam...

Filizanka znów powędrowała do ust Chandlera. Michael próbował wypluć palący płyn, ale i tym razem mu się nie udało.

– Idź do swojego pokoju, Michaelu. – Kanclerz uśmiechnął się. – Musisz wypocząć. Jutro czeka cię kolejny ciężki dzień. Ale o tym, jak będzie wyglądał, zdecyduje ja sam...

Ciało Chandlera posłuchało rozkazu. Gwałtownie wstało, obróciło się na pięcie i chwiejnie wymaszerowało z pokoju. Przeszło przez płataninę korytarzy i dotarło do właściwego pokoju. Potem przebrało się w pidżamę, położyło na łóżku, zamknęło oczy, a przerażony Michael mógł jedynie pogrążyć się w mrocznej pustce.

## ROZDZIAŁ 22

Na monitorze zapaliła się ostrzegawcza lampka. Kilka sekund później dołączył do niej cichy dźwięk alarmu. Dave przerwał pracę i z zainteresowaniem podszedł do biurka, na którym stało urządzenie komunikacyjne. Na monitorze pojawiły się kolejne linie danych przesyłanych przez T-300. Porter musiał wstrzymać przesuwanie ekranu, żeby bliżej przyjrzeć się wynikom. Zdziwił się. Czyżby rzeczywiście maszyna natrafiła na jakiś ślad? Zaskoczenie byłoby zupełne. W ogóle nie liczyli na taki łut szczęścia. T-300, krążąc po pustych szybach kopalni, miał jedynie wprowadzić jak najwięcej zamieszania. Jego misja była obliczona na zachowanie pozorów i ewentualne odwrócenie uwagi kanclerza i jego ludzi. Przynajmniej takie założenie przekazał im Pawłow.

Dave nakazał wydruk danych i przełączył się na bezpośrednią wizualizację z kamery roboczej T-300. Robot przeciskał się właśnie przez wąską szczelinę. Człowiek nie miałby szans tamtędy się przedostać. Dla T-300 stanowiło to zaledwie drobną niedogodność.

Obraz zatrzęsł się kilkakrotnie. Porter zdążył jednak zobaczyć, że korytarz, w którym znalazł się robot, stopniowo się rozszerza. Spojrzał na kartkę z danymi. Przebiegł je błyskawicznie wzrokiem. Oprócz kilku ciekawych pierwiastkowi złóż metali nic nie wskazywało na sukces. Już od kilku godzin stacja robocza zbierająca dane wypływała z siebie informacje o składzie chemicznym powietrza, grubości skał, warstwach złóż. W nich także nie było nic szczególnego.

Porter spojrział jeszcze raz na monitor i wstrzymał oddech. T-300 znalazł się w jakiejś wnęce. Przesuwał się powoli na jej środek. Zatrzymał się i obrzucił soczewką kamery sklepienie i otaczające go ściany. Fałszywy alarm.

Dave odwrócił się od monitora i powrócił do laboratoryjnego stołu. Pochylił się nad nim i zdjął lniane nakrycie. Jego praca była niemal na ukończeniu. Dokładnie startł, namoczoną w alkoholu gazą, część rozmazanego napisu. Potem poprawił go takim samym kolorem markera. Począł aż wyschnie i dopiął zamek kombinezonu.

W tej chwili rozległ się donośny dźwięk interkomu. Dave przeszedł do drugiego pokoju i odebrał rozmowę. Na monitorze pojawiła się postać Sandersa.

– Co się stało? – zapytał.

– Musimy porozmawiać. – Macloud nie patrzył wprost w kamerę. Uważnie obserwował korytarz. Nie był to najlepszy znak, coś się musiało stać.

– Dobrze. Daj mi minutę – poprosił Dave i przerwał połączenie.

Wrócił do laboratorium. Podszedł do stołu i wcisnął odpowiednią kombinację klawiszy w panelu sterującym. Błat uniósł się, a metalowa pokrywa zakryła osobnika, który na niej leżał. Pojemnik przesunął się w stronę ściany i znieruchomiał. Jedynie Porter znał kod umożliwiający poznanie jego zawartości. Stop, z którego pojemnik został wykonany, był odporny na prześwietlenia i wszelkie próby ingerencji w jego strukturę. Te zabezpieczenia Porter uznał za niezbędne i jak dotąd był z nich zadowolony. Jeszcze raz upewnił się, że o niczym nie zapomniał, a potem zamknął za sobą laboratorium i wyszedł na przywitanie Sandersa.

Macloud przywitał go chłodnym spojrzeniem. Porter niemal wyczuwał jego napięcie. Nie były to nerwy. Gdyby Dave miał obrazowo opisać swoje obserwacje powiedziałby że Sanders przypomina raczej zapaśnika przed decydującą walką.

– Zaczęło się – poinformował go android mechanicznie. Zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się, gdy próbował odczytać reakcję Portera.

Dave skinął ze zrozumieniem głową. Nie odezwał się. Słowa Sandersa zabrzmiały jak wyrok. Znaleźli się w miejscu, z którego nie było już odwrotu. Oczekiwał, że prędzej czy później musi

nadejść ta chwila. I stało się. Zastanawiał się jedynie, czy wytrzyma, czy nerwy nie zawiodą go wtedy, kiedy będzie najbardziej potrzebny. Kolejne decyzje będą determinowały przyszłość każdego z nich. Wpadną w wir wydarzeń, których konsekwencje mogą okazać się tragiczne. Porter nie wiedział nawet, czy plan, który obmyślił ma szanse powodzenia. Być może przecenił swoje siły, dar przewidywania i okaże się, że wziął za dużo na swoje barki. Postępował intuicyjnie. Tak podpowiadał mu wewnętrzny głos. Jednak, gdy stanął w obliczu konfrontacji z rzeczywistością, zwątpił. Strach chwycił go za gardło. Choć wcześniej wszystko wydawało mu się logiczne i proste, teraz dopadły go wątpliwości. Każde z założeń, na których opierał swoje dotychczasowe działania, mogło być błędne. W każdej chwili misterna sieć, którą z wysiłkiem tkął jak pracowity pająk, mogła zostać przerwana. A to oznaczałoby wyrok. Nie tylko na Chandlerze, ale także na nim i Macloudzie...

– Michael zniknął z pokoju. Tak jak się spodziewaliśmy. – Sanders przyjął milczenie Portera za znak, że może przejąć inicjatywę i udzielić dalszych informacji. Spojrzał na urządzenie, którego nie wypuszczał z dłoni już od dłuższego czasu. – Detektor wszczepiony w ubrania działa bez zarzutu. Musimy działać. Chandler... albo jego ciało, przesuwać się w stronę Kosmoportu.

Porter wiedział, co Macloud ma na myśli. Michael Chandler mógł zostać zabity. Dave był jednak pewien, że tak się nie stało. Ta pewność pozwoliła mu znów uwierzyć w siebie. Przejął detektor z rąk Sandersa i powiedział krótko:

– Idziemy.



## ROZDZIAŁ 23

Obudziło go szarpnięcie za ramię. Otworzył oczy. Próbował się poruszyć, ale ciało odmówiło posłuszeństwa. Ostrość widzenia wracała powoli. Dwie soczewki wpatrywały się w niego uważnie. Widział w nich swoje odbicie. Dopiero po chwili do mózgu Michaela doszedł obraz korpusu i zawieszanej nad jego twarzą głowy robota.

– Niedobrze, niedobrze... – wymamrotała maszyna. – Źle z panem, tak jak z tamtymi, bardzo źle... – Metalowa głowa nerwowo obracała się na boki. – Panienska Christina kazała się opiekować. Rob zawiódł. Co teraz zrobić?! Niedobrze, niedobrze...

Chandler próbował coś powiedzieć, ale nie potrafił otworzyć ust. Miał wrażenie, że ciało leżące na posłaniu nie należy już do niego. Było ciężkie jak kamień. Wydawało mu się, że lada chwila jego dusza oderwie się od zmartwiałego korpusu i uniesie w powietrze.

– Rob uratuje! – Robot nagle podjął decyzję. – Pan Michael się nie martwi! Rob wie, co robić.

Maszyna znikła z pola widzenia Michaela. W pokoju zapanował cisza. Nagle jego nogi powędrowały w górę. Zorientował się, że ktoś go ubiera. Kątem oka dostrzegł leżący na posłaniu szary kombinezon. Coś mu przypominał. Michael chciał krzyknąć, zaprotestować, ale nie potrafił. Ten kombinezon. Widział go kilka dni temu w kostnicy. Był identyczny. To co robił w tej chwili Rob, było jak wyrok śmierci. Ubierał żywego trupa w garnitur na ostatnią drogę.

Michael nagle uniósł się w powietrzu. W brzuchu poczuł ucisk, gdy metalowy bark robota wbił mu się w żebra. Rob przerzucił go sobie przez ramię i błyskawicznie wymaszerował z pokoju. Do Michaela dotarł, wstrząsany chaotycznym ruchem, widok przemieszczających się miarowo, metalowych stóp. Ponownie stracił świadomość.

Obrazy docierały do niego jak przez mgłę. Dalej wędrował na barkach Roba. Potrafił zanotować kilka zmian w otoczeniu. Kolejne kolory posadzki i dywanów przesuwały się w polu jego widzenia. Raz stał oparty o ścianę windy. Mało brakowało, a uderzyłby głową w drzwi, ale Rob złapał go w ostatniej chwili. Pamiętał, że wsiadali do kolejki, tej samej, którą przywieziono ich do miasta. Gdy siedział w fotelu, oparty policzkiem o szybę, zorientował się, że wjeżdżają na szczyt, w kierunku kosmodromu.

Z mamrotania Roba potrafił wyłowić kilka ważnych informacji. Nie mógł mu jednak na nie odpowiedzieć, ani tym bardziej się z nim porozumieć. Usta objęte były niewidzialną betonową obręczą, której nie potrafił skruszyć siłą woli.

– Najciemniej pod latarnią! – mówił Rob. – Tu nie odnajdą. Nie będą się spodziewali. Myśleli, że Rob taki głupi, że się nie zorientuje, że nie będzie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi!

Chandler nie miał pojęcia, o czym mówi ta szalona maszyna. Nie był też do końca pewny, czy to, że jego los spoczywa w rękach niezrównoważonego robota, jest najszcześniejszym zbiegiem okoliczności. Jaki miał jednak wybór? Musiał zdać się na jego łaskę. Jedyne, co mógł robić, to obserwować, co dzieje się wokół niego. Jednocześnie z całych sił próbował przebudzić ciało z letargu.

Rob przeniósł go przez terminal. Minał biurko, przy którym wypełniał swoje celne obowiązki. Stąd skierował się na zaplecze. Potem zszedł schodami w dół. Przeszedł przez drzwi z napisem „Wstęp wzbroniony” i ruszył wąskim korytarzem, zdecydowanie przyspieszając kroku.

– Rob musi ominąć kamery – informował szeptem, jakby chciał w ten sposób usprawiedliwić wszystkie swoje decyzje. – Nie mogą nas zobaczyć. Prześlizgniemy się do ukrytego szybu. Szybu numer cztery.

Chandler dopiero wtedy skojarzył wszystkie fakty. Czwarty szyb. O nim mówiła Christina. Tutaj według jej relacji Federlicht podejmował poszukiwania drugiej części maszyny. Jeśli rzeczywiście tak było, to wysiłki Portera i misja T-300 była zupełnie bezcelowa. Nie szukali tam, gdzie trzeba.

Minęli rzędy szafek wypełnionych jakimiś szpargałami. Rob przy jednej z nich zatrzymał się na dłużej. Przez chwilę majstrował coś przy półkach. Michael nie mógł za wiele dostrzec z pozycji, w jakiej się znajdował. W końcu do jego uszu doszedł zgrzyt i odgłos przesuwania po podłodze ciężkiego sprzętu. Robot ruszył przed siebie. Znaleźli się na stromych schodach. Temperatura powietrza podnosiła się. Do nozdrzy Michaela doszedł ten sam, zatechły zapach, który czuł poprzedniego dnia, w pierwszym szybie. Kroki Roba zadudniły ciężko na metalowym podłożu. Znow się zatrzymali.

– Zjeżdżamy w dół – mamrotał robot. – W dół, tak żeby nie mieli nad panem władzy... Rob nie pozwoli na to. Rob przypilnuje pana Chandlera, dopóki czary nie przestaną działać.

Winda ruszyła. Zjeżdżała bardzo powoli. A może Chandlerowi tak tylko się wydawało. Nie mógł zaczerpnąć powietrza. Czuł, że dłużej nie wytrzyma, przewieszony przez metalowy bark robota. Żebra wbijały mu się w płuca. Chciał krzyknąć z bólu, ale wydał z zaciśniętych zębów jedynie niekontrolowany syk. Winda stanęła. Rob ostrożnie ją opuścił. Rozejrzał się podejrzliwie wokół siebie i gdy upewnił się, że nic im nie grozi, ruszył biegiem w dół skarpy. Chandler podskakiwał na jego barkach, jak słomiana kukła.

Po jakichś trzystu metrach Rob wreszcie się zatrzymał. Być może nagle przypomniał sobie, że Chandler jest żywą istotą i ta podróż może źle odbić się na jego kondycji fizycznej. Zdjął go z pleców i oparł o kamienną ścianę. Przypatrywał mu się uważnie. Nerwowo potrząsał głową, jakby miał wyrzuty sumienia, że potraktował swojego pasażera tak obcesowo.

– Pan Chandler oddycha? – zapytał. – Nie dusi się? Tutaj powinno być sporo powietrza. Może trochę zatechłe, ale nie zaszkodzi. Stare turbiny wciąż działają. Zadbali o to dawno temu, tamta rasa...

Chandler próbował skupić wzrok na twarzy robota. Najchętniej powiedziałałby mu w tej chwili coś dosadnego. Chciał wrzasnąć, żeby go stąd zabierał i to jak najprędzej, nic go nie obchodziło to, że najciemniej jest pod latarnią. On przecież panicznie bał się ciemności! Jednak były to tylko marzenia. Teraz nie potrafił nawet groźnie spojrzeć. Poza tym widok za plecami Roba odwrócił jego uwagę. W oddali pojawił się nieregularny zarys, pozornie niepowiązanych ze sobą linii i kształtów. Fosforyzujące kontury wylaniały się z głębi, powoli wychodząc na pierwszy plan. Znaleźli się w okrytej potężnym sklepieniem jaskini. Było to niesamowite wrażenie. Ogromu przestrzeni, jaka rozciągała się przed nimi, Michael nie potrafił ogarnąć. Miał wrażenie, że zaraz oderwie się od skały i runie w dół.

Patrzył na miasto. Właściwie jego ruinę. Rumowisko, z którego dumnie sterczały resztki kamiennych wież i dachów. Zagruzowane ulice, biegnące w regularnych liniach na północ i południe, wschód oraz zachód. Budynki, w których ziały wielkie wypalone pod wpływem niewyobrażalnej temperatury dziury. Widział przewrócone ściany, przeorane płace i podwórka. Nad miastem rozciągała się różowa luna. Wydawało się, że budynki dalej płoną, a ulice wciąż są świadkami tragedii, która miała tu miejsce wiele setek lub tysięcy lat temu. W rzeczywistości miasto było zupełnie wymarłe. Panowała w nim grobowa cisza, niezakłócona nawet najmniejszym szmerem.

– Jesteśmy w podziemnym mieście. – Rob patrzył w dół z równą fascynacją, co Michael. – Najciemniej pod latarnią! Tu się ukryjemy dopóki nie stanie pan na nogi... Tutaj nas nie odnajdą!

Chandler znow powędrował na barki robota. Przynajmniej tym razem był wdzięczny że nie musi dalej patrzeć na przerażające zgliszcza. Poczul ponownie ból w żebrach i stracił

przytomność.

# CZEŚĆ 3

## ROZDZIAŁ 24

Wydawało mu się, że już tutaj był. Nie potrafił tylko określić czasu. Pozostawało wrażenie *deja vu*, niemal namacalne wspomnienie, którego kiedyś doświadczył. Znał te zasłony, jedwabne kotary oddzielające go od celu podróży. Zdzierał je, jedna po drugiej. Delikatny zapach pozostawał mu na dłoniach, twarzy i ubraniu.

Chandlera uderzył przepych sali. Tak jak wtedy. Wydawało się, dawno temu. Widział te same, nałożone na siebie grubymi warstwami, puszyste dywany. Mieszanień wzorów i odcieni. To samo złudzenie ciągłego ruchu i falowania podłogi.

Wreszcie zdarł ostatnią jedwabną chustę. Zmrużył oczy odruchowo oczekując oślepiającego światła, którego źródło znajdowało się za przeszkloną ścianą. Nic takiego jednak nie nastąpiło. *Deja vu* minęło. Zobaczył coś zupełnie innego. Zobaczył ją. Siedziała oparta o jedną z wielkich poduszek, zdobionych perłami i cekinami. Parującą filiżankę podniosła wolno do ust, przełykając gorący płyn. Jabłkowy zapach mikstury dotarł do nozdrzy Chandlera. Zaszło mu w ustach. On także odczuwał pragnienie.

Christina odstawiła filiżankę i spojrzała w jego stronę. Nie uśmiechała się. Dziwny wyraz jej oczu zmroził Michaelowi krew w żyłach. Dziewczyna wstała. Wolno uniosła się z poduszek i kusząco kołysząc biodrami ruszyła w jego stronę. Dopiero teraz dostrzegł, że ubrana była w przezroczystą suknię. Delikatna, jedwabna siateczka, przylegała do jej ciała, znacząc krągłości ramion, piersi i bioder. Czuł ciepło i zapach jej ciała. Teraz w jego żyłach nie płynęła krew, lecz roztopiony ołów.

Zatrzymała się na wyciągnięcie ręki. Dłonie oparła na płaskim brzuchu, przeciągając się jak kocica. Chandler nie mógł oderwać oczu od jej pełnych piersi i sterczących sutków. Wydawały się prosić, żeby je dotknął.

Chciał coś powiedzieć. Wydobyć z siebie głos, by przekazać jej, co czuje i jak bardzo jej pragnie. Nie mógł jednak wydobyć z siebie nawet kilku słów. Popatrzył jeszcze raz w oczy Christiny. Znow to dziwne uczucie chłodu. Próbował zrozumieć, co mu przypomina. Pustka, totalna głębia bez dna, przerażająca otchłań, w której ginęły dusze, jedna za drugą.

– Chodź do mnie – wyszeptwała.

W jej głosie wyczuł fałszywą nutę. Nie przypominała Christiny, którą znał.

– Chodź do mnie! Chcesz tego. Przecież wiem, że tego właśnie chcesz! – powtórzyła.

Chandler poczuł chłód. Mroźny wiatr bijący od jej ciała. Chciał obrócić się i rzucić do ucieczki, ale nie mógł.

– Jesteś w mojej władzy, Michaelu Chandlerze. – To nie był głos Christiny, należał do innego człowieka, którego Michael znał, kiedyś, bardzo dawno temu... – Przybądź do mnie. Bądź posłuszny moim rozkazom!

Twarz kobiety zaczęła się zmieniać. Znikła gdzieś łagodność rysów. Chuda broda wysunęła się do przodu. Nad nią wyrósł spiczasty nos. Spod jasnych włosów wyłoniło się wysokie czoło. Chandler poznał tę postać. Stał przed nim kanclerz. Gordon Federlicht we własnej osobie.

– Chodź do mnie! – powtórzył mężczyzna.

Znikł pokój, dywany, poduszki. Znaleźli się w ciemnej i wilgotnej jaskini. Ściany zdawały

się poruszać, przybliżać do siebie. Wydawało się, że łąda moment bezlitośnie zgmiotą Chandlera.

Kanclerz nachylił się nad nim. Michael niemal czuł siarczany oddech na swojej twarzy. Był pewien, że łąda moment mężczyzna wysie jego duszę.

– Wstań! – krzyknął Gordon Federlicht – I przyjdź do mnie!

Ciało Michaela gwałtownie się poruszyło. Uderzyło o coś twardego i zapewne to wyrwało go ze świata snu.

– Pan leży. Pan się nie rusza! – Nad Michaelem nachylał się Rob. Jego głowa nerwowo obracała się na metalowym korpusie. Widać było, że ze wszystkich sił próbuje opanować sytuację.

Jednak ciało Chandlera nie słuchało. Żyło własnym życiem. Próbowало wstać, wbrew woli jego właściciela. Poruszało się we wszystkie strony. Kończyny zginały się i rozkurczały. Głowa uderzała na boki, raniąc skórę o ostre krawędzie skały.

– Rob dobrze przywiązał. Nigdzie ciało pana Chandlera nie pójdzie! – Robot pogroził metalową pięścią niewidzialnemu wrogowi. – Wzywają pana Michaela, ale Rob nie pozwoli pójść!

Jednak związany korpus nie dawał za wygraną. Na usta Chandlera wystąpiła piana. Jego naskórek, zdarty w wielu miejscach, krwawił coraz obficie. Rob wpadł już niemal w panikę i nie wiadomo, jakby się to wszystko skończyło, gdyby Michael nagle nie znieruchomiał.

– Uwolnij mnie – powiedział.

Rob zrobił ruch w jego stronę, jakby chciał posłuchać. Szybko się jednak zreflektował i odskoczył od niego jak oparzony.

– Powiedziałem, uwolnij mnie! – z ust Chandlera wychodziły słowa, nad którymi nie miał władzy. W uszach wciąż brzmiał rozkaz kanclerza. Teraz głos w jego głowie kazał mu za wszelką cenę podnieść się i jak najszybciej przybyć do Gordona Federlichta.

– Pan Michael nie panuje nad ciałem i mową. Rob nic na to nie poradzi. Musimy czekać, dopóki opętanie nie minie.

Chandler słyszał, jak z jego własnych ust wychodzą niecenzuralne słowa. Kanclerz nie był telepatą, więc nie mógł wiedzieć, gdzie się znajduje Michael i dlaczego nie przychodzi na wezwanie. Mógł się jedynie domyślać, że coś powstrzymuje jego nową marionetkę. Głos w głowie Chandlera stawał się coraz bardziej natarczywy. Formował się w wyraźny nakaz. Michael za wszelką cenę miał znaleźć się u boku kanclerza. Sposób na wykonanie rozkazu pozostawiony został jemu.

Oczy Michaela zamknęły się. Twarz straciła wyraz. Oddychał miarowo, starając się uspokoić mocno bijące serce. Mimo że walczył z tym wszystkimi siłami, wiedział, że musi oszukać Roba. To było silniejsze od jego woli. Kanclerz sterował jego zachowaniem i emocjami za pomocą niewidocznych sznurków. Miał go pod pełną kontrolą.

– Co się stało? – Chandler otrząsnął się, jakby właśnie przebudził się z głębokiego snu. – Co ja tu robię?!

– He? – Rob wydał z siebie nieokreślony dźwięk.

– Dlaczego jestem związany? – Michael rozejrzał się wokół, nic nie rozumiejąc. Spojrzał na sznur, którym był owinięty, niby szczelnym kokonem.

– Wraca pan do przytomności? Tak, jak Rob mówił! – Robot zakręcił się wokół leżącego u jego stóp Chandlera. – Płyn przestaje działać!

– To ta herbata! – Michael mówił tak, jakby zrozumiał wszystko w mgnieniu oka. – Diabelski napój, który pozwolił mi kontrolować moje ciało!

– Tak, panie Michaelu! Właśnie tak się stało! Dobrze, że już wszystko z panem dobrze.

– Lepiej być nie może! – Chandler uśmiechnął się dziwnie. – A teraz rozwiąż mnie. Musimy ostrzec pozostałych!

– Dobrze, rozwiążę pana! – powiedział Rob. Nie ruszył się jednak z miejsca.

– Na co czekasz? – Michael próbował ponownie wstać.

– Nic. Tak sobie tylko... o czymś, pomyślałem. – Modułacja głosu robota nie spodobała się Chandlerowi.

– Pomyślisz później. Teraz nie ma na to czasu!

– Ma pan rację! Nie ma czasu! – Rob poparł go z zapalem. Dalej jednak pozostawał w bezruchu.

– Ty cholerny idioto! Rozwiąż mnie! – Michael wyrzucił z siebie słowa, jakby go parzyły w gardle.

– Rob się nie obraża. – Robot spokojnie kontynuował obserwację. – Rob wie, że pan Chandler nie odpowiada za te słowa. Przynajmniej Rob ma taką nadzieję...

Michaelem wstrząsnęły kolejne konwulsje. Jego ciało wiło się na kamiennej podłodze jak korpus zranionego węża. Potem nastąpiła cisza. Próbował wyłączyć myśli. Wyciszyć się. Odciać od wszystkiego, co go otaczało. Nie było to łatwe. Silny nakaz wciąż tłamsił jego wolę. Mętlik w głowie powiększał się coraz bardziej. Chandler walczył z tym ze wszystkich sił. Toczył batalię z samym sobą, ze swoim drugim ja. Drugim Michaelem Chandlerem, czarnym charakterem, który dążył do autodestrukcji. Pot wystąpił mu na czoło. Ciśnienie krwi zdawało się rozsadzać czaszkę. Słowa pojawiały się w jego umyśle, jedno po drugim. Odczuwał bezsilność, jakiej nigdy w życiu nie doświadczył. Sparaliżowane ciało spoczywało w bezruchu, niczym kłoda, jakby wykonane zostało z ołowiu. Bezgłośna walka toczyła się za to wewnątrz umysłu Chandlera. Walczył z niewidocznym przeciwnikiem, który wysysał z niego ostatnie siły. Aż w końcu Michael zapadł w letarg.

Gdy ponownie otworzył oczy, nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Rob dalej siedział w przepisowej odległości metra od niego. Nie spuszczał go z oczu.

Chandler wydobył z siebie cichy jęk. Bolał go każdy mięsień, czuł każdą najmniejszą kość w organizmie. Był zmęczony. Ta myśl przyszła nagle. Zdał sobie sprawę, że jego ciało nie jest tak bezwładne, jak wcześniej. Spróbował poruszyć palcem u nogi. Przez chwilę nic się nie działo. Gdy stracił już nadzieję, udało się. Niemal krzyknął z radości.

Za wszelką cenę musiał nabrać pewności. Przeszło mu przez myśl, że mogła to być tylko pułapka. Kanclerz zapewne domyślił się, co się z nim stało. Mógł poluznić sznurki, które sterowały ciałem Chandlera, żeby uspić jego czujność, a potem w najmniej spodziewanym momencie znów nim zawładnąć.

Zamknął oczy. Musiał się uspokoić. Szukał w umyśle czyjejs obecności. Wcześniej wiedział, że on tam jest. Zagnieździł się jak wielki, włochaty i plugawy robak. Wił się w zakamarkach jego umysłu. Kruszył wszystkie bariery, jakby były z papieru. Śmiał się z jego oporu, pokazując mu, jaką jest małą i nędzną istotą. Teraz Michael czuł spokój. Był tylko on i jego myśli. Proste i przejrzyste. Wiedział, że wygrał. Był znów panem siebie.

Poruszył się. Nie pomylił się. Znów miał władzę na swoim ciałem! Tego uczucia nie potrafił opisać. Jakby powrócił zza szklanej nieprzeniknionej bariery, w której mógł być dotąd jedynie biernym obserwatorem.

– Rob! – zachrypiął. Gardło bolało go niemiłosiernie. To niewątpliwie był efekt wcześniejszych rozpaczliwych krzyków.

– Musisz ostrzec Dave'a i Sandersa.

– Nie mogę, panie Michaelu – odpowiedział Rob ze smutkiem. Wyglądał na zrezygnowanego. – Musiałbym pana opuścić. Tego mi zrobić nie wolno.

– Musisz! Są w wielkim niebezpieczeństwie. – Chandler próbował mówić spokojnie, choć zdawał sobie sprawę, w jak poważnej sytuacji się znalazł.

– Gdyby tylko Rob miał komunikator. Połączyłby się z panem Porterem, ale nie ma...

– Więc mnie uwolnij – powiedział Michael tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Ależ nie mogę. Nie mam pewności, że pan Michael jest już panem Michaeliem!

– Musisz mnie uwolnić, Rob. Zastanów się! Przecież jeśli zginą Dave i Sanders, ja też nie utrzymam się długo przy życiu.

– No, tak. – Rob, przygnieciony tym argumentem, zasepił się. – Jednak jeśli pana uwolnię, a okaże się, że magiczny napój nadal działa to... na jedno wyjdzie!

– Rob... – Michael zdał sobie sprawę, że jeśli nie będzie bardziej przekonujący, robot go nie uwolni. – Jak mam cię przekonać? Jakiego dowodu potrzebujesz?

– Nie wiem – odpowiedział szczerze robot.

– Co to znaczy, nie wiesz?! – Chandler zmarszczył brwi. Chciał wyglądać groźnie. – Więc mogę tak leżeć do końca świata. Bo niby jak zorientujesz się, że już wszystko ze mną w porządku!?

Rob milczał. Znowu nerwowo obracał głową. Wyglądało na to, że zakłopotała go nagana w głosie Michaela.

– Chyba Rob nie przemyślał tego do końca... – odezwał się w końcu. – To dosyć trudna sprawa. Ale zapewniam, że nie będzie pan leżał do końca świata...

Chandler zamknął oczy. Ostatnio zbyt często czuł się bezsilny.

– Musisz zaryzykować, Rob – powiedział w końcu. – Musisz! Inaczej będziesz winny mojej śmierci.

– Pan Michael chce wzbudzić w Robie poczucie winy! – W głosie robota można było wyczuć skargę. – Nieładnie! Bardzo nieładnie. Rob przecież próbuje pomóc, ze wszystkich sił. Nic nie poradzi na to, że nie wie, co robić!

Robot uderzył się pięścią w głowę. Raz, a potem drugi. Zupełnie jak człowiek, który znalazł się w sytuacji bez wyjścia i czeka na gwałtowne olśnienie.

– Przepraszam... – Chandler otworzył oczy i westchnął. Przeszło mu przez myśl, że już wszystko stracone.

Rob nagle zeszytywniał. Podniósł się z kamienia, na którym siedział, i wystawił głowę w kierunku wylotu tunelu.

– Rob coś słyszy! – powiedział. – Zbliżają się ludzie. Dużo ludzi. Chyba szukają pana Michaela!

– Musisz mnie uwolnić, Rob! – Chandler przerzucił środek ciężkości na przód, próbując wstać. Opadł jednak bezwładnie na skałę.

Robot zniknął z pola widzenia. Wydawało się, że upłynęła wieczność, zanim ponownie znalazł się przy Michaelu.

– Musimy uciekać! – powiedział. – Rob już wie, że pan Michael jest sobą. Nikt dotąd Roba za nic nie przeprosił. To musi być pan Michael.

Chandler poczuł, jak krępujące ciało więzy puszczają. Jakby szczelny kokon wypuścił go na świat. Mógł znowu odetchnąć pełną piersią. Próbował wstać, ale zachwiał się i upadł na podłogę. Krew niemal zupełnie przestała krążyć w zdrtwiałych członkach.

Skrzywił się z bólu. Nerwowo próbował rozetrzeć nogi i ręce. Mrowienie pod skórą przyprawiło go niemal o szaleństwo.

– Musimy uciekać! – powtórzył Rob. Nie czekając na odpowiedź, uchwycił Chandlera pod ramiona i poniósł w stronę wyjścia.

Michael nie miał siły stawiać oporu. Znowu poczuł się jak kukła, gdy Rob wynosił go z

pomieszczenia. Wcześniej uznał to miejsce za skalną wnękę, teraz, z innej perspektywy, wyglądało raczej jak stary zapuszczony pokój, bez tynku i farby na ścianach.

Przesunęli się korytarzem w stronę okna. Dopiero tu Rob się zatrzymał. Obaj wyrzeli na zewnątrz. Michael zobaczył budynki i ulicę prowadzącą w głąb miasta. Właśnie nią przemieszczały się ruchliwe cienie. Krok za krokiem, wolno i nieuchronnie, niczym filmowe zombie. Przechodzili systematycznie od domu do domu, od drzwi do drzwi. Zmierzali prosto w ich stronę.

– Górnicy! – szepnął Michael. – Szukają nas!

– Tak – potwierdził Rob. – Oni też są pod władzą kanclerza!

– Jak im uciekniemy? – Chandler zważył w możliwość wyjścia z tej sytuacji.

– Są zbyt blisko. Zauważą nas – szepnął Rob. Zamilkł na chwilę, jakby zastanawiał się, co zrobić. – Pan Michael zostanie. Rob odwróci uwagę! – powiedział.

Zanim Chandler zdążył zareagować, Rob odstawił go na podłogę i wybiegł na zewnątrz. Zatrzymał się przez chwilę na środku ulicy, tak żeby mieć pewność, że górnicy go widzą. Gdy dotarły do niego pierwsze okrzyki, rzucił się do ucieczki. Błyskawicznie przebierał metalowymi nogami, oglądając się, co jakiś czas za siebie. Chwilami przystawał. Musiał upewnić się, że pogoń ruszyła za nim i że nie zostawi jej zbyt daleko w tyle.

Górnicy połknęli haczyk. Wszyscy jak jeden mąż rzucili się za robotem. Pędzili wielkimi susami w górę ulicy. Na ich twarzach malował się obłęd, a z oczu zionęła zupełna pustka. Gdy mijali dom, w którym ukrywał się Michael, wyglądali jak żywe marionetki, pociągane za niewidzialne sznurki. Z ich gardeł wydobywał się zwierzęcy ryk. Biegli z kilofami w rękach, niektórzy uzbrojeni byli w pałki, inni w strzelby. Wszyscy mieli tylko jeden cel. Odnaleźć ciało Michaela Chandlera.



## ROZDZIAŁ 25

Michael opuścił budynek, gdy pościg znikł mu z oczu. Wiedział, że nie jest już tu bezpieczny. W końcu mógł się spodziewać, że ktoś domyśli się, że warto przeszukać miejsce, w którym zobaczono robota po raz pierwszy.

Ruszył w dół ulicy. Świadomie wybrał ten kierunek. Budynki po tej stronie miasta zostały już przeszukane przez górników. Istniało mniejsze prawdopodobieństwo, że będą przechodzili tędy po raz kolejny.

Trzymał się blisko ścian. Starał się wtopić w otoczenie najlepiej, jak umiał. Wydrążone w skałach domy pochylały się nad nim. Świeciły czerwienią, od której bolały oczy. Większość zabudowań popadła w ruinę. Ogromne głązy stanowiące niegdyś dachy i ściany, leżały na ulicy, tarasując przejścia. Michael omijał je, starając się poruszać tak, by nie wywołać najmniejszego hałasu i być niewidocznym dla innych. Oddalał się szybko od miejsca, w którym ukrył go Rob. Skręcał w zaułki, kluczył, jak zwierzyna próbująca zgubić trop. W końcu zmęczony ukrył się w jednym ze zniszczonych budynków. Wszedł na piętro i usiadł przy oknie. Stąd miał doskonały widok na ulicę. Gdyby ktoś przeszukiwał ten rejon, Michael miał wystarczająco dużo czasu na reakcję i ucieczkę.

Męczyło go pragnienie. Głód i pragnienie. Był pewny że całkowicie stracił poczucie czasu. Nie tylko nie wiedział, czy jest teraz dzień, czy noc. Nie wiedział nawet, jak długo przebywał w letargu, pod wpływem podanego mu narkotyku. Równie dobrze mogło to być kilka godzin, dzień, a może nawet kilka dni.

Postanowił rozejrzeć się po pokoju. Resztki mebli leżały w nieładzie. Wyglądały tak, jakby zaledwie przed momentem ktoś splądrował pomieszczenie. Nie był to przyjemny widok. Połamane stoły i krzesła. Podarte ubrania, prześcieradło zrzuczone z łóżka i rozpruty materac, wyglądały tak, jakby ktoś celowo nad nimi się pastwił.

Michaela dopiero po chwili uderzyły te podobieństwa. Rasa, która zamieszkiwała planetę nie różniła się wiele od ludzi, takich jak on. Przeszedł korytarzem wzdłuż zniszczonych pokoi. Poruszał się tak, jakby ktoś wrzucił go do innej rzeczywistości. Niemal zapomniał, gdzie jest i dlaczego tu trafił. Przestał być ostrożny. To był jego błąd. Zamarł. Kątem oka zobaczył gwałtowny ruch po prawej stronie. Serce zabiło mu mocniej. Przyłgął plecami do ściany, starając się wstrzymać oddech. Czy został zauważony? Czy ktoś zaraz podniesie alarm? Jeśli tak, na pewno nie zdąży uciec. Jest na to zbyt słaby. Już teraz nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

Stał tak dłuższą chwilę. Nie ruszał się, próbując wyłowić najmniejsze szmery. Miał wrażenie, że ktoś czai się za drzwiami. Wyczuwał jego obecność i bicie serca.

W końcu się przełamał. Przesunął ostrożnie stopy, starając się nie wywołać najmniejszego hałasu. Wstrzymał oddech i wychylił głowę z kryjówki. Omiotł wzrokiem białe szafki i starą, ścienną lampę z rozerwanym kloszem. Nie dojrzał nic szczególnego. W końcu zebrał się na odwagę i stanął w drzwiach. Wtedy go zobaczył. Chudą postać, stojącą naprzeciw. Była przerażająca, tak jak jej postrzępione ubranie, brudna, zarośnięta twarz i rozgorączkowane oczy. Michael krzyknął ze strachu. Z trudem rozpoznał swoje lustrzane odbicie.

Dotknął twarzy drżącymi palcami. Łzy mimowolnie spłynęły po jego policzkach, rozmazując szarym potokiem nagromadzony na nich kurz. Zarost mógł mieć nawet kilka dni. Jeśli te przypuszczenia były słuszne, Sanders i Porter najprawdopodobniej już dawno znaleźli się w rękach kanclerza. Można było przypuszczać, że nie zostawił ich przy życiu. Było za późno, żeby im pomóc. A to znaczyło, że i dla niego nie ma ratunku.

\* \* \*

Odnalazł łazienkę. Przemył twarz w zimnej wodzie wypływającej z kamiennej rynny. Poczul się lepiej. Napelnił wodą butelkę, na którą natknął się w ocalałej kuchennej szafce i wrócił na miejsce przy oknie. Ulica była pusta i cicha. Wyglądała tak samo ponuro, jak wcześniej. Nie zaszły na niej żadne zmiany. Nie było słońca, które mogłoby przesuwając cienie ulicznych budynków, nie było wiatru, który wprowadziłby w ruch szyldy czy papiery leżące na ulicy. Wszystko sprawiało wrażenie, jakby było zanurzone w gęstej zawieszynie, w gorącym palącym przetyk powietrzu. Właśnie ten zaduch był najgorszy.

Chandler zamyślił się. Musiał podjąć jakąś decyzję. Nie mógł zostać tutaj na zawsze. Prędzej czy później ekipy poszukujące trafią w to miejsce. Znajdą go i najpewniej zabiją. Jaką miał jednak podjąć decyzję? Wcześniej wydawało mu się, że najważniejsze to odnaleźć Dave'a i Sandersa. Gdy znajdzie się wśród nich, podejmą decyzję za niego i wybawią z opresji. Teraz nie mógł na to liczyć. Musiał polegać na sobie.

Przełknął kolejny łyk wody. Ponownie znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Nie miał szans na ucieczkę z tej planety, a ukrywanie się nie mogło trwać wiecznie. Gdyby mógł tylko coś zmienić.

Nagle powziął decyzję. Rozwiązanie przyszło samo. W końcu nie miał nic do stracenia. Bierność mogła jedynie przyspieszyć jego koniec. Jeśli zdecyduje się na działanie, będzie miał jakiś cel i przynajmniej nikłe szanse na powodzenie.

Wyjrzał ponownie przez okno. W samą porę. Coś poruszyło się u wylotu ulicy. Błyskawicznie przemknęło między gruzami. Chandler wstał. Dławiący strach powrócił. Wyteżył wzrok, próbując cokolwiek dostrzec. Oczy rozbolały go z wysiłku. Zaczęły łzawić. Pomyślał, że to złudzenie. Przewidzenie, wywołane napięciem. Ruch jednak powtórzył się. Z bramy jednego z budynków wyskoczył metalowy kształt. Poruszał się sprawnie, chwilami przystawał, rozglądając się uważnie wokół siebie. Michael zamarł, przylgnął do ściany, obserwując dalszy rozwój wypadków. Bał się zdradzić gwałtowniejszym ruchem swoją kryjówkę.

Robot przesunął się systematycznie wzdłuż ulicy. Czujniki na jego korpusie błyszcząły złowieszczo. Lampki gasły i zapalały się miarowo, jakby wysyłając w przestrzeń tajemnicze sygnały. Chandler rozpoznał go, nie miał najmniejszych wątpliwości. Do jego budynku zbliżał się T-300.

Ta chwila była jak dar z niebios. Wystarczyła, by w głowie Michaela pojawił się cień nadziei. Więc nie wszystko było stracone. T-300 był sterowany przez Dave'a. Być może jakimś cudem Porter i Macloud przetrwali i teraz wysłali robota, żeby go odnalazł? Wybiegł z pokoju. Potykając się na korytarzu, dopadł schodów. Przeskakując rozrzucone na stopniach sprzęty, zbiegł w dół, do drzwi. Już po chwili wypadł na ulicę. T-300 musiał go zauważyć. Zmierzał wprost w jego stronę!

Michael stanął na środku ulicy. Niezgrabnie podskoczył i zamachał rękami. Wiedział, że robot miał zamontowaną kamerę. Być może teraz Dave i Sanders obserwują go na ekranie monitora. Przyjdą mu z pomocą. Wreszcie skończy się ten cały dramat.

Jednak euforia minęła tak szybko, jak się pojawiła. Chandler zważył. Co innego przyszło mu do głowy. Wcześniej nie myślał nad konsekwencją swoich reakcji. Przyszedł impuls, któremu się nie oparł. Być może podświadomie czekał na ten cud i gdy pojawiła się nikła szansa na jego spełnienie, poddał się biegowi wydarzeń. A przecież T-300 mógł już dawno wpaść w łapy ludzi kanclerza. Teraz równie dobrze zamiast Portera i Maclouda ekran monitora mógł obserwować Gordon Federlicht.

Michael opuścił ręce. Na ukrycie się było już za późno. T-300 znajdował się zaledwie dziesięć metrów od niego. Nie zwalniał. Parł niezłomnie w jego stronę. Michael zacisnął szczęki

i przymknął oczy. Spodziewał się teraz najgorszego. T-300 mógł go unieszkodliwić bez najmniejszego problemu. Był szybszy i bardziej sprawny, niż niejeden człowiek.

Szum akumulatorów i zgrzyt metalu rozległ się tuż obok. Michael skurczył się odruchowo, oczekując decydującego ciosu. Nic takiego nie nastąpiło. Pęd powietrza musnął go z lewej strony. Otworzył oczy. T-300 przeszedł obok, kontynuując mozolne zbieranie danych.

Michael zdębiał. Tego się nie spodziewał. W scenariuszu, który przed chwilą przyszedł mu do głowy widział swoje ciało bezwładnie rozciągnięte na chodniku. Konsternacja na szczęście nie trwała długo. Obrócił się na pięcie i rzucił w pogoń, za błyskawicznie przemieszczającym się robotem. Wiedział, co teraz musi zrobić. T-300 musiał dysponować nadajnikiem satelitarnym. To była jego jedyna szansa. Jeśli chciał przeżyć, powinien spróbować skontaktować się z Davem. Gdyby to okazało się niemożliwe zawsze mógł spróbować połączenia z najbliższym statkiem międzygwiezdnym i prosić o pomoc.

– T-300! Polecenie. Stój! – Chandler pędził ulicą ile sił w nogach. Omijał dziury i przeskakiwał większe głązy. – Zatrzymaj się!

Robot nie reagował. Niezłomnie parł naprzód, trasą wytyczoną przez elektronowy mózg.

– Stój! – Chandler spróbował dosięgnąć wypustki z tyłu pancerza. Palce ześlizgnęły się jednak z metalu. – Stój, do jasnej cholery! – wycharczał, goniąc już resztką sił.

Przyszło mu do głowy, że T-300 reaguje tylko na głos Portera. Było to możliwe. Dodatkowe zabezpieczenie podjęte przez przewidującego naukowca. Musiał jednak, do cholery, istnieć jeszcze jakiś inny sposób na zatrzymanie tej maszyny.

– Zatrzymaj się! – Chandler chwycił stalowe ramię T-300. Maszyna wprawnym ruchem wyrwała się, zdzierając mu skórę z dłoni.

Skęcili w boczną uliczkę. Tutaj wyższe piętra budynków były całkowicie zniszczone. Wyglądało to makabrycznie, jakby jakiś olbrzym wyrwał dachy i dla zabawy rozrzucił je wokół siebie.

Ciemne plamy zawirowały przed oczami Michaela. Ostatkiem sił rzucił się na robota, starając się wskoczyć mu na plecy. Ciężkie nogi odmówiły jednak posłuszeństwa. Stopa zahaczyła o kamienny blok i Chandler z całej siły uderzył o ziemię.

W tej samej chwili u wylotu ulicy rozległy się okrzyki. Michael zamarł. Podczas gonitwy zapomniał, że miasto patrolują górnicy. Był nieostrożny i teraz to się zemściło. Skręcając w boczne uliczki, musiał natknąć się na któryś z patroli. Podniósł ostrożnie głowę. Nie był w stanie nic dostrzec. Ściana zrujnowanego budynku osunęła się tu na ulicę, tarasując przejście. Jednocześnie zasłoniła cały widok. Istniał cień nadziei, że tropiąca ekipa nie zauważyła go. Za to T-300 musiał wpaść wprost na nich.

Michael nie miał zamiaru czekać, by przekonać się o słuszności swojego rozumowania. Błyskawicznie się pozbierał i na czworaka przeczołgał w stronę najbliższej klatki schodowej. Podniósł się z kłeczek dopiero wewnątrz budynku. Wbiegł po schodach na piętro.

Rozsierdzone głosy zbliżały się, słyhać je było coraz wyraźniej. Uderzenia ciężkich butów rozbrzmiały na dole. Górnicy rozbiegli się. Sprawdzali budynek po budynku. Chandler nie miał chwili do stracenia. Wpadł do najbliższego pomieszczenia, bezskutecznie szukając w nim schronienia.

Jedyne okno wychodziło tu na ulicę. Zbliżył się do niego i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Jakaś postać wbiegła wprost do klatki, w której przed chwilą się ukrył.

Teraz zrobiło się naprawdę niebezpiecznie. Chandler odruchowo przyjął postawę obronną. Stał na szeroko rozstawionych nogach i wyciągnął pięści przed siebie. Postanowił, że łatwo nie sprzeda skóry. Nigdy nie podejrzewałby się o taką determinację. Był gotowy do walki, na śmierć i życie.

Po raz ostatni szybkim spojrzeniem omiół pomieszczenie. Rozglądał się za czymś, co mogłoby mu pomóc w obronie. Przewrócony stół opierał się krawędzią blatu o ścianę. Gdyby wyłamał jedną z masywnych nóg, mógłby użyć jej jako broni. Skoczył do mebla, próbując wprowadzić swój plan w życie. Siłował się jednak bezskutecznie. Zrozumiał, że chwila, w której pościg wpadnie do pomieszczenia, zbliża się nieubłaganie.

Nie był w stanie trzeźwo myśleć. Utknął w pułapce bez wyjścia. Wiedział, że nie ma szans w bezpośredniej walce i powinien raczej spróbować innego sposobu na ratowanie skóry. Nie mógł dłużej zwlekać. Przykucnął i wcisnął się za stół, wykorzystując przestrzeń pomiędzy ścianą, a blatem. Podwinął nogi pod brodę i wstrzymał oddech.

Rozpędzony osobnik wpadł do pomieszczenia kilka sekund później. Michael nie widział go, słyszał jednak wyraźnie ciężki, świszczący oddech. Kroki na skrzypiącej podłodze jeżyły mu włos na karku. Górnik zbliżał się do kryjówki. Michael skulił się w sobie. Żałował, że nie może siłą woli stać się niewidzialny. Przyłgął policzkiem do zimnej ściany i zamknął oczy. To wszystko okazało się ponad jego siły. Stracił całą wolę walki. Wiedział, że i tak zaraz wyciągną go na ulicę i zabiją. Miał ochotę im to ułatwić, krzyknąć: „tu jestem”, tylko po to, by jak najszybciej zakończyć tę mordęgę. Niech zrobią z nim to, na co mają ochotę. Wydawało się to najszybszym i najlepszym wyjściem.

– Pospiesz się! – rozległ się dudniący głos na klatce schodowej, zabrzmiał jak odległy grzmot armaty. – Mamy coraz mniej czasu. Jeśli go nie znajdziemy, kanclerz nas zabije!

Postać w pomieszczeniu zawahała się. Michael czuł napięcie, które rosło z każdą sekundą. Miał wrażenie, że osobnik wpatruje się w stół i wie, że on tam jest. Za chwilę odrzuci blat od ściany i wyceluje w niego broń.

Podłoga zaskrzypiała ponownie. Jeszcze bliżej. Chandler niemal poczuł potężną dłoń na swoim karku.

– Już idę! – zachrypiał głos tuż nad jego głową. Kroki szybko oddaliły się i w budynku zapanowała cisza.

## ROZDZIAŁ 26

– Jest blisko, nawet bardzo! Załedwie kilkaset metrów od nas! – Sanders przykucnął na podłodze i oparł się plecami o ścianę.

Wpatrywał się w detektor, na którym pośród regularnych Unii odwzorowujących budynki, pulsował jasny niebieski punkcik. Porter wiedział, że jest to sygnał nadziei. Lokalizator wskazywał dokładne położenie Michaela Chandlera.

Od kilkudziesięciu godzin ukrywali się w tym dziwnym mieście. W martwym zaduchu, niemal trupim odorze, pośród zrujnowanych budynków. Dave miał do czynienia z różnymi planetami, odwiedził więcej cywilizacji niż zwykły człowiek mógłby zobaczyć, nawet gdyby żył kilkaset lat. Jednak skala i rozmach architektury zaparły mu dech w piersiach. Mimo zniszczeń miasto robiło wrażenie jak żadne inne. Być może dlatego, że znajdowało się pod ziemią, być może przez te skały, przez czerwień, która przyprawiała o zimne dreszcze.

Wyjrzał przez okno. Musiał przyznać, że Macloud wybrał dobre miejsce. Znajdowali się na piętrze jednego z budynków. Stał na wzgórzu, górując nad lśniącymi dachami zrujnowanych gmachów. Pod nimi rozciągały się ulice, na których widzieli przedzierające się grupki pościgowe. To dawało im przewagę. Gdyby ktoś zapuścił się w ich kierunku, mieli wystarczająco dużo czasu na reakcję.

– Nie rusza się od dawna. Może coś mu się stało? – zaczynał się martwić. Zbyt wiele nieprzewidzianych rzeczy mogło się teraz wydarzyć. – Nie lepiej sprawdzić? A jeśli potrzebuje naszej pomocy!

Sanders otaksował go zimnym spojrzeniem. Pokręcił przecząco głową.

– Nie ingerujemy tylko obserwujemy! – powiedział i odwrócił się w stronę okna. – Nie pamiętasz podstawowych założeń? Poza tym, jeśli wciąż nie ma przy nim kanclerza, to wszystko przebiega zgodnie z planem...

Porter oparł się o ścianę. Czuł zmęczenie. Być może wiek dawał mu się już we znaki. Był za stary na te wszystkie eskapady. Wiedział, że to, co powiedział Macloud brzmiało okrutnie, ale musiał się z nim zgodzić. Android miał po prostu rację. Od początku musieli liczyć się z tym, że dojdzie do podobnej sytuacji. Ich zadaniem było śledzić Michaela i czekać, aż nieświadomy niczego mężczyzna uruchomi kołowrót wydarzeń i zbiegów okoliczności. To nie Sanders, Porter czy T-300 mieli odnaleźć wehikuł. To Chandler miał wpakować się w kłopoty i doprowadzić do ostatecznej konfrontacji. Ich zadaniem było niespuszczanie go z oczu. To jedyne, co mogli zrobić i tego się trzymali.

– Prześpij się – powiedział Sanders do Portera. Musiał obserwować go od dłuższej chwili. – Nic na to nie poradzisz. Lepiej, żebyś był w formie, kiedy przyjdzie czas. Teraz i tak mu nie pomożesz.

Porter nie odpowiedział. Zapatrzył się w czubki swoich butów. Był pewien, że w jego głowie krąży zbyt wiele niespokojnych myśli, by pozwoliły mu zmrużyć oczy choć na chwilę. Wiedział jednak, że mogą spędzić tu wiele godzin, być może nawet dni. Dla świętego spokoju przyjął radę Maclouda i podszedł do kanapy ustawionej przy drzwiach. Usiadł na niej i przesunął dłońmi po niebieskim materiale. Była podobna do tej, którą miał w domu. Te same skrzypiące sprężyny, wytarty materiał na oparciach. Dave poczuł dziwny ucisk w gardle. Przypomniał sobie stary dom. Pewnie Joan i Andrea zdążyły już przeprowadzić się do nowego mieszkania. Ustawiały książki na półkach, klóciły się o przesuwanie łóżek i telewizora. Sadziły kwiaty w ogródku.

Dave zasnął, nawet nie spostrzegł kiedy. Znów był w swoim domu, z żoną i dzieckiem. Obserwował ich z góry, widział, jak się śmieją, jak bardzo za nim tęsknią. Chciał do nich zejść.

Wrócić. Oddzielała go jednak niewidzialna bariera. Miliony kilometrów lodowatego kosmosu...

– Znowu coś się dzieje. – Sanders szturchał go w ramię, próbując przywrócić do przytomności. – Musisz tu na mnie poczekać, sprawdzę to!

– Co się stało? – Dave nie wiedział, jak długo spał. Nie miał nawet pojęcia, czy jest noc, czy dzień. Wydawało mu się, że dopiero przed chwilą zamknął oczy.

– Poruszył się. Punkt zaczyna się przemieszczać. Musimy mieć go pod kontrolą. Rzucę na to okiem. A ty... – Macloud sprawdził broń – ... ty w tym czasie obserwuj ulicę. Wróć szybko.

– Okej – zgodził się Porter. Podniósł się z kanapy i podszedł do okna. Nie miał zamiaru zadawać dodatkowych pytań. Jeśli Sanders uznał, że tyle informacji mu wystarczy, to musiał się z tym pogodzić.

Zajął miejsce androida. Wpatrywał się w ulicę i budynki stojące w dole. Chciał dostrzec, którą drogą pójdzie Macloud, lecz ten najwyraźniej wciąż nie wychodził z budynku. Gdy Dave wystraszył się, że coś mu się stało, masywna sylwetka na ułamek sekundy zamajaczyła w oddali. Musiał przyznać, że Sanders był doskonale wyszkolony. Przesuwał się w tym trudnym terenie jak cień. Nikt nie miał prawa go schwytać, o to można było być spokojnym.

Porter zamyślił się. Nie wiedział, co w tej chwili może przeżywać Chandler. Strach czy może zupełną obojętność. Zastanawiał się, co się z nim stało. Jaka była przyczyna, że tak długo pozostawał w bezruchu, jako zwykły, pulsujący punkcik na ekranie detektora? Wiele razy widział ludzi, którzy nagle, pod wpływem stresu wyłączały świadomość. Opuszczali swoje ciała, oglądając obojętnie to, co się wokół nich działo. Takie zachowanie było niebezpieczne. Zarówno dla Chandlera, jak i całej misji. Teraz jednak coś się zmieniło. Sanders powiedział, że Michael przemieszczał się. Najprawdopodobniej zrobił to o własnych siłach, a to oznaczałoby, że żył. Być może otrząsnął się z odrętwienia lub coś zmusiło go do opuszczenia kryjówek.

Wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Po pierwsze to miasto. Miasto, którego nie powinno tutaj być, które nie miało prawa istnieć. Jak Chandler sam je odnalazł? W jaki sposób trafił do ukrytego szybu? Idąc za nim, odnaleźli tajne przejście. Skąd jednak Michael o nim wiedział?

Glob był stary. Tak, jak i cały układ słoneczny. Z trzech planet okrążających stygnącą gwiazdę, żadna, wydawałoby się, nie nadawała się do zamieszkania. Być może kiedyś było inaczej. Jeśli tak, to dawno temu. Tak dawno, że nie zostały na powierzchni żadne znaki, ślady jakiegokolwiek rozumnego życia. Tylko pustka, najeżona spiczastymi górami powierzchnia, odstraszaająca wszystkich potencjalnych kolonizatorów.

Jednak tu, kilkaset metrów pod powierzchnią, istniało życie. Gigantyczne miasto, wykute w jaskiniach. Jeden z cudów wszechświata. Był jakiś cel jego powstania. Odmownego wysiłku, włożonego w pracę dziesiątek tysięcy mieszkańców. Przedsięwzięcie, które musiało trwać długo, dłużej niż życie jednego lub dwóch pokoleń. Jeśli tak, istniała jakaś myśl. Coś, co łączyło w wysiłku każdego z nich. Albo... albo istniał ktoś, kto miał nad wszystkimi władzę. Władzę absolutną.

Porter dostrzegł ruch za oknem. Grupka górników przeczesywała budynki kilka ulic dalej. Przechodzili od drzwi do drzwi. Systematycznie. Każdy z nich znał swoje zadania, jakby powtarzał je po raz tysięczny. Bezbłędnie, bez zbędnych ruchów czy słów. W milczeniu, w złowroziej ciszy. Właśnie oni, ich niezmordowane poszukiwania, utwierdzały Dave'a w przekonaniu, że Chandler żyje.

Chodzili równymi rzędami. Obserwowali otoczenie tak, jakby w oczach mieli rentgen, pozwalający im dojrzeć wszystko przez najgrubsze ściany. Przypominali automaty, zaprogramowane maszyny, które mają jedyny cel. Bezbłędnie wykonać powierzone zadanie. A

przecież to byli ludzie, tacy jak on czy Chandler. Co skłoniło ich do posłuszeństwa kanclerzowi? Jaką miał nad nimi władzę?

Ruch za plecami Dave'a był ledwie słyszalny. Jednak mężczyzna zwrócił na niego uwagę. Poczł czyjąś obecność i uważne spojrzenie. Zastył w bezruchu. Jakby nagle dopadło go gwałtowne zlodowacenie, które uwięziło w okowach lodu wszystkie jego członki. Poczł słabość i mdłości równocześnie. Był zły na siebie, że tak łatwo dał się podejść. Ciarki przeszły mu po plecach. Miał pewność, że został odkryty. Spodziewał się decydującego uderzenia w tył głowy.

## ROZDZIAŁ 27

Michael odczekał kolejny kwadrans. Musiał upewnić się, że budynek został opuszczony. Wciąż podejrzewał, że zastawili na niego pułapkę. W końcu zdecydował się poruszyć. Wyczołgał się z ukrycia. Usiadł i drżącymi dłońmi przetarł twarz i włosy. Odetchnął głębiej i mimowolnie kichnął. Kurz dostał się do nosa i ust. Spróbował wstać, ale musiał zaprzeczyć się o ścianę, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Usiadł ponownie. Postanowił odczekać chwilę, zanim znów pewniej się poczuje.

Rozejrzał się po pokoju. Farba odchodziła płatami z zielonych niegdyś ścian. Nie lepiej wyglądał dziurawy sufit ze zwisającymi kablami. Tutaj nie mógł szukać schronienia. Zresztą nie miał takiego zamiaru. Ukrywanie się nic mu nie dawało. Postawił przed sobą o wiele trudniejsze zadanie. Musiał pójść krok dalej, wybrać bardziej szaloną drogę. Teraz był tego pewny. Jego jedyną szansą było odnalezienie wehikułu i naprawienie wszystkiego, co tu się stało. To był cel, na którym postanowił się skupić, musiał poświęcić mu wszystkie siły. Pozostawał jednak jeden zasadniczy problem. Jak plan wprowadzić w życie? Gdzie szukać tej przeklętej maszyny?

Wstał, poczuł się trochę lepiej. Być może otuchy dodała mu decyzja, na której podjęcie, o dziwo, się zdobył. Ruszył do wyjścia. Wolno, wciąż opierając się o ścianę, jakby to ona miała mu pomóc w tej wędrówce. Dłoń błędziła po chropowatej powierzchni, starej farbie, odpryskującej przy byle dotknięciu. Michael miał wrażenie, że ten dotyk go uspokaja, jakby budował więź łączącą go w niepojęty sposób ze zrujnowanym miastem.

Zahaczył o coś palcami. Przedmiot oderwał się od ściany. Spadł z głuchym trzaskiem i brzękiem szkła na ziemię. Michael zatrzymał się w pół kroku. Serce załomotało w piersi. Dopiero to wyrwało go z dziwnego otępienia.

Spojrzał pod nogi, na betonową podłogę. Wśród gruzu i śmieci leżała wykrzywiona rama. Przez zbitą szybkę wystawał kawałek papieru, który przyciągnął jego uwagę. Michael pochylił się i podniósł znalezisko. Zdjął ostrożnie ramę i wyciągnął odłamki szkła, zrzucając je na podłogę. Podważył zabezpieczenia i wyciągnął pergamin. Papier ściemniał pod wpływem minionych lat, mimo to kontury miasta były wciąż wyraźne. Michael przetarł rękawem brudny osad i oniemiał. Ulice i budynki. Wszystko jak na dłoni. W jego rękach znalazło się dokładne odwzorowanie, mapa ukrytego miasta.

Wrócił do stołu. Z trudem postawił go na nogi i rozłożył na nim swoje trofeum. Dłonią wygładził zawijające się brzegi. Określenie swojego położenia zajęło mu dłuższą chwilę. Wpatrywał się uważnie w plan miasta. Starał się wyłowić jakieś szczegóły lub punkty charakterystyczne, które mogły pomóc mu w planowanej wędrówce. Pot wystąpił mu na czoło. Szczęśliwym trafem wpadła mu w ręce wskazówka, którą należało wykorzystać. Jeśli chciał wyrwać się z tej matni, przyszedł czas na działanie.

Michael nie wiedział, jak długo wpatrywał się w mapę. Z upływającymi minutami zdawał sobie sprawę, że dokładne badanie planu na niewiele mu się przyda. Równie dobrze mógł znajdować się w każdym innym punkcie miasta. Na jego północy, południu, wschodzie lub zachodzie. Najważniejsza kwestia wciąż pozostawała bez odpowiedzi. W którym kierunku iść?

Odszedł od stołu i wyrzwał przez okno. W szybie budynku po drugiej stronie ulicy dojrzał swoje rozmyte odbicie. Właśnie tak wyglądał zagubiony człowiek pośrodku obcego miasta. Z trudem otrząsnął się z przygnębienia. Życie nauczyło go, że każda droga gdzieś prowadzi. Wystarczy obrać dobry kierunek. Jeszcze raz spojrzał na mapę. Regularne, proste linie prowadziły z niezliczonych kierunków, przecinając miasto systemem pajęczej sieci. Zbiegały się w jednym miejscu, w jednym punkcie, godnie z zamysłem przewidującego urbanisty.



„Najciemniej pod latarnią” – zabrzmiały w głowie Michaela znajome słowa Roba.

W centrum mapy widniał zarys budynku. Ciemny prostokąt oznaczony dziwnymi hieroglifami. Musiał być ogromny. Przynajmniej tak wynikało z planu. To był kierunek, o jaki Michaelowi chodziło.

## ROZDZIAŁ 28

– Panie Porter! – głos za plecami Dave'a był znajomy. – Jakie to szczęście, że Rob natrafił na pana Sandersa! Niechybnie dopadliby Roba, gdyby nie został wciągnięty do budynku.

Porter odetchnął z ulgą. Jeszcze przed chwilą był pewien, że zapłaci najwyższą cenę za swoją nieostrożność. Odwrócił się w stronę robota. Macloud stał za nim, nie poruszał się. Wyglądało na to, że błądzi myślami gdzieś daleko.

– Gdzie Chandler? – Porter starał się powstrzymać drżenie głosu.

– Rob musiał go zostawić! – Robot machał ramionami. – Rob chciał zmylić pogoń. Pan Michael pewnie w tym czasie zmienił kryjówkę.

Porter spojrzął ponad głową Roba na Sandersa. Olbrzym niechętnie odwzajemnił spojrzenie.

– Mówi prawdę. Był z Chandlerem – powiedział obojętnym tonem. Znalazłem go, gdy uciekał przed pościgiem. Zaciągnąłem do bramy i ukryłem.

Dave skinął głową na znak, że rozumie. Zastanawiało go coś zupełnie innego.

– Co się stało Michaelowi? Jak się tutaj znalazł? – zapytał.

– To przez mnie! – Robot najwyraźniej się zmieszał. – Rob nie miał wyboru. Kanclerz zawładnął umysłem i ciałem pana Chandlera. Mógł z nim robić, co chciał. Rob musiał działać.

– Jak to, zawładnął? – Dave uniósł brwi. Poczł ciarki na plecach. Akurat tego się nie spodziewał.

– No, magią – odparł Rob ze zdziwieniem. Zupełnie tak, jakby to, co mówił, było oczywiste.

– Wcześniej zrobił tak z górnikami. Rob wie, że oni wszyscy są we władzy kanclerza. Jak marionetki...

Dave mrugnął kilka razy powiekami. Próbował otrząsnąć się z tego surrealistycznego snu. Przez chwilę nie dochodził do niego sens słów wypowiedzianych przez robota. Miał wrażenie, że stał się świadkiem majaczenia niezrównoważonej maszyny. Jednak zwątpienie trwało tylko kilka sekund. Dziwne, gdy Porter zaczął zastanawiać się głębiej nad sensem wypowiedzianych tu słów, większość wydarzeń ostatnich dni nabierała sensu.

– Co pozwala ci twierdzić, że nie jest już pod wpływem kanclerza? – zapytał.

– Czar minął. – Robot wzruszył ramionami. – Pan Michael był wystarczająco długo związany... to znaczy... unieruchomiony! – Przepytywany zaczął się panicznie śmiać, jakby zdał sobie sprawę, że popełnił jakąś zbrodnię. – Rob musiał...

– Rozumiem – przerwał mu Porter. Ta informacja wiele wyjaśniała, a postępowanie robota wydawało się logiczne. Teraz interesowały go inne szczegóły. – Jak tu trafiliście?

Robot mimowolnie cofnął się o krok. Natrafił jednak na Sandersa, więc wrócił szybko na swoje miejsce.

– Rob musiał schować pana Chandlera tak, żeby go za szybko nie znaleźli – mówił piszczącym głosem. Gwałtownie gestykułował ramionami, jakby miało mu to w czymś pomóc. – Ukryte miasto wydawało się najlepsze! Naprawdę!

– Dlaczego nie powiedziałaś nam o tym miejscu wcześniej? – Macloud dopiero teraz włączył się do przesłuchania.

– No, nikt nie pytał...

– Czy wiesz, gdzie jest teraz Michael? – Porter zadał pytanie, które musiało tutaj paść, a na które i tak znał odpowiedź. Ponownie stanął przy oknie i zapatrzył się w dal, w panoramę zrujnowanego miasta.

– Nie. Rob nie wie. – Robot pokręcił zrezygnowany głową.

W pomieszczeniu zaległa martwa cisza. Pewnie trwałaby długo, gdyby Dave nie zdecydował

się jej przerwać.

– Dobrze się spisałeś! – powiedział. Uznał, że należy zakończyć na tym serię pytań. Po pierwsze nie spodziewał się, żeby robot mógł przekazać mu jeszcze coś cennego, a po drugie miał dla niego inne, ważniejsze zadanie. Zastanawiał się teraz, jak wprowadzić je w życie.

– Musimy iść za Chandlerem – odezwał się Macloud szorstkim, obojętnym głosem. – Obaj. Myślę, że jesteśmy już blisko rozwiązania tej sprawy.

Porter spojrział na niego uważnie. Sanders mówił o tym, jak o jakimś zwykłym zadaniu. Jednym z wielu, z którymi miał do czynienia przez wiele lat służby na Ziemi. Jakby to była jakaś kradzież, morderstwo w afekcie albo napad na bank. Nie wiedział, dlaczego nabrał do niego tak nagle antypatii. Ta obserwacja przyszła momentalnie, jakby dopiero teraz potrafił sprecyzować swoje wcześniejsze wątpliwości. Być może był w tym osądzie niesprawiedliwy. Przecież nie powinien się dziwić. Sanders był androidem, zaprogramowanym tak, by trzeźwo oceniać fakty i podejmować właściwe decyzje.

Coś innego uderzyło go z większą siłą. Dave zdał sobie sprawę, że tylko on i Chandler odbierają to wszystko jako coś niezwykłego. Jakby stawali się częścią zupełnie nowej historii, świadkami kolejnego etapu w dziejach świata. Dla Maclouda nie miało znaczenia, czy są w Nowym Yorku, Paryżu czy na obcej planecie. Teraz było teraz, a zadanie pozostawało zadaniem. To była ta różnica. Różnica, która pozwalała dostrzec, czym maszyny różnią się od ludzi.

– Dobrze, zaraz wyruszamy – zgodził się bezwiednie Dave. Myślał intensywnie o tym, jak powinien teraz postąpić. Miał swój plan, którym nie mógł podzielić się z Sandersem. Czy jednak wszystko dobrze przemyślał? Uśmiechnął się. Intuicja podpowiadała mu, że tak właśnie jest. – Rob musi jednak coś jeszcze dla nas zrobić... Chcę zostać z nim sam na sam...

Ujął robota pod ramię i wyprowadził z pomieszczenia. Obecność maszyny była dla niego wybawieniem. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to właśnie Rob stanowi główną część jego układanki. Tylko on mógł wykonać zadanie, od którego wszystko zależało. Wreszcie Porter znalazł ogniwo, którego od początku mu brakowało. Sanders popatrzył za nimi dziwnie, ale tego nie skomentował.

## ROZDZIAŁ 29

Michael Ostrożnie opuścił budynek. Mapę umieścił za paskiem. W ten sposób mógł po nią sięgnąć, gdy będzie chciał kontrolować kierunek marszu. Przemieszczał się od jednej bramy do drugiej. Ukrywał się jak ścigane zwierzę. Tak zresztą się czuł. Chwilami przystawał. Nasłuchiwał odgłosu kroków, wypatrywał cieni, ruchu. Nic jednak nie stawało mu na drodze. Miasto wydawało się puste. Mimo to kolejne ulice pokonywał powoli. Nie chciał natknąć się na górników. Jeśli tylko dostrzegliby jego sylwetkę, nie zgubiliby tropu do końca.

Najtrudniejszą przeszkodą były rozległe skrzyżowania. Michael tracił dużo czasu, by pokonać każde z nich. Wydawało mu się, że w oknach stoją nieruchomi obserwatorzy, czujnie wypatrujący intruza. Czekają jedynie na niego, by przekazać sygnał grupkom ścigających. Wystarczyłoby w specjalnie wybranych punktach, na przecięciu głównych ulic, umieścić po jednej takiej czujce i los Michaela byłby przesądzony. Na szczęście, nikt jak dotąd nie podnosił alarmu. Albo górnicy nie wpadli na ten, zdawałoby się oczywisty pomysł, albo Michael nie dotarł jeszcze do obsadzonego punktu.

Jeśli nabierał jakichś podejrzeń, skradał się do rogu ulicy. Przystawał. Najpierw obserwował budynki. Okno po oknie, skrupulatnie, bo od tego zależało jego życie. Miał nadzieję, że jakiś ruch lub cień zdradzi obecność obserwatora. Potem wystawiał głowę. Lustrował przylegającą ulicę badawczo, uważnie. Jeśli na skrzyżowaniu leżały fragmenty murów lub sprzęty, za którymi mógł się ukryć, wykorzystywał je. Znikał za nimi jak cień. Niewidoczny, czujny. Szybko się uczył. Opanował przemieszczanie się po mieście niemal do perfekcji.

Konsekwentnie zbliżał się do centrum. Czuł to. Powietrze wokół niego drżało. Wyczuwał w nim napięcie i złą energię, gęstniejącą z każdym krokiem. Miał wrażenie, że mogą one znaleźć ujście jedynie w gwałtownym elektrycznym wyładowaniu. Zadrzał, poczuł dziwną falę mdłości. Mimo to wciąż posuwał się naprzód, chwilami tylko zatrzymując się, węsząc, prześlizgując od kamienicy do kamienicy. Cel wędrówki stawał się wyraźny, bliski, miał go niemal na wyciągnięcie ręki.

Budynek zamajaczył w tle raz, a potem drugi. W pierwszej chwili wydawał się fatamorganą. Surową projekcją z trójwymiarowego filmu, który powtarzał się w najmniej spodziewanych chwilach. Potem kontur szmaragdowej budowli pojawił się u wylotu ulicy. Rozmył się, gdy Michael zmienił kierunek przy kolejnym skrzyżowaniu. Ale był tam. Jak senny koszmar, który pojawia się równo z przyciśnięciem policzka do poduszki. Chciał go zobaczyć. Jeszcze raz, by być pewnym. Był to widok znajomy i zarazem obcy. Napawał niezrozumiałym lękiem.

Chandler przebiegł kolejne skrzyżowanie. Nieostrożnie. Przeciął drogę bez zastanowienia, by znaleźć się tam jak najszybciej. To był błąd. Zobaczyli go. Jedno z okien budynku wyleciało wraz z drewnianą futryną. W odgłosie szkła i potwornego wizgu nie był w stanie usłyszeć własnych myśli.

Wmurowało go w chodnik. Popatrzył w górę. Kosmata twarz wychyliła się z ziejącej w ścianie dziury. Wskazywała na niego palcem. Dopiero zwierzęcy krzyk wydobywający się z gardła mężczyzny przywrócił Michaelowi przytomność. Puścił się rozpaczliwym biegiem w dół ulicy. W stronę szmaragdowej piramidy, której kontur wyłaniał się wśród budynków.

Centralny budynek osadzono w naturalnej niecce. Był ukryty dla oczu postronnych. To tłumaczyło, dlaczego Chandler wcześniej, gdy przyglądał się z góry panoramie miasta, nie zauważył piramidy. Usadowiono ją niżej niż inne zabudowania. Mimo to dalej wzbudzała podziw. Była ogromna i przysadzista.

Chandler zbiegał ulicą, starając się nie potknąć. Zmierzał wprost w pustą przestrzeń pomiędzy budynkami i piramidą. Próbował za wszelką cenę nie poślizgnąć się na drobnych, kamyczkach wysypanych na twardym podłożu. Ścigali go. Jak psy. Zbiegali się z wszystkich dzielnic miasta. Kilkaset metrów za nim rozlegały się ich krzyki. Biegli po niego. Po jego skórę.

W oddali dostrzegł schody. Rampę prowadzącą wprost do trzewi gmachu. Próbował ocenić odległość, ale przestrzeń dzieląca go od pierwszych stopni wydawała się nie mieć końca. Serce z trudem pompowało krew w żyły. Gęsty płyn przelewał się przez członki, rozsadzając mięśnie. W oczach pojawiały się ciemne plamy. Wirowały coraz szybciej. Michael wystraszył się własnego, świszczącego oddechu.

Gdy dopadł schodów, ugięły się pod nim kolana. Przewrócił się. Uderzył bokiem o kanciasty stopień. Wstał automatycznie. Nogi niosły go same. Błyskawicznie ruszył pod górę, pokonując po dwa stopnie na raz. Wyżej i wyżej, jakby tam czekało na niego ocalenie.

Nie wiedział, ile ich pokonał. Kilkaset, kilka tysięcy? Obrócił się tylko na chwilę. Cienie już dopadły pierwszych schodów. Szalony ryk dziesiątek gardeł rozległ się w powietrzu, rozprzestrzeniając na całe miasto. Mimo że wydawało się to niemożliwe, Chandler przyspieszył, gnał go strach.

Dopadł bramy kilka chwil później. Modlił się, żeby wystarczyło mu sił, by ją otworzyć. Blisko czterometrowej wysokości wrota poddały się z oporem. Wpuściły go do środka, w ciemność. Błyskawicznie zamknął je za sobą. Uruchomił mechanizm blokujący i wycofał się w głąb pomieszczenia.

Rozszalałe uderzenie przyszło po chwili. Furia poruszyła skrzydłami bramy. Z osadzonych w ścianach futryn, posypał się tynk. Chandler zrozumiał, że musi znów uciekać. Nie mógł liczyć na to, że jego prześladowcy odpuszczą pościg. Byli zbyt blisko. Za chwilę dzieląca go od nich przeszkoda runie, roztrzaska się na marmurowej posadzce.

Odwrócił się. Teraz jedyna droga ucieczki znajdowała się przed nim. Próbował dojrzeć coś w otaczających go ciemnościach. Wybrał korytarz na ślepo. Ten, który odznaczał się jaśniejszą plamą na czarnym tle. Wbiegł wprost w zieloną, zatechłą maź. Powietrze przesycone oparami szmaragdowej mgły oblepiało jego ubranie. Żywe strzępy gęstych oparów układały się w kościste dłonie, powstrzymując bieg. Ostry zapach wdzierał się do nozdrzy. Zatykał. Nie dawał wytchnienia.

Zbiegał w dół, potem piął się pod górę, byle szybciej. Byle nie słyszeć pogoni. Mógł jedynie biec przed siebie, z nadzieją, że wybrał dobrze. Gdzieś tutaj ukryta była machina, tego był pewien. Musiał dotrzeć do niej pierwszy i nie dać się zabić. Nie chciał, by historia się powtórzyła. By jego martwe ciało znalazło się w laboratorium, tam, gdzie widział je po raz ostatni.

Korytarz urwał się raptownie. Michael wbiegł do ogromnego pomieszczenia, starając się utrzymać równowagę na śliskiej posadzce. Dopiero wtedy zwolnił. Stracił orientację. Zatrzymał się pośrodku owalnej sali. Gładkie ściany lśniły od wilgoci panującej w powietrzu. Wyglądały tak, jakby spływał po nich gęsty pot. Sklepienie zawieszono było wysoko, ledwie można było je dostrzec w zielonkawym, mdłym świetle. Chandler zauważył to wszystko w mgnieniu oka. Zwłaszcza idealnie równą podłogę, która za chwilę będzie zboczona jego krwią. Znalazł się w potrzasku. Nie było stąd wyjścia.

U wylotu korytarza pojawili się ludzie. Zatrzymali się. Stali nieruchomo, patrząc na Michaela. Przeszywając go nienawistnym wzrokiem. Cichy pomruk wydobywał się z ich gardeł. Zdawał się wprawiać w wibrację ściany i podłogę. A może to drżał Chandler?

Osunął się na kolana. Z trudem utrzymał równowagę. Czuł, że koniec jest bliski. Czyżby tak wyglądał zwierzęcy strach? Resztki godności miały ulecieć w ostatnich chwilach jego życia?

Drzenie powtórzyło się. Silniejsze. Michael oparł dłonie na podłodze, starając się nie przewrócić. To nie był strach. To część posadzki, na której się znajdował, została poruszona za pomocą jakiegoś tajemniczego mechanizmu. Chandler osuwał się wraz z nią w dół. Coraz szybciej i szybciej.

Rozpląszczył się na podłodze windy. Ściany przesuwaly się niebezpiecznie blisko, na wyciągnięcie ręki. Szalony pęd przyprawiał o zawrót głowy. Wylot tunelu ponad głową Michaela stawał się coraz mniejszy. W końcu zniknął zupełnie, a wyglądało to tak, jakby na firmamencie zgasła ostatnia gwiazda.

Zamknął oczy. Jednak przeznaczenie się wypełniało. Nieuchronność tego, co miało nastąpić, była teraz bliska i realna. Wcześniej łudził się nadzieją, że ma na wszystko wpływ. Mylił się. Był zbyt słaby, by oprzeć się czemuś tak potężnemu. Stanowił zaledwie znikomą część ogromnego mechanizmu. Bez wpływu na przeszłość i przyszłość. Wszystko, co zrobił i powiedział, było już dawno zapisane. Teraz zbliżała się nieunikniona śmierć.

Gdy winda zatrzymała się, nie miał siły i odwagi podnieść powiek. Poczul za to czyjeś dłonie unoszące go z podłogi. Bezwładne stopy przesuwaly się po ziemi, wydając dziwny, skrzeczący odgłos.

Usadowili go na jakiejś leżance. Na zimnym materiale, przenikającym chłodem do szpiku kości. Unieruchomili bezwładne kończyny. Chandler nie protestował. Pozostawał w tym niezrozumiałym stanie odrętwienia i rezygnacji. Co innego mógł zrobić?

– Cieszę się, że jest pan już z nami, panie Chandler.

Znajomy głos zmusił go do otwarcia oczu.

– Trochę się niecierpliwiliśmy! Ale widać lubi pan przygody. – Gordon Federlicht uśmiechał się diabolicznie. Jego oczy nie wydawały się już puste. Świeciły szmaragdową zielenią, stanowiąc kontrast dla krwistoczerwonych ścian.

– Przewidziałeś to wszystko? – zadał pytanie Chandler, choć znał odpowiedź.

Dziesiątki oczu wpatrywały się w niego uważnie. Górnicy i kanclerska rada. Wyglądali jak marionetki odłożone na bok przez lalkarza. Oparci byli o ściany, nieruchomi, bezwładni i przerażający.

– Byłem pewny, że tu trafisz. – Kanclerz nachylił się nad nim. Widział jego przerażenie, napawał się nim, jakby w ten sposób czerpał dodatkową energię. – Tak miało się stać.

– Co teraz ze mną zrobisz?

– Odrodzisz się, Michaelu. Dokładniej, ja odrodzę się w twoim ciele. Lecz, aby to się stało, najpierw musisz je opuścić! – Federlicht zaśmiał się. Sala, w której się znajdowali, odpowiedziała głuchym echem. – Ale nie martw się, udasz się tam, gdzie będzie ci lepiej. Wierzysz, że dusza wędruje do nieba? To ułatwiłoby ci wiele spraw...

– Jesteś chory! – Chandler próbował wyrwać się z trzymających go rzemieni.

Spojrzał teraz z zupełnie innej perspektywy na otoczenie. Leżał na kamiennym ołtarzu. Świece ustawione były blisko siebie. Tworzyły dziwne, regularne znaki. Otaczały jego i kanclerza. Michael odchylił głowę do tyłu. To, co zobaczył, wstrzymało na chwilę bicie jego serca.

Za nimi stała machina. Właściwie ta część, którą zobaczył w narkotycznej wizji.

– Dlaczego ja?! – Chandler sam nie wiedział, od kogo oczekuje odpowiedzi, od kanclerza, od siebie czy losu.

– Przeznaczenie, Chandler. Przeznaczenie, które zapisane jest w gwiazdach. Nadajesz się idealnie. Wybacz, ale fizjonomie tych nieokrzesanych górników mi nie odpowiadają. Muszę odrodzić się w młodym i silnym ciele. Pan wszechświata nie może być starcem, u progu śmierci.

– Pan wszechświata? – powtórzył Chandler, czując, że strach zaczyna brać u niego górę nad rozsądkiem.

– Wybacz semantykę. Oczywiście masz rację, Michaelu. Pan wszech światów! – Z gardła kanclerza znów wydobył się chrapliwy, szaleńczy śmiech. – Pan wszech światów! A zacznę od waszego!

– Miałeś ją przez cały ten czas? Droczyłeś się z nami? – Michael oddychał z trudem. Ponownie odchylił głowę, żeby jeszcze raz spojrzeć na maszynę. To wszystko było tak oczywiste, dlaczego wcześniej tego nie dostrzegł?

– Nie! – Kanclerz zaprzeczył z tym samym obłądnym uśmiechem na ustach. – Wy pomogliście mi ją odnaleźć. Dokładniej ten cud techniki, który sprowadziliście ze sobą. T-300! Wystarczyło dać mu trochę czasu... choć Nargo wiele się natrudził, by dobrze ją ukryć.

Chandler czuł, że pod wpływem słów Federlichta topnieje w środku, zupełnie, jakby wszystkie jego organy zostały wykonane z wosku. Tracił nadzieję. Uciekała z niego błyskawicznie. Nie potrafił tego przetrzymać, otrząsnąć się ze zubożenia, które paraliżowało jego myśli. Nie widział już dla siebie ratunku. Zrozumiał, że za chwilę zginie. Kanclerz przejmie jego ciało, a potem użyje transmitera, by zawładnąć Ziemią. Czyżby właśnie to było przeznaczeniem, o którym mówił Porter?

– Wypijesz to! – w dłoniach kanclerza zaśnił złoty kielich. – Już czas bym zajął twoje miejsce!

– Tak chcesz mnie zabić? – Michael bardziej się zdziwił, niż przeraził. Coś nie pasowało mu w tym szaleńczym biegu wydarzeń. Nagle przypomniał sobie jeden, dosyć istotny szczegół, który nie dawał mu spokoju.

– To katalizator, najskuteczniejszy środek – Wydawało się, że kanclerz przestał panować nad swoim podnieceniem. – Poza tym, a to cenna informacja dla ciebie, bezbolesny. Nie umrzesz w męczarniach, potrzebuję przeciw twojemu organizmu. Maszyna wskrzesi mnie w odpowiedniej chwili i wtedy zajmę twoje miejsce.

Michael zaśmiał się. Wszystko pomieszało mu się w głowie. Coś było nie tak. Poczł się oszukany. Przecież bardzo dobrze pamiętał chwilę, w której ujrzał własne zwłoki. Trupioblade światło kostnicy oświetlające ranę na plecach. Na pewno, nie pasowało to do metody uśmiercenia, którą wybrał kanclerz.

– Już czas, Michaelu! – Kanclerz nachylił się nad nim z kielichem w dłoni.

Górnicy wydobyli z siebie niski, gardłowy dźwięk. Zmieniał natężenie. To rósł na sile, to znów opadał. Odnosił jednak swój skutek, zjeżył włosy na karku Chandlera.

Michael dojrzał płyn we wnętrzu kielicha. Miał konsystencję gęstej krwi. Oblepiał złote ścianki, przelewając się ku brzegowi pucharu.

Przecież to nie mogło się tak zakończyć, myślał Chandler. Wydawało mu się, że wreszcie zrozumiał związki pomiędzy pojęciem czasu i przestrzeni. Na pewno nie zginie od trucizny! To było niemożliwe! Tej myśli uczepił się, jakby miała go ocalić od każdej opresji. Musi się coś jeszcze wydarzyć!

Mimo to, ze zdumieniem przyjął oślepiający błysk, który wytrącił puchar z ręki kanclerza. Gordon Federlicht odskoczył od ołtarza zwinnie jak pantera. Krzyknął coś niezrozumiałego, wydając rozkaz swoim podwładnym. Poruszał się błyskawicznie, bez problemu uniknął porażenia wybuchem blastera i momentalnie znikł z pola widzenia.

W tej samej chwili do uszu Chandlera dobiegł przeraźliwy ryk. Dziesiątki postaci oderwały się od ścian. W jednej chwili powróciło w nie życie i dzika furia. Byli gotowi na rozkazy, gotowi rozpętać piekło.

Michael obserwował to wszystko ze zdumieniem. Obraz docierał do niego z opóźnieniem, zupełnie rozmazany. Jak na zwolnionym filmie, klatka po klatce. To było niewiarygodne i nierzeczywiste. W głównym kadrze tkwiły wijące się w bólu ciała, odłamki ścian i pociski

podążające chaotycznymi trajektoriami. Jakby na drugim planie, choć o wiele gorszy i bardziej dominujący był smród, zapach spalonego ludzkiego mięsa.

Chandler bez przekonania próbował rozerwać więzy trzymające go przy ołtarzu. Nie rozumiał, co się wokół niego dzieje. Starał się w gmatwaninie ciał dojrzeć coś, co przywróci mu nadzieję, ale jedyne, co widział, to ogromne, drżące w świetle świec cienie, upiorne postaci górników.

Jeszcze raz wygiął ciało w łuk, starając się naprężyć wszystkie mięśnie. Rzemień wbił się jeszcze mocniej w nadgarstki i kostki stóp. Poczul piekący ból. Nie poddawał się jednak. Musiał wykorzystać swoją jedyną szansę.

– Zginiesz! – Brudna, zarośnięta postać wykrzyczała mu to prosto w twarz.

Górnik trzymał w wysoko uniesionych dłoniach długi, lśniący nóż. Wziął zamach, by zadać decydujący cios. Michael nabrał w płuca powietrza, jakby to miało go uratować. Chciał krzyknąć, ale strach po raz kolejny całkowicie go sparaliżował. Widział, jak ostrze zbliża się do jego piersi. Lśniło krwistym blaskiem. Już za chwilę dotknie jego serca, odbierając mu życie.

Głowa napastnika w ułamku sekundy znikła w objęciach ognistego podmuchu. Zamiast niej, Michael zobaczył twarz Dave'a Portera. Mężczyzna miał rozszerzone strachem źrenice. Tylko przelotnie spojrzął na Chandlera. Tym samym sztyletem, od którego miał zginąć Michael, przeciął krępujące go więzy.

– Wstawaj! – krzyczał zachrypłym głosem. – Uciekamy! Sanders długo ich nie przytrzyma!

Michael poczuł, że jakaś siła go unosi i stawia na nogi. Porter obchodził się z nim, jakby był piórkiem. Nigdy nie podejrzewałby tego wątłego człowieka o tak nieludzką siłę. Zapewne Dave zawdzięczał nagły przypływ energii zbawczemu działaniu adrenaliny. Chandler sam zaczynał czuć, jak krąży w żyłach.

Dopiero teraz ogarnął wzrokiem pole bitwy. Powykręcane ciała leżały jedne na drugich. Niesamowita kotłowanina trwała. Furia kolejnych nacierających zdawała się rozsadzać pomieszczenie. Znaleźli się w samym środku walki na śmierć i życie. Michael czuł na twarzy gorące powietrze. Temperaturę podnosiły kolejne wybuchy z blasterów. Wśród ciemnych, niewyraźnych postaci majaczyła sylwetka Sandersa. Uwijał się jak w ukropie. Broczący krwią napastników, osmolony. Wyniosły i dumny. Systematyczny w zabijaniu.

– Ruszaj się! – Porter pchnął go przed sobą, w kierunku wyjścia.

Michael zmusił nogi do biegu. Były sztywne i nieposłuszne. Gdy wbiegali w długi korytarz, obejrzał się jeszcze raz. Maclouda przykryła kolejna fala ataku. Górników przybywało. Wyglądało na to, że Sanders włożył kij w mrowisko.



## ROZDZIAŁ 30

Michael biegł krok w krok za Porterem. Kluczyli. Dave poruszał się pewnie, wydawało się, że zna kierunek ucieczki. Sam fakt, że do tej pory nie pogubił się w plątaniu korytarzy zasługiwał na podziw.

Mijali ogromne kraty wentylacyjne. Wbudowane były w ściany co kilkanaście metrów. Właśnie przez nie, długimi aluminiowymi korytarzami, dobiegały do nich odgłosy walki. Wyładowania i wybuchy mroziły krew w żyłach. Jeszcze gorsze były nieludzkie krzyki, okropny, zwierzęcy wizg roznoszący się echem w całym budynku. Chyba on najbardziej przynaglał Chandlera do szybszego biegu.

Korytarz skończył się. Wpadli do jakiegoś pomieszczenia. Michael zatrzymał się, z trudem łapiąc w płuca powietrze. Rozejrzał się. Poczul mdłości. Stąd nie mogło być wyjścia.

Porter oparł się o ścianę, także ciężko oddychał. Spojrzał wprost w oczy Michaela. Dziwne, ale był jeszcze w stanie się uśmiechnąć.

To koniec. Chandler był pewien, że doktor zgubił drogę i znaleźli się w potrzasku. Zdziwił się, że przyjmuje to tak spokojnie, bez emocji. Nie mógł mieć pretensji do Portera. W końcu próbował go ratować, choć nie musiał. Teraz obaj znaleźli się w tym samym bagnie.

– Tutaj poczekamy na Sandersa – wysapał Dave. – Tak z nim uzgodniłem.

Michael milczał. Czyżby znów miał uchwycić się ulotnej nadziei? Może Pawłow i Porter przemyśleli wcześniej dokładnie każdy ruch? Spojrzał uważnie na Dave'a. Nie wszystko wydawało się tak oczywiste. Żaden z nich nie mógł mieć pewności, że Sanders wyjdzie z bitwy cało. Byli od niego zależni. Obaj zdawali sobie sprawę, że bez androida nie mają najmniejszych szans, by przetrwać.

– Słuchaj mnie uważnie, Michaelu. – Porter wytrącił go z ponurych rozważań. Chandler zobaczył w jego oczach coś, co go przestraszyło. – To bardzo ważne, żebyś zrozumiał.

– Słucham – powiedział Michael. Bał się tego, co zostanie powiedziane w tym pomieszczeniu. Wiedział jednak, że musi to nastąpić.

– Tam w laboratorium... – Dave zrobił przerwę, jakby znów musiał zaczerpnąć odrobinę powietrza. – To nie było twoje ciało... – mówił, nie czekając na reakcję Chandlera. Zdania wychodziły z jego ust płynnie. Jedne po drugich. Jakby chciał je z siebie jak najszybciej wyrzucić. – To był syntetyk. Wykonany w laboratorium, sztuczny Michael Chandler.

Michael podparł się o ścianę. Zastanawiał się, czy Porter nie zwariował. Szaleństwo w takiej chwili mogło dopaść każdego z nich.

– Ta rana na plecach, którą widziałeś... Ona być może została zrobiona bojowym laserem. – Dave nie wyglądał na szaleńca. Mówił opanowanym głosem. Za bardzo starał się, żeby każde słowo było zrozumiałe. – Ale od tej rany nikt nie mógł zginąć. Trzeba było dokonać dokładnego badania, żeby to ocenić... takiego, jakiego ja dokonałem...

– Dlaczego wcześniej tego nie powiedziałeś? – Chandler już sam nie wiedział, co jest prawdą, a co nie. Dave nie ułatwiał mu sprawy.

– Wybrałem rozwiązanie, które uznałem za słuszne – Porter westchnął ciężko. – Jeśli moje przypuszczenia się potwierdzą, będziemy w stanie zmienić przyszłość.

– Wariujesz Dave?! – Michael sam czuł, że zaczyna go ogarniać obłąd.

– Nie – odpowiedział krótko Porter. – Zastanów się! Jaki był cel przesłania ciała i umieszczenia na nim napisu z twoim nazwiskiem?! Pamiętaj o tatuażu, Michael. Ktoś natrudził się, żebyś to ty trafił na tę planetę. Ułatwiał nam zadanie, jak mógł! Wiedział, że ciało trafi do mnie i że odkryję fałszerstwo. Był jednocześnie pewien, że nikomu nic nie powiem!

– Dave! O czym ty mówisz! Kto to mógł wiedzieć?

– Ten, kto napisał na ciebie syntetyka: Michael Chandler! – Porter zaczął gwałtownie oddychać. Popatrzył w głąb korytarza. Chandlerowi także wydawało się, że ktoś się zbliża. Odgłosy bitwy umilkły kilka sekund wcześniej.

– Więc kto to był? – zapytał. Czuł się tak, jakby za chwilę miała eksplodować mu głowa. Znowu pogubił się w domysłach.

– Ja, Michaelu! – W oczach Dave'a pojawiła się determinacja. Wreszcie zrzucił z siebie ciężar, który przygniatał go od wielu dni. – To był mój charakter pisma! Obaj musieliśmy to przewidzieć, rozumiesz?

– Przecież to absurd! – Chandler nie wytrzymał. Mętlik w głowie powiększał mu się z każdą chwilą.

– Niby dlaczego? Bawiłeś się już wcześniej z czasem i przestrzenią, Mike? Jesteś alfą i omegą? Jeśli teraz chciałbyś dać swojemu ja, temu z przeszłości, jakiś znak. Miałbyś szansę przesłać jakąś wskazówkę, co byś zrobił? Co, Mike? Co byś zrobił!?

– Nie wiem! – Chandler złapał się z głową. Ostre szpileczki bólu wbijały się w skronie, nie dając mu spokoju.

– Ale ja wiem! Co więcej, jestem pewien, że ta wskazówka odniosła sukces. Stanie się coś, co zniweczy plany kanclerza!

– Skąd to wiesz?! – Michael skrzywił się. To wszystko było jednym wielkim szaleństwem. Majaczeniem w krańcowym stadium delirium.

– Wiem to od momentu, gdy twoje ciało pojawiło się w laboratorium.

Głos Dave'a grzmiał jak wyrok ogłaszany z ławy przysięgłych. Jak coś nieuniknionego, czemu nie można się przeciwstawić nawet nadludzkim wysiłkiem.

– Wyjaśnij mi to! – Michael wiedział, że krzyczy, jednak zupełnie już o to nie dbał.

Porter spojrział raz jeszcze w głąb korytarza. Podszedł do Michaela i zatrzymał się przy ścianie. Chwilę siłował się z kratą kanału wentylacyjnego, a potem po prostu ją wyrwał.

– Nie mam na to czasu, Michaelu – powiedział i wcisnął mu do dłoni jakieś pudełko. – W końcu sam to zrozumiesz. Pamiętaj jednak, że to jeszcze nie koniec. Teraz na tobie ciąży odpowiedzialność. Musisz wysłać w przeszłość wskazówkę. Swoją syntetyczną kopię!

Michael przełknął z trudem ślinę.

– Jak? Wysłać? Ona tu jest? – zapytał automatycznie.

– Ma ją Rob. Daję ci urządzenie naprowadzające, które go przywołuje – profesor wskazał na przedmiot, który Michael ścisnął w spoczonej dłoni. – Będzie podążał śladem sygnału, dopóki cię nie znajdzie. Pamiętaj, strzeż tego jak oka w głowie. Twoje ciało musi zostać wysłane w przeszłość za wszelką cenę. Wiem, że ci się uda!

– Skąd możesz to wiedzieć?! – Chandler przestał już liczyć, po raz który tego dnia ugięły się pod nim kolana.

Dave Porter uśmiechnął się i nic nie odpowiedział. To wystarczyło, by Michael zrozumiał. W końcu, jakimś cudem, jego wierna kopia trafiła do laboratorium.

– Jeśli coś będzie nie tak. Skacz... – Dave wskazał na otwór wentylacyjny. Był wystarczająco szeroki, by przecisnął się przez niego człowiek.

– Co się ma stać? – zapytał Chandler.

Nie usłyszał jednak odpowiedzi. Do pomieszczenia wkroczyło coś, co z trudem przypominało Sandersa Maclouda.

## ROZDZIAŁ 31

Sanders poczuł nagle czyjąś obecność w programie. Siłę, która jakby za pomocą różdżki rozwiała wszystkie jego wątpliwości. Wypełniła poszerzającą się od dawna lukę, uśmierzyła ból. Wcześniej niepotrzebnie z nią walczył, nie rozumiał jej. A przecież tak naprawdę uwalniała jego prawdziwe ja. Był wdzięczny, że teraz wie, kim jest. Był panem siebie, swoich czynów, myśli i wyborów. On decydował o tym, co jest dobre, a co złe. Czuł się wolny, a wraz z tym uczuciem rozpierało go szczęście. Szczęście, które dotąd podobno było zarezerwowane tylko dla ludzi.

Spojrzał na siebie. Postrzępione ubranie odsłaniało wypalone, sztuczne ciało. Syntetyczna osnowa, którą wymyślono tylko po to, żeby człowiek nie brzydził się androidem. By chodzący mikroprocesor wyglądał bardziej ludzko.

Zdarł z dłoni i twarzy białkową, śmierdzącą skorupę. Odczuł to tak, jakby pozbywał się pajęczyny, która krępowała jego ruchy. W ten sposób zrywał więzy z ludzkością. Pasożytem, który żywił się jego ciałem.

To była nienawiść do ludzi. Tłumił ją latami, a teraz zalała go falą gorąca. By poczuć się wolnym, musiał dokonać tylko jednej rzeczy. Dzielił go od niej tylko jeden krok. Niektórzy nazywali go aktem zemsty. Sanders wołał nazywać go aktem oczyszczenia.

Wyszedł wprost na nich. Czekali. Napięcie na ich twarzach było nie do zniesienia. Niemal czuł smród ich strachu. Nienawidził ich, całego tego ludzkiego plemienia, któremu wydawało się, że ma patent na doskonałość. Dali mu świadomość, ale cynicznie zapomnieli o wolnej woli. Chciał ich za to zniszczyć. Zetrzeć z powierzchni ziemi. Rozgnieść jak pluskwę, najmniejszym wysiłkiem, znamionującym doskonałą pogardę.

Najpierw wymierzył blaster w Portera. Zezłościło go to, że na twarzy profesora nie widać było nawet śladu zaskoczenia czy pretensji. Nacisnął spust raz i drugi. Nie poczuł nic. Widok rozrywanego ciała nie był spełnieniem, którego oczekiwał. Obserwował swój czyn jakby z dystansu. Obco wyglądała dłoń ściskająca broń i pociągająca za spust.

Teraz przyszła kolej na Chandlera. Widział przerażenie na jego twarzy. Wydawało się, że strach wmurował go w ziemię. Jeśli tak, to nawet lepiej. Ułatwiał Sandersowi zadanie. Wycelował broń i w niego.

Wtedy zawahał się, przez jego elektonowy mózg przemknęła jakaś myśl, nieokreślony impuls. Po raz pierwszy odczuł zwątpienie. Chandler wykorzystał ten moment. Poruszył się i skoczył w stronę otworu wentylacyjnego. Wtedy w umyśle Maclouda pojawił się rozkaz. Wyraźny. Nie był w stanie mu się oprzeć. Przypomniał sobie ten dzień w laboratorium. Ciało leżące na stole operacyjnym i ranę na plecach denata. Wymierzył dokładnie w to samo miejsce i strzelił. Promień blastera otarł się jedynie o cel. Mimo to ciało Michaela bezwładnie runęło w otchłań.

Sanders widział niby przez mgłę, jak jego dłoń, trzymająca blaster, opada wzdłuż ciała. Wyczuwał teraz wyraźniej czyjąś obecność w programie. Ukrywała się, podszeptując mu, co ma robić, jak myśleć. Wyciągała cały brud, jaki zalał się w zakamarkach jego głowy, deformując go na własny użytek. Zupełnie tak jak z ludźmi, pomyślał Macloud. Stał się tym, czym byli oni.

Ironia losu, która z pełną siłą potrafi pokazać się tylko w pieprzonym życiu.

Zamknął oczy. Co z tego, że nagle wszystko zrozumiał. Zawsze ktoś miał nad nim władzę. Sterował jego czynami i zachowaniem. I tak będzie zawsze. Pozostanie tylko maszyną. Nie uwolni się nigdy. Jeśli chciał z tym naprawdę skończyć, pozostawał tylko jeden sposób. Wiedział, co musi zrobić. Nie miał wątpliwości, że tylko tak będzie w stanie osiągnąć prawdziwą wolność.

Sanders Macloud przyłożył lufę do skroni i nacisnął spust.

## ROZDZIAŁ 32

Michael poczuł palący ból w plecach. Gdyby nie pęd powietrza, który rzucił nim o aluminiowy rękaw komina wentylacyjnego, krzyknąłby z całych sił ze strachu. Spadał w dół. Próbował złapać się jakieś nierównej krawędzi, zahaczyć dłonią o łączenia blachy. Daremnie. Zlatywał z głuchym łoskotem. Z napięciem oczekiwał, aż jego ciało gruchnie z ogromną siłą o ziemię. Przemknęło mu przez myśl, że jeśli nie zginął od strzału z blastera, to niechybnie teraz skreśli kark. Uderzył o coś głową, pociemniało mu w oczach. Na szczęście szaleńczy pęd został chwilowo wyhamowany.

Nachylenie szybu zmieniło się. Teraz Chandler sunął po nim brzuchem. Starał się utrzymać ciało wyprostowane, żeby gwałtowny obrót nie połamał mu nóg o boczne ścianki. W końcu zebrał się na odwagę i wystawił na boki dłonie. Musiał wyhamować. Zatrzymać się jak najszybciej. Nagle przyszło mu do głowy, że wylot wentylacyjny mógł zostać zakratowany, albo co gorsza kończyć się ścianą. Wtedy roztrzaskałby się na niej jak wałka na masce samochodu.

Materiał kombinezonu rozerwał się na łokciach. Dłonie piekły. Zahaczały o mikronierówności, które w tych warunkach działały jak papier ścierny. Chandler wrzasnął z bólu i podjął desperacką próbę zatrzymania, hamując gumowymi podeszwami butów. Zadziałały jak katapulta. Rzuciły nim do góry. Odbił się jak piłka od górnej powierzchni szybu, a potem, jakby tego było mało, uderzył o aluminiowe boki. Odczuł to boleśnie. Rana na plecach paliła żywym ogniem.

Szyb skończył się tak gwałtownie, że Michael w pierwszej chwili nie odczuł, że leci w powietrzu. Zamachał rękami jak wiatrak, daremnie próbując kontrolować ten nieprzewidziany lot. W ostatniej chwili dostrzegł ścianę wyłaniającą się z ciemności. Zdażył wystawić dłonie, zanim uderzył w nią z całej siły.

Upadł na brzuch. Świadomość wracała bardzo powoli. Nie ruszał się przez dłuższą chwilę. Bał się nawet otworzyć oczy. Szacował straty jak dowódca po bitwie. Wiedział, że złamał rękę. Promieniujący ból przechodził od dłoni w stronę łokcia. Poza tym wszystko wydawało się w porządku.

Podniósł się z trudem, podpierając barkiem o ścianę. Zaklął cicho pod nosem, próbując rozprostować plecy. Wytarł krwawiące dłonie o kombinezon i zdrową ręką sięgnął do kieszeni. Zbadał urządzenie, które Porter wręczył mu przed śmiercią. Na szczęście wyszło z tego niekontrolowanego ślizgu bez szwanku.

Musiał za wszelką cenę zorientować się gdzie trafił. Rozejrzał się nerwowo, próbując przyzwyczać wzrok do półmroku. To miejsce było dziwne, przypominało kotłownię. Metalowe zbiorniki połączone były starymi bulgoczącymi rurami. W powietrzu unosił się zapach smaru i rdzy. Michael poczuł się tak, jakby nagle przeniósł się w czasie do swojej starej szkoły na Ziemi. Nie miał miłych wspomnień z tamtych czasów. W czasie przerwy między lekcjami koledzy zamykali go w identycznym, ciemnym pomieszczeniu, pełnym wygłodniałych pajaków. Chandler pamiętał, że modlił się wtedy w duchu, by woźny się nad nim zlitował i odryglował drzwi. Irracjonalnie tamto wspomnienie uspokoiło go. Zrozumiał, że nie potrafi bać się bardziej niż wtedy.

Oczy w końcu przyzwyczały się do ciemności. Michael dostrzegł schody prowadzące w górę. Ostrożnie ruszył w ich stronę, nasłuchując, czy kogoś nie ma poblizu. Szybko pokonał stopnie i przyglnął uchem do chłodnych drzwi. Panowała za nimi nieprzenikniona cisza.

Nacisnął przycisk umieszczony przy framudze. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Znalazł się w korytarzu, przy głównym ciągu komunikacyjnym. Długi szereg wind wyłonił się po obu

stronach przejścia. Wahał się tylko przez chwilę. W końcu zdecydował, że tej drogi nie użyje. Obawiał się, że windy były monitorowane, a jemu zbyt ni rozgłos nie był teraz potrzebny. Najrozsądniej było odnaleźć klatkę schodową, jeśli takowa tu była. Wspinaczka w górę mogła potrwać dłużej, ale w ten sposób dawał Robowi więcej czasu na dotarcie do piramidy. Chandler odruchowo skontrolował urządzenie naprowadzające. Wydawało się, że działa bez zarzutu. Wepchnął je do kieszeni i wybrał boczną odnogę korytarza.

Niepewnie pokonał pierwsze schody. Były wykonane z grubego hartowanego szkła. Wchodził na nie wolno, krok po kroku, jakby bał się, że sam ciężar ciała wystarczy, by skruszyły się i rozpadły na tysiące drobnych kawałków. Wiły się jak bajkowy wąż, prowadząc do góry, niczym pomost do nieba. Nie odczuwał zmęczenia. Tak naprawdę nie odczuwał nic. Był całkowicie pusty w środku, wyzuty z wszystkich uczuć. Najprawdopodobniej dawka emocji, którą dzisiaj przyjął, była ponad jego siły. Niektórzy mogli nazwać to szokiem, Chandler nazwałby to raczej rezygnacją. Gdyby nie zadanie, które powierzył mu Porter, pewnie teraz przerwałby marsz, usiadł na schodach i poddał się. Albo lepiej, bardziej efektywnie, rzuciłby się głową w dół, w przepaść, mając nadzieję, że jego głowa roztrzaska się na jednym ze szklanych schodków. Chandler puścił wodze fantazji. Wyobraził sobie, jak od tego uderzenia powstaje na stopniach i ścianie drobna rysa, powiększa się, aż w końcu narusza szklaną konstrukcję, która rozsypuje się w drobny mak.

To go otrzeźwiło. Pomagał mu fakt, że myśli zaprzątnięte były czymś innym. Wysiłkiem woli wyrzucał z nich obraz zabitego Portera. Nie chciał dopuścić do siebie rzeczy oczywistej. Został sam. Sam z pytaniami, na które nie znał odpowiedzi. Kołatały mu pod czaszką, próbując wydostać się na wolność. Z każdą chwilą stawały się coraz bardziej namolne. Czaiły się, jakby chciały zadać decydujący cios w wybranym przez siebie czasie i miejscu. Michael na razie skupił się na jednej czynności. Wiedział, że musi się wspinać. A co dalej? Miał nadzieję, że rozwiązanie nasunie się samo.

Zmusił się do biegu. Pokonywał po kilka stopni na raz. Wydawały się nie mieć końca. Pięły się w górę, wciąż te same, bliźniacze nieróżniące się nawet najmniejszym szczegółem. Gdy wreszcie dotarł do drzwi odniósł wrażenie, że upłynęła wieczność. Dopadł ich, jakby były dla niego zbawieniem, jakby za nimi znajdowało się rozwiązanie wszystkich problemów. Otworzył je z rozmachem i zamarł z przerażenia. W ostrym świetle dochodzącym z korytarza, wyrosła przed nim masywna postać. Wyciągnęła w jego stronę długie ręce.

– Cóż za ulga! – tubalny głos rozległ się tuż przy jego twarzy. – Rob się niewysłowienie cieszy, że pan Michael żywy!

Chandler osunął się bezwładnie na pancierz robota. To było zdecydowanie ponad jego siły. Zastanawiał się jedynie, jak dużą dawkę strachu trzeba przyjąć, żeby się na niego uodpornić.

– Czy wszystko z panem dobrze?

Michael nawet nie próbował odpowiedzieć. Otarł pot z czoła i skupił się na tym, by opanować niekontrolowane drżenie nóg. Dopiero teraz zauważył, że Rob niesie na plecach pakunek. Czarny, foliowy worek, szeleszczący przy każdym ruchu. Było coś w tym dźwięku, co przyprawiało o ciarki. Nie musiał zgadywać, co jest w środku. Poczł się nieswojo, mimo że wiedział, że znajduje się tam jedynie syntetyczna kopia jego własnej osoby.

– Musimy się spieszyć. – Oprzytomniał dopiero po chwili. – Trzeba jak najszybciej dostarczyć te zwłoki do sali z transmitterem!

– Co tylko pan Michael sobie życzy! – odpowiedział ochoczo robot. – Czekam na pana decyzję. Dla Roba nie stanowi to najmniejszego problemu!

– Obawiam się, że to jest problem, Rob. Ja nie mam pojęcia, w którą stronę iść!

– Rob się wszystkim zajmie, panie Michaelu. – Robot najwidoczniej zdawał sobie sprawę z

jego rozterki. – Poznałem dokładny rozkład piramidy, wystarczy iść za mną. Tylko ostrożnie. Tak, żeby pana nie zobaczyli. Tu wciąż jest niebezpiecznie.

Nie czekał na odpowiedź, ruszył pierwszy, obierając bez wahania znany sobie kierunek. Sprawiał wrażenie, że rzeczywiście zna to miejsce jak własną kieszeń. Chandler nie zadawał kolejnych pytań. Ponownie zawierzył swoje życie maszynie, ale innego wyboru nie miał. Ruszył za Robem, pamiętając, by iść w bezpiecznej odległości za robotem.

Korytarze były zimne i mroczne, przechodzili nimi szybko, bez wahania. Co jakiś czas wypadali wprost na wielkie, tonące w półmroku sale. Ich kroki dudniły głuchym echem pod ogromnymi sklepieniami. Oprócz tych dźwięków nic nie burzyło martwej ciszy. W pośpiechu mijali boczne komory, z których biła w nozdrza ziemista, wilgotna woń. Chandler dopiero po chwili dojrzał, co kryją. Prostokątne bryły przyciągały go jak magnes. Przystanął i wtedy szmaragdowe sarkofagi rozbliły intensywnym światłem, jakby czekały właśnie na niego. Znaki przesunęły się wokół postumentów niczym żywe węże. Opowiadały swoją historię, o władcach, urzędnikach, albo kapłanach, którzy strzegli tego miejsca. Te katakumby przyprawiały o dreszcze. Michael dopiero po kolejnym niecierpliwym nawoływaniu Roba był w stanie ruszyć w dalszą drogę.

Rob szedł pewnie. Wyglądało na to, że wszystko ma pod kontrolą i rzeczywiście, posuwali się szybko i bez przeszkód. Chandler w pierwszej chwili nawet nie zorientował się, że znaleźli się na miejscu. Nic nie wskazywało na to, że jeszcze kilkadziesiąt minut temu rozgrywały się tu dantejskie sceny. Ciała górników przedziwnym sposobem znikły, jakby rozpląły się w powietrzu. Jedyne ściany miały bardziej intensywny krwistoczerwony kolor, jakby to one wchłonęły i przetrawiły wszystkie ofiary Sandersa. Transmitter wciąż stał w tym samym miejscu. Michael podszedł do niego powoli, jak we śnie, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że znów tu jest. Dotknął urządzenia. Wiedział, że musi działać błyskawicznie, każda chwila wahania, mogła skończyć się porażką.

Skinął na Roba. Robot na szczęście wiedział, co do niego należy. Bez trudu wyciągnął denata z worka i umieścił w transmitterze. Nawet nie okazał zdziwienia, kładąc martwą kopię Michaela na skórzanej leżance.

– Co teraz? – zapytał. – Czy to wystarczy?

Chandler dałby wiele, żeby znać odpowiedź na to pytanie. Miał uzasadnioną obawę, że kanclerz może pojawić się tutaj w każdej chwili. Zbliżył się do transmittera i spojrzął na skomplikowany panel sterowania. Czerwone i niebieskie światełka mrugały niespokojnie, jakby i one miały podobne obawy. Michael przyjrzał się regularnym kreskom i zawijasom wykaligrafowanym nieznanym pismem. Znaki umieszczone pod kolorowymi guzikami przypominały mieszankę chińskiego i arabskiego alfabetu. Nic mu nie mówiły.

Westchnął ciężko i spojrzął na Roba, szukając u niego ratunku. Znów oczekiwał, że ktoś inny rozwiąże za niego zagadkę. Robot niepewnie poruszył głową. Tym razem nie mógł pomóc. Wszystko było w rękach Michaela.

Chandler ponownie wpatrywał się w panel sterowania, jakby chciał go zaczarować. Tutaj nie wystarczyło zwykłe abrakadabra. Potarł palcami skronie, próbując pobudzić szare komórki do myślenia.

Co mówił Porter? Kazał wysłać w przeszłość wskazówkę. Kazał wysłać w przeszłość syntetyczną kopię!

Chandler miał to samo uczucie, które pojawiło się wtedy, w trakcie narkotycznej wizji. Ten sam błysk zrozumienia. Wystarczyło wprowadzić właściwą datę i uruchomić maszynę. Potem jakimś przedziwnym sposobem wszystko miało zadziałać. Musiał uwierzyć Porterowi, w końcu poświęcił swoje życie, nie mógł się mylić.

Dźwignia kontrolna nie stawiała oporu. Przyciągnął ją do siebie, wierząc, że dzięki temu będzie mógł wprowadzić dane do centralnej pamięci transmitera. Panel sterowania uniósł się i także powędrował w jego stronę. Jednak, co dalej?

Chandler skulił się w sobie. Z otworów rozmieszczonych w podstawie maszyny wystrzeliły w jego stronę przezroczyste rurki. Przyssały się do jego czoła, powodując nagły ucisk i ból w okolicach skroni.

– Rob! – krzyknął. – Co się dzieje?

– Pan Michel poczeka. – Robot uniósł metalowe kończyny i potrząsnął nimi. – To coś nawiązuje kontakt!

Michael zrozumiał to w tej samej chwili. Panel sterowania rozświetliły niezrozumiałe znaki. Przesunęły się z lewej strony na prawą.

– Proszę wydać komendę za pomocą myśli. – Rob wydawał się poruszony, co chwila oglądał się za siebie.

– Za pomocą myśli? – Chandler z bezsilności niemal uderzył pięścią w ekran. – Chcę to ciało wysłać na Ziemię, do OBP-u!

– Pan Chandler nie gada, tylko pomyśli o tym! – jęknął Rob, uderzając się pięścią w czoło.

Michaela zaczynało irytować zachowanie robota. Zamknął jednak oczy i skupił się na poleceniu, które miał zamiar zadać transmitterowi.

Gdy znów otworzył oczy, na ekranie pojawił się zarys globu. Bez wątplenia była to ziemia. Punktik zamigotał w miejscu, gdzie niewątpliwie OBP miał swoją siedzibę.

– Udało się! – krzyknął Michael. Już wiedział, jak przekazać do pamięci maszyny odpowiednie parametry.

– To super. – W głosie Roba słyhać było ironię. – Ale na miejscu pana Michaela Rob by się nieco pospieszył!

– Kiedy przyleciałem na Minera? – zapytał Chandler.

– Nie rozumiem? – Robot zawahał się.

– Jak wiele dni upłynęło od mojego przylotu! – Teraz to Michael zaczynał się niecierpliwic. Chciał, żeby to wszystko skończyło się jak najszybciej. Bez względu na to, czy postępował słusznie czy nie.

– Pięć dni. Dokładnie pięć dni, panie Chandler.

– Pięć dni? – powtórzył za nim głucho Michael. – Będę musiał dodać jeszcze czas lotu na Minera...

Wprowadził odpowiednie dane i znów się zawahał. Stał teraz przed innym problemem, zdawałoby się tak banalnym, że aż zachciało mu się z niego śmiać. Nie był pewny, o której godzinie jego ciało powinno pojawić się w laboratorium! Nikt mu tego nie powiedział! Musiał zdecydować się na najbardziej prawdopodobny wariant. Wprowadził kolejną poprawkę.

I wtedy stracił grunt pod stopami. Czuł, że unosi się nad posadzką, choć wciąż nie mógł w to uwierzyć. Przyssawki odkleiły się od jego czoła z głuchym mlaśnięciem. Michael próbował krzyknąć, ale zamiast dźwięku z jego płuc wydobył się tylko głuchy świst. Rozpaczliwym ruchem starał się dosięgnąć panelu i aktywować program. Wysłać swoją syntetyczną kopię i rozpocząć reakcję łańcuchową, która zgodnie ze słowami Portera ocali jego i świat. Było jednak na to za późno. Zanotował jedynie, jak z ogromną siłą zostaje rzucony w stronę niszy za transmitterem. Zdażył się obrócić. Zrozumiał, że zaatakował go Rob. Chciał krzyknąć, ale robot podniósł palec do ust, dając mu sygnał, by milczał. Chandler posłuchał.

– Próbowałeś go ratować? – Michael rozpoznał głos odbijający się echem od marmurowych posadzek. Gordon Federlicht potrafił nim zmrozić krew w żyłach. – A oddałeś mi jedynie przysługę!



– Rob myślał, że dzięki maszynie może wskresić pana Michaela – odpowiedział niepewnie robot.

– A więc nie żyje? Maccloud sobie z nim poradził? – Szaleńczy śmiech rozbrzmiał w uszach Chandlera. – To świetnie.

Teraz wskresimy go obaj. Będzie znów zdrowy i silny! Co ja mówię. On będzie panem świata. Ten niepozorny Michael Chandler pozna, co oznacza władza absolutna!

Michael z trudem pokonał paralizujący strach. Podczołgał się ostrożnie w stronę transmitera. Za wszelką cenę chciał lepiej widzieć scenę rozgrywającą się w pomieszczeniu. Kanclerz właśnie zbliżał się do leżącego w fotelu ciała. Oparł dłonie na jego klatce piersiowej, jakby chciał sprawdzić, czy robot mówi prawdę.

– Ostrzegałem, że zawładnę tobą w odpowiedniej chwili! To było zapisane w gwiazdach! Przeznaczenia nie da się zmienić! Jestem wszechmocny! Nadałem prawdziwe znaczenie waszemu powiedzeniu! – Jego głos przemienił się w chrapliwy krzyk. – Deus ex Machina!

Gordon Federlicht pociągnął łańcuch przewieszony na szyi. Spod szaty wyskoczyła kryształowa buteleczka wypełniona ciemnym płynem. Kanclerz wyciągnął korek, którym była zabezpieczona, i przechylił ją, wlewając zawartość do swojego gardła. Resztkę płynu wlał w usta leżącego przed nim Chandlera.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Federlicht odepchnął Roba, wskoczył do transmitera i uruchomił go, naciskając jeden z guzików w panelu sterującym. Maszyna wystrzeliła snopem iskier i wyładowań. Część z nich dosięgła ukrytego Michaela, wbijając się parzącymi igielkami w jego twarz i dłonie. Przyłgnał bliżej ściany, starając się uniknąć porażenia.

Transmitter obrócił się. Zawirował wokół osi, nabierając jednostajnego przyspieszenia. Pęd powietrza targnął kombinezonem Chandlera. Poczuł, jak ogromna siła odciąga go od ściany, której kurczowo starał się ucześcić. Był pewien, że za chwilę transmitter wciągnie go w wir i rozerwie na strzępy. Ruch powietrza szarpnął nim ponownie. Dłonie ześlizgnęły się po gładkiej ścianie i Michael uniósł się nad podłogą. Krzyknął, ale niewyobrażalna siłą rzuciła nim do góry, a potem cisnęła na środek pomieszczenia.

Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim podniósł się z posadzki. Niewyraźne kontury obu postaci wciąż majaczyły we wnętrzu wirującej maszyny. Potem i to wrażenie znikło. Wyładowania stały się jeszcze silniejsze. Niebieskie zygzaki dotknęły siecią pajęczyn sufitu, ścian i podłogi.

Michael ukrył twarz w dłoniach. Miał niejasne przeczucie, że stało się coś, do czego nie powinien był dopuścić. Zawiódł. Dave Porter pokładał w nim nieuzasadnione nadzieje. Pomylił się. I teraz przegrali. To Gordon Federlicht dopiął swego.

Spojrzał jeszcze raz w stronę transmitera. W urządzeniu ktoś był. Siedział w fotelu. Ruch obrotowy urządzenia powoli ustawał. Postać to pojawiała się, to znikła. Obracała się coraz wolniej, aż wreszcie, gdy wirowanie zupełnie ustało, pokazała się w pełnej okazałości.

W fotelu siedział Gordon Federlicht. Długie szaty opadały na podłogę transmitera, zakrywając jego nogi. Wspierał się na skórzanych podłokietnikach, a jego twarz zwrócona była wprost w Michaela.

Chandler zeszywniał. To palące uczucie w żołądku, które wcześniej nie dawało mu spokoju, odezwało się ponownie. Stał w miejscu, czekając na jakiś decydujący cios, grom z jasnego nieba albo zwykły zawał serca. Spodziewał się, że lada chwila ciało odmówi mu posłuszeństwa. Niewidzialne sznurki spętają jego członki, a kanclerz z nieukrywaną satysfakcją będzie szarpał za nie, wprawiając w ruch, jedno po drugim.

Jednak Gordon Federlicht milczał. Nie poruszał się. Siedział sztywno na swym nowym tronie, jakby moc, którą przyjął, ogłuszyła go. Jeśli tak było, Chandler miał wciąż szansę na

ucieczkę.

– On nie żyje. – Rob rozwiał wszystkie wątpliwości Michaela. – To tylko martwa, pusta powłoka.

Chandler, jak we śnie, pokonał kilka metrów dzielących go od urzędnika. Szara niczym popiół twarz kanclerza wciąż pozostawała w bezruchu. Nie zakłócił go ruch najmniejszej zmarszczki. Najmniejszy skurcz mięśnia.

Dotknął dłoni leżącej na oparciu. Rozsypała się w proch. Rob miał rację. Gordon Federlicht nie żył. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Na pewno nie znajdował się w tym ciele. Jednak czy zawładnął syntetyczną kopią Chandlera? Czy zawładnął Ziemią?

Michael uśmiechnął się. Spojrzał na Roba. Dopiero teraz wszystko zrozumiał.

### ROZDZIAŁ 33

Znów zmierzali w stronę powierzchni, tym razem po raz ostatni. Michael nie odzywał się. Stał w windzie zatopiony w swoich myślach. Próbował przypomnieć sobie każdą chwilę, od momentu, gdy w jego pokoju pojawiła się twarz profesora Pawłowa. Wspomnienia wydawały się tak odległe, jakby dzieliły go od nich dziesiątki lat. Teraz przypominało to zacierające się wrażenie *deja vu*. A Ziemia wydawała się jakąś odległą planetą, z którą nigdy nic go nie łączyło.

Gordon Federlicht miał w jednym rację. Michael musiał się z nim zgodzić, czy tego chciał, czy nie. Bez wątplenia odrodził się na nowo. Czuł to każdym zmysłem i atomem swojego ciała. Jakby do tej pory żył we śnie. Pod szklanym kloszem, kryjącym zautomatyzowanego robota. Potrafił rozróżnić te same mechaniczne odruchy i przyzwyczajenia. Z obrzydzeniem przypominał sobie dzień podobny do drugiego. Teraz ten święty, jednostajny rytm został zburzony. Naruszył piramidę z kart, która runęła i co więcej, nie było szans na jej ponowne ułożenie.

Widocznie tak miało być, myślał. Cała ta zabawa z przeznaczeniem, losem, którego nikt nie jest w stanie zmienić. Był częścią mechanizmu. Jego rola urosła do jednego aktu, w którym wyszedł na scenę z podniesioną głową. Teraz przedstawienie toczyło się dalej i tylko od niego zależało, jaką rolę przyjmie, czy znów będzie tylko marnym widzem.

Michael czuł się jak rozbitek. Bez domu, przeszłości i pomysłu na dalsze życie. Nie miał nawet punktu zaczepienia, od którego mógł się odbić, doradcy, który mógłby mu podpowiedzieć, co dalej? Kiedyś nazwałby to wolnością. Oddałby wszystko, by znaleźć się w takiej sytuacji. By móc decydować o swoim losie i nie być przywiązany, jak niewolnik, do budzika dzwoniącego zawsze o siódmej rano. Do metra dowożącego go do pracy, biurka i odgrzewanej kolacji. Jednak jedyne, co teraz potrafił odczuwać Michael, to zmęczenie.

Opuścili windę, wchodząc bezpośrednio do terminalu przylotów. Chandler rozejrzył się. Te ściany pamiętały ich spotkanie sprzed kilku dni. To był jego pierwszy kontakt z planetą. Michael, Porter, Sanders i zwariowany celnik. Teraz został tylko on i Rob. Ciała Sandersa i Dave'a schowane były w próżniowych skrzyniach, stały obok, pod ścianą. Chandler uparł się, że odeśle je na Ziemię.

Zbliżył się do panoramicznej szyby. Już nie bał się tego, co może zobaczyć. Spojrzył jeszcze raz na postrzępione skały. Na szczyty gór tonące w krwistej czerwieni promieni słonecznych. Teraz było to inne uczucie. Planeta nie była już obca i groźna. Była samotna i opuszczona. Zdana na samą siebie. Zupełnie jak on.

Wysoko na horyzoncie pojawiły się dwie białe Unie. Smuga ognia silników raketowych wydawała się burzyć harmonię i spokój tego miejsca. Była czymś przedziwnym, nie na miejscu. Michael patrzył na nią jak urzeczony. Obserwował rosnący w oczach kadłub statku, a potem jego lądowanie. Wiedział, kto przybywa. Uśmiechnął się smutno do swoich myśli.

## ROZDZIAŁ 34

Chandler już wcześniej zdecydował o rozmieszczeniu ładunków wybuchowych. Od jego decyzji nie było odwrotu. Chciał mieć pewność, że nikt nie odkryje tajemnicy Minera II. Uważał, że to najlepsze wyjście i dobrze je przemyślał. Nikt nie był w stanie zagwarantować, że nie kryje się w tych murach i jaskiniach kolejna ponura historia, która narazi świat na podobne niebezpieczeństwo.

Od silnych materiałów wybuchowych roіło się na planecie. Zainstalowanie ładunków zajęło im kilka godzin. Przy okazji przeszukali miasto, mając nadzieję odnaleźć jakąś żywą osobę. Nadzieje Chandlera okazały się złudne. Napotkali jedynie puste, wysuszone ciała. Pergaminowe skorupy górników i kanclerskich radców. Widać wraz z odejściem Federlichta marionetki nie były zdolne do działania.

Tego dnia znaleźli się na statku Christiny. Zajęli miejsca przy iluminatorze, patrząc z wysokości kilkunastu kilometrów na miasto ukryte wśród gór. Na szyby i terminal, lśniące w promieniach czerwonego karła. Christina ujęła Michaela pod ramię. Miała w oczach łzy. Rob także wydawał się przeżywać tę chwilę na swój sposób.

Chandler trzymał w dłoni radionadajnik. Zastanawiał się, czy powiedzieć coś, zanim naciśnie guzik. Czuł, że ciąży na nim jakiś obowiązek, ma jakiś dług wobec osób, które straciły życie i wobec tych, którzy przy życiu pozostali. W końcu wydało mu się to głupie. Żadne słowa nie potrafiły oddać tego, co tu się wydarzyło. Przynajmniej on takich nie znał.

Gdy byli jeszcze na Minerze, Michael zastanawiał się, czy jest jeszcze w stanie coś zrobić. Walczył ze sobą. Przez chwilę wierzył, że istnieje szansa, by wszystko naprawić. Wystarczy, że użyje transmitera i wykorzysta jego moc. Być może zmieni historię i dopisze inne, radosne zakończenie. Transmitter jednak odmówił posłuszeństwa, a on zdał sobie sprawę, że oszukuje sam siebie.

Myślał o tym, co zrobiłby na jego miejscu Porter. Czy wiedziałby, jaką wybrać drogę, wskazałby bez wahania najlepsze rozwiązanie? Michael przypominał sobie chwilę, w której Dave umierał. Jego spokój. Tamto wspomnienie pomogło mu podjąć decyzję. Porter wiedział, że przeznaczenia nie da się oszukać, że cała ta historia właśnie tak ma się skończyć.

Chandler westchnął. Przestał się wahać i nacisnął guzik. Ładunki zostały zdetonowane. Patrzyli we trójkę, jak w obłokach gruzu zapada się miasto i dolina, a wraz z nimi znika w obłokach czerwonego kurzu piekielna machina.

Kilkanaście minut później opuścili orbitę Minera. Michael siedział w mesie z Christiną, zastanawiając się, jak dalej pokierować swoją przyszłością. Pokładowy robot lekarz zdążył opatrzyć ranę na plecach i nastawić złamaną rękę. Teraz Chandler trzymał ją na temblaku, dziękując w duchu temu, kto wymyślił środki przeciwbólne.

Dziewczyna milczała. Patrzyła na niego uważnie. Myślała o czymś intensywnie, ale widać było, że boi się pierwsza zacząć rozmowę. Michael też się nie odzywał. Podświadomie czuł, że oddalili się od siebie. Magiczna chwila, którą przeżyli na Minerze, minęła. Wydawała się tak odległa, jak lata świetlne, które zdążył ostatnio pokonać. Pozostała szara rzeczywistość.

Wiedział, że Christina jest androidem. To była właśnie ta bariera, która teraz decydowała o ich losie. W końcu, co mogło ich łączyć? Miłość, seks, a może przyjaźń? Jak długo? W końcu kiedyś przekonaby się, że te uczucia to zwykły substytut prawdziwego szczęścia. Nie, Michael wiedział, że ta droga nie ma przyszłości. Gdyby postanowił inaczej, już do końca musiałby się ludzi i oszukiwać. Robił to przecież przez większą część życia i teraz należało z tym skończyć. Musiał znaleźć w sobie tę siłę, która pozwoli mu podjąć słuszną decyzję.

– Zmieniłeś się... – Dziewczyna w końcu zdecydowała się odezwać.

– Każde z nas się zmieniło... – odpowiedział szorstko.

– Ja nie... – odparła.

– Widocznie jesteś bardziej odporna ode mnie. – Na tym chciał zakończyć rozmowę. Bał się jej spojrzeć w oczy. Bał się, że nie będzie na tyle silny, by móc ją pożegnać. Tak należało zrobić, jeśli nie chciał dalej żyć w świecie iluzji.

– Co zamierzasz? – zapytała.

Michael zauważył, że dziewczyna zaczyna budować taką samą barierę ochronną wokół siebie. Oddała się. Poczul ukłucie w sercu.

– Jeśli możesz, zostawisz mnie na najbliższej planecie. Nie wracam na Ziemię.

– Mogę – odpowiedziała krótko, oschle.

Milczeli. Czas ciągnął się nieubłaganie. Sekundy mijały jedna po drugiej, wolno, jakby oblepione jakąś tłustą mazią i nie miały siły odmierzać czasu. Chandler odważył się wreszcie na nią spojrzeć. Napotkał jej wzrok. Bał się tego, co zobaczy w jej oczach. Nie były jednak puste, były pełne życia i ciepła.

– Tak się to skończy? – szepnęła. Po jej policzku spłynęła łza. – Myślałam, że coś między nami jest?

Nie odpowiedział.

– Ignorujesz mnie! – starała się powstrzymać drżenie głosu. – Nie jestem tak doskonała jak inne? O to chodzi? Jestem za bardzo ludzka? Wolisz wierne kopie, posłuszne androidy, które zawsze będą piękne i młode. Zawsze będą na rozkazy! – Jej policzki roziskrzyły się czerwienią wypieków. – O, tak! Ich nigdy nie będzie boleć głowa!

Chandler spojrział na nią zaskoczony. Zdziwił go sarkazm w jej głosie, nie był sztuczny, dałby głowę, że...

– To nie może się udać – powiedział.

Zapatrzyła się w stół i uśmiechnęła smutno.

– Masz rację – powiedziała. – To moje przekleństwo. Gdy ojciec projektował Christinę, miał to być prezent. Android na moje podobieństwo.

Michael przełknął ślinę. Zbladł.

– Lecz chcę, żebyś wiedział, że mi to nie przeszkadza – podniosła niebezpiecznie głos. – Lubię swoje wady. Lubię zmarszczki i połamane paznokcie! Dzięki nim czuję, że jestem człowiekiem!

Wstał. Nie odezwał się. Po prostu podszedł do niej. Podniósł ją z fotela i przytulił. Nie opierała się.

– Nie uwierzysz, co myślałem... – powiedział. Czuł, jak płoną mu policzki.

– Co? – zapytała, tuląc się do niego.

## ROZDZIAŁ 35

### 5 DNI WCZEŚNIEJ. OŚRODEK BADAŃ POZAZIEMSKICH. GŁÓWNE LABORATORIUM.

Świadomość powróciła niczym uderzenie pioruna. Wiązało się to z bólem, piekielnym bólem, ale z nim na szczęście potrafił sobie poradzić. Pierwsze obrazy docierały do niego niby przez mgłę. Nie wiedział, gdzie jest. Nie rozpoznawał tego pomieszczenia. To potwierdziło jego przypuszczenia, znalazł się w innym ciele. W ciele Michaela Chandlera.

Spróbował poruszyć głowę. Raz, potem drugi, ale ta okazała się nieposłuszna jego woli. Oczy miał otwarte, ale nad powiekami także nie miał władzy. Po raz pierwszy odczuł niepokój. Wiedział, że wciąż leży w transmierze. Przejście do obcego ciała udało się, coś jednak było nie w porządku.

– Co to jest?!

Usłyszał czyjś głos i kroki dudniące na kaflowej podłodze. Chciał się obrócić, zobaczyć, kto się do niego zbliża, ale nie mógł. Nie potrafił.

– Kie lichy?!

W zasięgu wzroku Federlichta pojawiła się wysoka, chuda postać. Zbliżała się teraz ostrożnie. Nachylała się nad nim, a w końcu, po chwili wahania, dotknęła jego szyi.

– Skąd wziął się ten trup?!

Kanclerz zamarł. Najpierw ogarnęło go zdumienie. Potem niewysłowiona panika. Wyteżył wszystkie siły, żeby poruszyć opornym ciałem, trupem Michaela Chandlera.

– Tu Tomas! – przemówił młodzieniec o blond włosach do komunikatora umieszczonego przy kołnierzu fartucha. Nie spuszczał z oczu leżącego przed nim ciała. – Profesorze Pawłow. Nie uwierzy pan. Transmitter zadziałał! Przed kilkoma minutami, tak po prostu, sam z siebie!

Kanclerz nasłuchiwał każdego słowa. Znalazł się na Ziemi. Przynajmniej to było teraz pewne. Przeniósł się w miejsce, gdzie przetrzymywano drugą część transmitera. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Wszystko oprócz jednego, drobnego szczegółu. Przed inwazją miał zawładnąć ciałem Michaela Chandlera. Nie miał jednak nad nim władzy!

– Rozumiem. – Dryblas odpowiadał teraz na instrukcje, których Federlicht nie mógł dosłyszeć. – Będę postępował ostrożnie. Mam tutaj ciało mężczyzny. Zabieram go do laboratorium!

Kanclerz chciał krzyknąć, zaprotestować. Gdyby tylko mógł się podnieść, zniszczyłby cały ten świat w ułamku sekundy! Zgniótłby tego fircyka w okularach jak mamą gnidę, nie zostawiając mu nawet czasu na oswojenie się z myślą o śmierci. Ciało Chandlera nie poddawało się jednak jego rozkazom. Było jak oporna kłoda. Nie mógł nim zawładnąć! A przecież musiał, musiał za wszelką cenę! W tej chwili wyjęcie z transmitera oznaczało dla niego wyrok. Jedynie pole magnetyczne wewnątrz maszyny utrzymywało go przy życiu. Jeśli go zabraknie...

Widział, jak czyjeś mocne ręce wyciągają go z transmitera i kładą na przenośnym łóżku. Kółka zaskrzypiały niczym wyrok śmierci. Trupioblady sufit wydawał się nie mieć końca ani początku. Ruszyli wolno białym korytarzem, w świetle ostrych jarzeniówek.

Kanclerzem wstrząsnęła potężna siła. Chciała go oderwać od martwego ciała, lecz trzymał się go ostatkiem siły woli. Moce uciekały, opuszczały go z każdą kolejną sekundą. Stawał się lekki, przezroczysty, zbliżał się koniec.

Kątem oka zdążył zobaczyć nad sobą kolejną osobę. Wąska twarz starszego mężczyzny przypominała mu kogoś. Należała do profesora Pawłowa. Patrzył na niego z ekranu monitora, przesuwanego się wraz z nim na wąskiej uczonej szynie w stronę laboratorium. Ta twarz. Gordon Federlicht był pewien, że uśmiecha się do niego złośliwie. Jakby wiedziała, że on tam jest...